Łódź

Odgłosy

tygodnik społeczno-kulturalny

PL ISSN 0472-5042
Nr Indeksu 36762

NUMER 5 (1401) ROK XXVIII 2 LUTEGO 1985 ROKU CENA 15 ZŁ

■ „Nikt nie lubi podwyżek cen"
■ Z łysymi i siwymi naprzód iść
■ Sposób na „M"
■ Zaślubiny z knajpą
■ Kochajmy też brzydule

Foto: Stefan Kosiński

KULTURA TO BARDZO SZEROKIE POJĘCIE. MIEŚCI SIĘ W NIM TWÓRCZOŚĆ PICASSA I SPOSÓB W JAKI WYJMUJEMY WTYCZKĘ Z GNIAZDKA...

Naturyści, radiesteci, astrologowie i inni

ANDRZEJ KAROLCZAK

Sobotni ranek. Dziesięcioosobowa grupa przygotowuje się do treningu „alfa". Zdejmujemy buty, rozścielamy koce. Kilka słów wstępu wygłasza prowadzący trening Bogdan Grzywna:

— System „alfa" to technika relaksacyjna opracowana na podstawie wiedzy filipińskiej Huny oraz doświadczeń przeprowadzonych przez Instituto Superacion Humana w Meksyku. Technika ta pozwala na wchodzenie na poziom działania nadświadomego. Jest to specjalny system oddychania i relaksacji fizycznej i umysłowej. Opiera się na zmiennych stanach świadomości. Dwudniowy trening urozmaicimy elementami rebirthingu i elementami innych technik psychotronicznych. Na zakończenie dokonamy próby eksterioryzacji. Żeby nasze działania się powiodły, konieczny jest pełny luz fizyczny i psychiczny. Jesteśmy wszyscy na tu, jesteśmy swobodni, nie „spinamy" się żeby możliwie najlepiej wykonać wszystkie elementy treningu, o nic się specjalnie nie staramy. Luz, możliwie najpełniejszy, luz. Można krzyczeć, można płakać, można się śmiać. Odsłaniamy się, wyzbywamy się wstydu. W czasie treningu jesteśmy grupą przyjaciół grupą życzliwych sobie ludzi, chcemy sobie wzajemnie pomóc.

Trening rozpoczyna się od kilku ćwiczeń, przypominających trochę gimnastykę szwedzką, a trochę trening karateków — gwałtowne ruchy ciała, podskoki, okrzyki. Wreszcie kładziemy się na kocach. Rozluźnieni, z zamkniętymi oczami oddychamy głęboko w rytm słów Bogdana Grzywny. Po kilku, kilkunastu minutach rytmiczne wdechy i wydechy stają się automatyczne, po kilkunastu następnych całe ciało ogarnia miłe ciepło, jednocześnie świadomość jakby przygasa. Coś jak półsen, jak stan płytkiej hipnozy.

Grzywna zapowiada, że niebawem przejdziemy do następnego etapu. Skończy się odpoczynek, będziemy wyrzucać ze świadomości nawarstwione tam stresy, leki, wytłumiona agresje.

Grzywna dotyka mego ramienia, „budzi" mnie:

— Niech pan wstanie, niech pan teraz obserwuje reakcje.

Wstaje niechętnie, czułem się coraz lepiej, żal mi tego stanu, w który zacząłem się pogrążać.

Wychodzę na papierosa, rozmawiam z asystentem Bogdana Grzywny, Witoldem Śmiechem.

Co daje taki trening, jakie mają być efekty?

Ludziom chorym, cierpiącym technika „alfa", podobnie jak rebirthing daje ulgę. Trudno powiedzieć, czy leczy... Zdrowym przynosi spokój, ukojenie, relaks. Po kilku treningach powoduje dostrzegalne zmiany osobowości — rozluźnienie, otwarcie na ludzi, uśmiech i dystans do przeciwności losu. Daje ponadto przyswojenie sobie techniki relaksacyjnej, którą można stosować wszędzie i zawsze, choćby w trakcie jazdy tramwajem. Umiejętność specjalnego oddychania pozwala odprężyć się, zrelaksować w ciągu kilku minut. Pozwala także na osiągnięcie stanu skupienia, i intensyfikacji pracy mózgu. Może to pana zainteresuje — rebirthing pomaga np. ludziom wykonującym pracę twórczą na osiągnięcie stanu „olśnienia". Kiedy myśli się długo nad rozwiązaniem jakiegoś problemu, kiedy się go już przemyślało, ale nie ma jeszcze sposobu na jego rozwiązanie, nie ma „klucza", wtedy trening może doprowadzić właśnie do olśnienia, do tego znanego wszystkim twórcom momentu, kiedy wszystko staje się jasne, kiedy krzyczy się „heureka"!

7

Styczeń, luty 1905 roku (1)

Potrzeba było tylko iskry

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

1. NA DALEKIM WSCHODZIE

Wojna japońsko-rosyjska wybuchła w nocy z 8 na 9 lutego 1904 roku. Zapoczątkował ją atak floty japońskiej na Port Artur i port Czemulpo w zachodniej Korei. W koreańskim porcie Japończycy zatopili krążownik „Wareg" i kanonierkę „Koreańczyk". W wojnie tej flota rosyjska ponosiła ciągłe straty. W kwietniu 1904 roku Japończycy zatopili torpedowiec „Stierieguszczij", w kwietniu wpadł na minę okręt liniowy „Pietropawłowsk" na którym zginął głównodowodzący dalekowschodnią flotą rosyjską, wiceadmirał Stefan Makarow. W czerwcu Japończycy zajęli port Dalnij i rozpoczęli oblężenie Portu Artura.

Rosjanie ponosili również klęski na lądzie. Przegrali bitwę pod Liaojangiem i nad rzeką Szahu. 2 stycznia 1905 roku generał Anatol Stoessel poddał Japończykom Port Artur. W bitwie pod Sandepu poległo 12 tysięcy rosyjskich żołnierzy.

Wieści o klęskach carskiej Rosji na Dalekim Wschodzie obiegały cały świat, docierały też do Łodzi. Rodziły nadzieje na upadek samodzierżawia. Szpicle Ochrany meldowali o ujemnym wpływie tych wiadomości na nastroje społeczeństwa. Rosła aktywność kół rewolucyjnych. Myślano wówczas, że Imperium Carskie jest tak słabe, że wystarczy tylko mocniej tupnąć, a rozleci się w proch i pył. A tupnąć mieli oczywiście robotnicy, jako najbardziej rewolucyjna siła.

2. W ROSJI

Wojna japońsko-rosyjska zdezorganizowała gospodarkę Rosji. Zahamowała rozwój handlu. Linie kolejowe zostały zablokowane transportami wojskowymi zmierzającymi na Daleki Wschód. Towary sprzedawane tradycyjnie w tamtej części świata musiały czekać długimi miesiącami na możliwość przewozu zatłoczonymi liniami kolejowymi. Cierpiały na tym te gałęzie gospodarki, które nie pracowały dla potrzeb wojska. W Łodzi cierpiał na tym szczególnie przemysł bawełniany. Fabryki przemysłu wełnianego otrzymały bowiem wojskowe zamówienia i trudności transportowe ich nie dotknęły.

Pobór do wojska osłabiał załogi fabryczne, ale i tak nie zmniejszało to bezrobocia. 26 sierpnia 1904 roku gubernator piotrkowski Konstantin Miller stwierdził, iż *„około 25 000 ludzi w jednym tylko okręgu łódzkim pozostało bez zarobku, zarobki zaś robotników, którzy pozostali przy pracy, spadły do 1/3 w porównaniu z normalnym zarobkiem"* A w przemyśle wło-

3

Siedem bolesnych ramion menory

JOLANTA WROŃSKA

— Mogłem być w Łodzi zaraz za wojskiem, dziewiętnastego, rano. Śnił mi się przecież ten dzień prawie pięć lat, ale wtedy w styczniu, nie starczyło odwagi i siły... żeby udźwignąć prawdę.... co ja tam mogłem zastać? Nawet jeśli miasto się uratowało? Więc ten dzień świętowany ominął mnie. Może i dobrze? Czy ja mógłbym się radować? Potrzebowałem całych dwóch tygodni, żeby się odważyć, stanąć na mojej ulicy, Zachodnia to była, numer osiemdziesiąt sześć...

Wróciłem do Polski od Lublina. To nie było dobre miasto na przywitanie... Majdanek jeszcze dymił, ludzie mówili, że Żydzi tysiącami poszli do pieca, to człowiek bał się mieć nadzieję, żeby go nie zabiła. Każdy się bał, że domu nie będzie, że rodzina poszła przez komin, albo do ziemi i nawet nie wiesz gdzie. Jeśli umarli, gdzie nad nimi zapłakać, jeśli ocaleli, gdzie o nich pytać?... To co ja miałem wierzyć, że uratował się jakiś Żydek, mój Ojciec, albo brat, albo chociaż najmłodsza siostra. W czterdziestym piątym miałaby piętnaście lat, miała zupełnie jasne włosy i znać nie było, że Żydówka. Może ocalała gdzieś?...

Nawet kilka lat temu dostałem wiadomość przez Czerwony Krzyż, że jest gdzieś w Wilnie Eliza Brumberg. Siostra była Estera, Estera Bromberg, ale we wojnę mogli ją gdzieś tak zapisać, przekręcić, może to ona? Tyle lat szukałem bez śladu, to boję się liczyć na cud... Może choć ona została, może przez te jasne włosy nikt jej nie rzucił w twarz, że Jude i że do gazu? Ale co tu wierzyć, że jak miliony Żydów wybili to akurat jakichś tam biednych Żydków z Zachodniej osiemdziesiąt sześć ominęło... Gdzie oni się mogli schować z tymi swoimi twarzami, skazanymi na śmierć?! Niejeden bogaty Żyd wierzył, że za złoto to on kupi ludzkie oczy, co nie zobaczą i ręce, co się nie zlękomią, ot głupia wiara...

Biedny Żyd miał tylko tę swoją twarz, to co mu zostało? On uwierzył w każdą nadzieję, nawet w ten chleb, co go Niemcy rozdawali przed wywózką.

4

Więc w styczniu nie poszedłem od razu do Łodzi, choć wracali znajomi, namawiali. Dopiero dziewiątego marca

Odgłosy

Adres redakcji: 90-113 Łódź, ul. Henryka Sienkiewicza 3/5.
Telefony: redaktor naczelny i zastępca redaktora naczelnego 36-52-44, sekretarz redakcji, fotoreporter: 36-80-99, publicyści: 36-77-70.
Redaktor naczelny: Lucjusz Włodkowski.
Zastępca redaktora naczelnego: Tomasz Sas.
Sekretarz redakcji: Grażyna Olechnowicz.
Redaktor techniczny: Janusz Kozłowski.
Zespół: Ryszard Binkowski, Dariusz Dorożyński, Eugeniusz Iwanicki, Teresa Jerzykowska, Andrzej Karolczak, Roman Kubiak, Jerzy Kwieciński, Bogda Madej, Andrzej Makowiecki, Paweł Tomaszewski, Jolanta Wrońska.
Grafik: Janusz Szymański-Glanc.
Fotoreporter: Grzegorz Gałasiński.
Korekta: Mariola Knaga, Jolanta Sawiuk.
Stale współpracują: Tadeusz Błażejewski, Edward Bryl, Krzysztof Drzewiecki, Grzegorz Gazda, Bohdan Gadomski, Witold Kasperkiewicz, J. Stanisław Knypl, Włodzimierz Krzemiński, Edmund Lewandowski, Marek Mamos, Zenon J. Michalski, Krystyna Namysłowska, Jerzy Panasewicz, Ewa Pankiewicz, Karol J. Stryjski.

Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa — Książka — Ruch" 91-103 Łódź ul. Piotrkowska 96.
DRUK: Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa — Książka — Ruch". 90-950 Łódź, ul. Armii Czerwonej 28.
Redakcja nie zwraca nie zamówionych rękopisów i zastrzega sobie prawo do skrótów.
Warunki prenumeraty: 1. dla instytucji i zakładów pracy: — zlokalizowane w miastach wojewódzkich i pozostałych miastach w których znajdują się siedziby Oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" zamawiają prenumeratę w tych oddziałach: — instytucje i zakłady pracy zlokalizowane w miejscowościach, gdzie nie ma oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doreczycieli. 2. dla indywidualnych prenumeratorów: osoby fizyczne zamieszkałe na wsi i w miejscowościach, gdzie nie ma oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doreczycieli: osoby fizyczne zamieszkałe w miastach — siedzibach Oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" opłacają prenumeratę wyłącznie w urzędach pocztowych nadawczo-oddawczych właściwych dla miejsca zamieszkania prenumeratora Wpłaty dokonuje się używając „blankietu wpłaty" na rachunek bankowy miejscowego Oddziału RSW „Prasa — Książka — Ruch". 3 Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa — Książka — Ruch" Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 28 00-958 Warszawa, konto NBP XV Oddziału w Warszawie nr 1153-201045-139-11. Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę pocztą zwykłą jest droższa od prenumeraty krajowej o 50 proc. dla zleceniodawców indywidualnych i o 100 proc. dla zlecających instytucji i zakładów pracy Terminy przyjmowania prenumeraty na kraj i za granicę — do dnia 10 listopada na I kwartał i półrocze roku następnego oraz cały rok następny — do dnia 1 każdego miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty roku bieżącego.

Zam. 208. P-2

Odgłosy

Przegląd prasy

Każdy chciałby wiedzieć, co go czeka? Nie każdy ma odwagę pójść do wróżki, bo nie każdy wierzy, że wróżka akurat wie, co go spotka w najbliższej przyszłości. „PRZEKRÓJ" (nr 2068 z 27 stycznia 1985 roku) słusznie wyśmiewa ogłoszenie jakiegoś poznańskiego cwaniaka, który tak zachęca naiwnych w „Expressie Poznańskim": *„UCZĘ skutecznej gry w totalizatora piłkarskiego systemami, blokami"*. „Przekrój" radzi tak znakomitego nauczyciela przyjąć natychmiast do ZNP, gdyż gdyby nie był on takim altruistą, to sam powygrywałby wszystkie zakłady piłkarskie we wszystkich totalizatorach na świecie. A skoro tego nie uczynił...

Każdy z nas wie, że wszelkie prognozy są tylko i wyłącznie prognozami, a więc ich prawdopodobieństwo sprawdzenia się jest różne. Wieczorem oglądamy w telewizji prognozę pogody, a rano biegniemy do termometru, wyglądamy przez okno, aby sprawdzić, na ile była prawdziwa. Meteorolodzy już nauczyli się dokładniej przewidywać zmiany w naszej atmosferze i ich prognozy sprawdzają się często i to dość dokładnie. Bezsprzeczny sukces nauki. Nie we wszystkich jednak dziedzinach nauka odniosła takie sukcesy. Prognozowanie w naukach społecznych również oparto na naukowych podstawach. Wiemy, jaki jest główny kierunek rozwoju, jakie są prawidłowości rozwoju społecznych formacji. Ale w szczegółach często się gubimy i mylimy. Nie zmniejsza to jednak popularności wszelkiego rodzaju ankiet na temat tego

CO NAS CZEKA W PRZYSZŁOŚCI

bo chcemy tę przyszłość kształtować na miarę naszych ambicji, marzeń i przyszłych potrzeb, a jednocześnie zgodnie z realnymi możliwościami. Ciągle więc aktualnym jest pytanie: co i jak robić? Z tego to powodu „POLITYKA" ogłosiła ankietę pt. *„Nowe czterdziestolecie"*, a w numerze 4 (z 26 stycznia 1985 roku) Marian Orzechowski dokonał jej podsumowania. W ankiecie wypowiedziało się wielu wybitnych polskich uczonych. Marian Orzechowski zwraca więc uwagę na różnorodność prezentowanych poglądów na naszą przyszłość, na ich kontrowersyjność i subiektywność. Nie oddają one wszystkich możliwych punktów widzenia panujących w podzielonym społeczeństwie. Ale coś przecież z tej ankiety wynika.

Przede wszystkim wynika to, że moglibyśmy sobie lepiej uświadomić nasz związek z losami świata. Często w myśleniu Polaków pojawia się schemat wyobcowanej, wyizolowanej Polski, jakby oderwanej od losów świata. A tymczasem jej los jest ściśle związany z losami innych państw i narodów. A świat stanął na rozdrożu. *„Jedna z dróg* — pisze M. Orzechowski — *prowadzi prosto do termonuklearnej zagłady i unicestwienia ziemskiej cywilizacji — druga — do jej trwania i rozwoju, którego wyznacznikami będą rywalizacja systemu kapitalistycznego i socjalistycznego, oraz cywilizacyjne wyzwania związane z rozwojem nowoczesnych środków produkcji i technologii, z wyczerpaniem się znanych dotychczas źródeł surowców i energii, zagrożeniami ekologicznymi, eksplozją demograficzną itp.". Niewesoła to przyszłość, ale gwarantuje trwanie ludzkości i każdy chciałby, aby świat te właśnie drogę wybrał.**

Przyszłość, choć nie całkiem jasna, ale wyobrażalna, nie będzie nam dana z góry. Musimy ją sami ukształtować, dlatego nie wolno nam się tak bardzo pomylić w jej planowaniu. Nie możemy bowiem pozostać w tyle za resztą świata, za jego czołówką cywilizacyjną. Kryzys powoduje, że pozostajemy. Musimy jednak gonić cywilizowany świat w jego rozwoju i zależeć ten pościg będzie tylko od naszej pracy.

Marian Orzechowski słusznie podkreśla, że myślenie o przyszłości jest obowiązkiem, gdyż naród nie może żyć tylko dniem dzisiejszym bez widzenia perspektywy. Ale, jak myśleć o przyszłości? Muszą być tego myślenia jakieś wyznaczniki. M. Orzechowski wylicza ich kilka: zasady ustrojowe Polska trwale związana jest z socjalizmem i jej przyszłość zależy od prawidłowego rozwoju ustroju i jego przenikania do wszystkich form i sfer życia społecznego; nadrzędne interesy klasy robotniczej, która *„najbardziej, najżywotniej zainteresowana jest w urzeczywistnianiu celów socjalizmu"*; racjonalne widzenie możliwości i potrzeb i realizm w ocenie interesów, nastrojów, postaw i przekonań różnych grup społecznych.

Sądzę, że wszystkie te uwarunkowania myślenia o przyszłości są jednakowo ważne, ale chciałbym szczególną uwagę zwrócić na potrzebę realizmu w ocenie nastrojów, postaw i przekonań, gdyż ciągle obracamy się w sferach mitów. Jeden z nich głosi, że

NA KONTRAKCIE TO WSPANIAŁE JEST ŻYCIE,

a w rzeczywistości jest tam ciężka harówa i od czasu do czasu komuś *„palma rośnie"* czyli dostaje zajoba na jakimś punkcie i może sobie podciąć żyły lub powiesić się, co nie jest wcale taką rzadkością. Pisze o tym w różowym dodatku do „Polityki" („POLITYKA — EKSPORT — IMPORT" nr 2 styczeń 1985) Andrzej Mozołowski. Oto próbka:

„Od żaru i dustu gorsza jest jednak rozłąka z rodziną, samotność. Życie w campie ograniczone ogrodzeniem z drutu, między barakami pustynny grunt z kępkami szarych kolczastych porostów, białe płaty soli, straszliwa monotonia wędrówek: barak — świetlica — stołówka — barak. W okolicach Kirkuku, zagrożonych działaniami kurdyjskich partyzantów, obowiązuje godzina policyjna: po trzeciej nikomu nie wolno opuścić campu. A więc ludzie po pracy nie mogą go opuszczać w ogóle... Więzienie".

Jedni szukają ukojenia w wódce i ostro piją, inni popadają w apatię, inni rozrabiają a mniej wytrzymali popełniają samobójstwo. Taka jest niekiedy cena wysyłanych do kraju dolarów, które mają zapewnić spokojną przyszłość, rozwiązać wszystkie trudności, pozbawić kłopotów. Jest to jednak wyjście dla nielicznych. A i nie wszyscy chętni mogą doczekać się takiego szczęścia. *„U nas w Szczecinie to kosztuje 300 dolarów"* — powiedział Andrzejowi Mozołowskiemu pewien kierowca i był jedynym, który miał odwagę powiedzieć to, co wszyscy wiedzą, ale *„o sobiście z niczym takim się nie zetknęli"*. Kogo stać na 300 dolarów, niech jedzie w świat szukać szczęścia. Cała reszta musi tu, nad Wisłą, znaleźć sposób na to, aby przyszłość jawiła się spokojnie, bez strachu, że zabraknie do pierwszego i nie będzie co postawić dzieciom na stole rano, w obiad czy wieczorem.

Musimy stale myśleć o tym jak najlepiej rozwiązywać nasze sprawy, najskuteczniej. Musimy oduczyć się marnotrawstwa, bezmyślności, wyzbyć się nieudolności. Na przykład, co zrobić.

ŻEBY URODZAJ JABŁEK NIE BYŁ KLĘSKĄ

A teraz tak bywa. Pisze o tym w tym samym wydaniu Polityki — Eksportu — Importu" Andrzej Lesławski w artykule pt. *„Gdzie toczą się polskie jabłka"*. Jabłka mamy dobre, smaczne i poszukiwane. Sady mamy nowoczesne. I jesteśmy jabłczaną potęgą. Tylko jabłkami handlować nie potrafimy. *„Czy można by sprzedać więcej jabłek za granicę?"* — pyta Andrzej Lesławski i odpowiada: *„Zapewne tak"*. Ale też zaraz dodaje: *„Jednakże cała uwaga eksporterów koncentruje się teraz nie na jabłkach, lecz na zgęszczonym soku jabłkowym, czyli koncentracie. Tu zbyt jest właściwie nieograniczony"*. Ludzie na świecie coraz mniej interesują się sokiem pomarańczowym i coca-colą, a zaczynają coraz bardziej interesować się sokiem jabłkowym. Sok jest zdrowszy, a jego produkcja bardziej opłacalna.

A. Lesławski podaje kalkulację: *„Za tonę świeżych jabłek dostajemy np. od zachodnioniemieckiego importera 85 marek, za koncentrat zaś wykonany z tej samej ilości jabłek — 150 marek"*. I koncentrat można przewozić w cysternach, a jabłka trzeba specjalnie pakować. Polscy producenci kupili sobie już linie do wytwarzania soku z jabłek. I bardzo dobrze. Ale moda na sok może przeminąć, jak się pojawiła, a piękne, żywe jabłko nadal pozostanie poszukiwanym towarem. Nie zaniedbujmy więc sztuki handlu jabłkami. I pamiętajmy, że jabłka można wymieniać na inne produkty. U nas jest nadmiar jabłek, a w innych krajach... cytryn. Nasze jabłko ma tam wartość ich cytryny u nas. A może by tak wymieniać jabłka na cytryny? Co o tym sądzą handlowcy? Andrzej Lesławski pisze, że niemal każdy eksporter dokonywał takiej wymiany: towar za towar. W niewielkiej jednak skali. Czy tym towarem były też jabłka? Może warto popróbować! O ile wiem, inni już to robią.

Stawiamy sobie różne pytania. Jedno z nich brzmi z pozoru banalnie:

DLACZEGO GAZ WYBUCHA?

Włodzimierz Krzyżanowski w „PRZEGLĄDZIE TYGODNIOWYM" (nr 4 z 27 stycznia 1985 roku), wyjaśnia, że wystarczy 5 proc. gazu ziemnego w powietrzu i iskra, aby nastąpił wybuch. Ale to niczego nie wyjaśnia, bowiem w powietrzu nie ma prawa w ogóle być gazu. Od tego są służby specjalne gazownictwa, aby gaz się nie ulatniał i nie wybuchał. A gaz się ulatnia i wybucha.

Wojciech Krzyżanowski w artykule *„Gaz!"* wyjaśnia dalej, że 35 proc. uszkodzeń powstaje na skutek korozji rur, 15 proc. na skutek niewłaściwych prac spawalniczych, czyli — po prostu — złego spawania, a 10 proc. awarii robi budownictwo. Przykładem tego może być wybuch gazu na Retkini w Łodzi. Oskarżeni o spowodowanie nieumyślne tego wybuchu stanęli przed Sądem Wojewódzkim.

Czy można skutecznie zapobiegać awariom, aby gaz nie wybuchał? Można, choć trudno powiedzieć, że będzie to skuteczność stuprocentowa. Można na przykład rury stalowe zastąpić rurami polietylenowymi. Są dłuższe, mają więc mniej połączeń. Ale u nas takich rur jest zaledwie kilka kilometrów. Nie ma polietylenu, szczególnie o dużej gęstości, nie ma rur, nie ma problemu. Jest natomiast spór o to, czy lepsze są gazociągi żeliwne, niegdyś produkowane, czy stalowe, dziś stosowane.

A gazu będziemy mieli coraz więcej. Wszystko wskazuje na to, że zwiększymy import gazu z ZSRR. Ale też i w przyszłości, już niedalekiej wzrośnie cena gazu, bo koszt pozyskania metra sześciennego gazu wynosi 8 zł, a odbiorca płaci 2,70 zł za jego zużycie. Ale to tylko na marginesie problemu sygnalizuje Włodzimierz Krzyżanowski, bo głównie chodzi mu o to, aby używanie gazu nie było niebezpieczne. Wspomina więc o tym, że są sposoby wykrywania nieszczelności, że mamy najlepsze przepisy gwarantujące bezpieczeństwo, a po wybuchu w Rotundzie, w Warszawie w 1979 roku, zostały one jeszcze zaostrzone i mamy mało skuteczną praktykę. Gazociągi, aby były bezpieczne wymagają czyszczenia. *„Prawie nikt gazociągów nie czyści, bo nie ma tak zwanych śluz..."* Używanie gazu nie jest jednak zabawą. Kosztowało już niejedno ludzkie życie. W tej dziedzinie nie można niczego zlekceważyć i nie można być bezmyślnym, leniwym i bez poczucia odpowiedzialności. Potrzebna tu jest też wyobraźnia. Gaz — jak to ładnie pisze Wł. Krzyżanowski — ma służyć człowiekowi a nie zabijać!

Na zakończenie aktualna myśl Wacusia z cytowanego już numeru „Przekroju":

— *„Falczak tak się przejął tym, co mówią w telewizji, że sam już tłumaczy Falczakowej, że wysokie ceny wcale nie są takie kosztowne".*

LUCJAN BOGUSZ

Minął tydzień

1 LUTEGO 1985 ROKU MIJA 40 LAT

od utworzenia ZPO im. dr Adama Próchnika w Łodzi. Do tego czasu istniała Fabryka Odzieży „Warta". Dziś „Próchnik" jest uznanym producentem odzieży. Kurtki i płaszcze z „Próchnika" cieszą się dużą popularnością nie tylko w Polsce. Zakłady eksportują odzież do znanych firm handlowych w Anglii, Francji, Danii, Holandii, Kanadzie, RFN, USA. Kontakt z zagranicznymi firmami powoduje, że łódzki producent ma bieżące informacje o nowych wzorach i konstrukcjach odzieży, rodzajach i wzorach tkanin oraz technologii produkcji.

Na Zakłady Przemysłu Odzieżowego im. dr Adama Próchnika składa się pięć filii, z tego dwie — zakład przy ul. Promińskiego pełni rolę centrali — znajdują się w Łodzi, i po jednej w Poddębicach Rawie Mazowieckiej i Uniejowie.

Załodze popularnego „Próchnika" życzymy dalszych sukcesów produkcyjnych, żeby ich kurtki i płaszcze mógł kupić każdy, komu przyjdzie tylko na to ochota i będzie miał pieniądze.

MINISTER ZDZISŁAW KRASIŃSKI O REGLAMENTACJI

wypowiedział się w „Trybunie Ludu". Jak wynika z tej wypowiedzi, konsultacja pokazuje, że ludzie wybierający warianty II i III są też za utrzymaniem reglamentacji. „Wynika to, jak sądzę — powiedział min. Z. Krasiński — z głębokiego urazu, który utrwalił się w społeczeństwie w 1981 roku. Urazu nie kończących się kolejek do sklepów spożywczych, bezskutecznego uganiania się za kostką masła lub kilogramem mąki". Z tego to powodu ludzie nadal boją się zniesienia reglamentacji, która — mimo wielu różnych mankamentów — daje ludziom poczucie pewności i bezpieczeństwa. To minimum, jakie im się należy, mają zapewnione.

Prof. Zdzisław Krasiński ze swej strony proponuje rozwiązanie pośrednie, kompromisowe. Uważa — i słusznie — że kiedy tylko wytwarza się możliwość zniesienia reglamentacji, trzeba z tej możliwości skorzystać. Tak więc przyjęcie II lub III wariantu cen powinno stworzyć możliwość istnienia obok siebie dwu systemów, reglamentacyjnego i wolnej sprzedaży. Każdy będzie miał kartki jako gwarancję możliwości kupna minimum artykułów spożywczych, na przykład masła, a jednocześnie będzie mógł kupować takie same towary i po tych samych cenach w wolnej sprzedaży. Gdy zniknie szok, gdy wszyscy przekonają się, że produktów spożywczych nie brakuje, wtedy można będzie całkowicie zawiesić reglamentację.

AMERYKAŃSKI WAHADŁOWIEC „DISCOVERY" WYSTARTOWAŁ

spełniając tajemniczą misję wojskową. Jak wynika z informacji podanych przez „Washington Post" ma on osadzić największego do tej pory satelitę szpiegowskiego na wysokości 35 km nad europejską częścią ZSRR. Satelita ważyć ma 14 ton, a więc jest 10 razy cięższy od do tej pory instalowanych. Radzieccy naukowcy nie wykluczyli takiej możliwości. Uznano, że wojskowa misja wahadłowca „Discovery" jest dalszym krokiem w kierunku militaryzacji kosmosu. Fakt ten nie ułatwi rozbrojeniowych rozmów radziecko-amerykańskich.

UNIWERSYTET PODLASKI W BIAŁYMSTOKU

ma powstać dzięki społecznym staraniom inteligencji województw północno-wschodnich. W Białymstoku jest już Akademia Medyczna i Politechnika Białostocka. Od 1978 roku filia Uniwersytetu Warszawskiego stała się największą białostocką uczelnią. Studiuje w niej 3 800 słuchaczy i pracuje 450 nauczycieli akademickich. Ale ustawa z 4 maja 1982 roku znosi wszystkie filie. A więc przyszła pora na samodzielność białostockiej uczelni? Entuzjaści Uniwersytetu Podlaskiego gromadzą pieniądze, książki, aparaturę i opracowali już koncepcję tej uczelni. Ale jej powołanie do życia — mimo to — nie będzie łatwe.

ZMIENNA POGODA GROZI POWODZIĄ

W nadwiślańskich rejonach płockiego ogłoszono stan podwyższonej gotowości. Na Zalew Włocławski wyjechały lodołamacze dla skruszenia powłoki lodowej przed zaporą we Włocławku, aby umożliwić łagodny spływ kry lodowej. I choć specjaliści pocieszają, że tym razem nic nie grozi mieszkańcom nadwiślańskich wsi i miasteczek, to zaniepokojenie istnieje i prowadzi się wszelkie przygotowania, aby nie dać się zaskoczyć powodzi.

PROCES W SPRAWIE WYBUCHU GAZU NA RETKINI

toczy się przed Sądem Wojewódzkim w Łodzi. Oskarżonymi o nieumyślne spowodowanie wybuchu gazu, śmierć 8 osób i spowodowanie znacznych strat materialnych są: geodeta Kazimierz M. i kierownik grupy robót z Miejskiego Przedsiębiorstwa Instalacyjnego — Stanisław B. Przed sądem stanie 39 świadków i odczytane zostaną zeznania 32 świadków, których przed sąd nie powołano. Oskarżeni nie przyznali się do wszystkich zarzucanych im czynów.

W istocie jest to proces o lekceważenie obowiązków i odpowiedzialności.

TRUCIZNA W KRANACH

Nie wiadomo skąd i jak się wzięła. Wiadomo tylko, że trzeba było ewakuować mieszkańców jednego z domów przy ul. Piwnej w Łodzi oraz płukać kolektory. Stwierdzono w wodzie duże stężenie benzenu i toluenu. W jaki sposób substancje te przedostały się do sieci wodociągowej — tego nie wiadomo. Winnych nie udało się odnaleźć.

A. B. SEKATOR

Styczeń, luty 1905 roku (1)

Dokończenie ze strony 1

kienniczym płace wynosiły około 65 procent tego, co zarabiali robotnicy w innych gałęziach gospodarki Królestwa Polskiego.

Szukano różnych sposobów pomocy biednym i bezrobotnym. Ale sposoby te były ograniczone. Wydawano bezpłatne obiady, dawano zasiłki, ale — jak stwierdził to sam gubernator K. Miller — *„wszystkie te środki nie zaspokajają, bynajmniej potrzeb całej klasy robotniczej"*. Towarzystwa dobroczynne: Łódzkie Chrześcijańskie Towarzystwo Dobroczynności i Łódzkie Żydowskie Towarzystwo Dobroczynności nie posiadały funduszy na swą działalność. Umyślono wtedy ułatwic emigracje zarobkową łódzkim robotnikom. Jednym sugerowano wyjazd za granicę w poszukiwaniu pracy, innym wyjazd do tych rejonów Rosji, gdzie mało było ludzi do pracy. Powołano ich bowiem do wojska. Robotników poszukiwały kopalnie Jekaterynowskiego Towarzystwa Górniczego w okręgu taganroskim, poszukiwały fabryki Kaukaskiego Towarzystwa Akcyjnego, gdzie brakowało wykwalifikowanych tkaczy. Gubernator K. Miller wystąpił do kolei Warszawsko-Wiedeńskiej o wydanie chętnym bezpłatnych biletów, a do władz policyjnych o wydawanie paszportów chętnym do emigracji zarobkowej. Ale wszystko to były krople w morzu potrzeb.

Wojna japońsko-rosyjska przypadła na lata kryzysu. W Rosji, a szczególnie w Królestwie Polskim kryzys ten dał się odczuć w latach 1904—1907. Skutki kryzysu pogłębiła wojna, a także klęski żywiołowe. Rolnictwo rosyjskie odczuło mocno wpływ powodzi z 1903 roku i suszy z 1904 roku. Gwałtownie wzrosły ceny zboża i ziemiopłodów. Nawet pracującym nie starczało na utrzymanie rodziny. Trudne były też warunki pracy. Czas pracy wynosił 11 i pół godziny na dobę z przerwą na posiłek. Robotnicy 1 proc. zarobku oddawali na utrzymanie fabrycznych ambulatoriów. Za najmniejsze przewinienie karano grzywnami. Wielu majstrów i dyrektorów dopuszczało się gwałtów na robotnikach. Zdarzały się wypadki bicia, nastawano na cnotę dziewcząt, wyzyskiwano młodocianych.

3. W ŁODZI

Niespokojny był już rok 1904. Narastający kryzys, wojna japońsko-rosyjska, spadek produkcji w łódzkich fabrykach, pogarszające się warunki pracy i życia rodziły sprzeciw. Strajkowano i demonstrowano coraz częściej. 18 września 1904 roku po nabożeństwie w kościele św. Krzyża na rogu ul. Przejazd (Juliana Tuwima) i Mikołajewskiej (Henryka Sienkiewicza) grupa ludzi urządziła demonstracje przed domem, w którym mieszkał łódzki policmajster Ilarion Chrzanowski. O przebiegu demonstracji informował agent Ochrany nr 3484. Rozwinięto sztandar z napisami: *„Niech żyje PPS. Precz z caratem"* z jednej strony i z napisem: *„Pracy i chleba"* z drugiej. W okna mieszkania I. Chrzanowskiego rzucano kamieniami; ale stłuczono zaledwie jedna szybę. Ilariona Chrzanowskiego akurat nie było w Łodzi. Po powrocie pisał do gubernatora piotrkowskiego K. Millera z prośbą o zwiększenie policji i wojska w Łodzi.

Demonstrowano też przeciw poborowi do wojska. Pułkownik L. K. Uthof, szef carskiej żandarmerii w guberni piotrkowskiej meldował w październiku 1904 roku, iż po ogłoszeniu mobilizacji w niektórych powiatach guberni łódzki „Bund" wezwał do urządzenia demonstracji przeciw poborowi. Przy okazji pisał, że *„Polska Partia Socjalistyczna korzysta z każdego wypadku zgromadzenia się ludzi, by wzywać tłum do zamieszek, przy czym rozwija się zwykle czerwony sztandar"*.

25 października 1904 roku na Starym Rynku (chodzi o Plac Kościelny) po mszy w kościele Wniebowzięcia Najświetszej Marii Panny około 150 osób zebrało się na cmentarzu przykościelnym, rozwinęło czerwony sztandar z napisem: *„Niech żyje Polska"* i zaczęło śpiewać *„pieśń rewolucyjną"* — *„Boże, coś Polskę"*. Doszło do starcia z policją. Największa manifestacje przeciw poborowi do wojska zorganizowała PPS 15 stycznia 1905 roku na ulicy Piotrkowskiej między Zawadzka (dr Adama Próchnika) i Nowym Rynkiem (Plac Wolności). Doszło tam do starcia z policją. Policja zastrzeliła chorążego manifestacji, syna szewca Tadeusza Książaka. Zatrzymano — jak raportował pułkownik L. K. Uthof — 16 osób, dwie z nich były uzbrojone w długie sztylety.

17 stycznia 1905 roku wybuchł w Łodzi, w fabryce Karola Steinerta strajk. Wyrzucono z fabryki 14 tkaczy, których posądzono o podburzanie robotników przeciw fabrykantowi i przeciw carskiej władzy. Za wyrzuconymi ujęło się 400 tkaczy, a *„reszta fabryki wkrótce też stanąć musiała"* — jak doniósł z Łodzi *„Katowitzer Zeitung"*. Wiadomość te powtórzyło pismo SDKPiL *„Z pola walki"*. Ogółem — pisano w *„Z pola walki"* — *„1 000 robotników rzuciło pracę, odbywały się masowe zebrania... podniecenie wśród mas ogromne, charakterystyczne jest, że pomimo ogólnego bezrobocia nie było łamistrajków"*. Strajkiem tym kierowała łódzka organizacja SDKPiL.

Chciałbym w tym miejscu jeszcze raz zwrócić uwagę na datę: 17 stycznia 1905 roku, a więc na kilka dni przed „Krwawą niedzielą" w Petersburgu. Jest to o tyle istotne, że wydarzenia 1905 roku usiłowano niekiedy tłumaczyć jako reakcję na to, co stało się w Petersburgu. A tymczasem w Łodzi sytuacja strajkowa, sytuacja polityczna, rozwijała się samodzielnie, wynikała z wewnętrznych przyczyn, jakie tu istniały. Można ówczesną Łódź porównać do beczki prochu. Potrzeba było tylko iskry. I ta iskrą stały się wydarzenia w Petersburgu. *„Z pola walki"* w 1905 pisało:

„Przed wybuchem strajku powszechnego odbył się strajk w fabryce Steinerta, prowadzony przez miejscowy komitet naszej partii. Strajk ten dał naszym towarzyszom powód do zwoływania masowych zebrań, masa robotnicza Łodzi była ogromnie nim zainteresowana i pobudzona, a gdy przyszły jeszcze wiadomości o Petersburgu... grunt do strajku powszechnego był już przygotowany".

4. W PETERSBURGU

Kryzys gospodarczy znacznie pogorszył i tak już zła sytuacje robotników w Rosji. Nie bez znaczenia była tu wojna japońsko-rosyjska. Wszystko to razem groziło wybuchem. I wybuch taki nastąpił.

Już od dłuższego czasu próbowano w Rosji zahamować rozwój ruchu robotniczego przejmując nad nim kontrole Ochrany i podporządkowując go policji. Była to realizacja idei *„socjalizmu policyjnego"* Sergiusza Zubatowa. Tak powstało w Moskwie Stowarzyszenie Wzajemnej Pomocy Robotników Przemysłu Maszynowego oraz Żydowska Niezależna Partia Robotnicza. I choć wprawdzie po wielkim strajku w 1903 roku w Odessie idea Sergiusza Zubatowa upadła, a on sam po październiku 1917 roku popełnił samobójstwo, to resztki tej idei legły u podłoża „Krwawej niedzieli".

Idee Sergiusza Zubatowa przejął na początku 1904 roku pop Gieorgij Gapon. Pochodził z Ukrainy, seminarium duchowne ukończył w Połtawie, studiował w Petersburgu. Był doskonałym mówcą, miał interesującą powierzchowność, działał wśród biedoty z przedmieść Petersburga. Znał też Sergiusza Zubatowa. Miał duże uznanie wśród ludu. Wystąpił do Ministerstwa Spraw Wewnętrznych o zarejestrowanie Stowarzyszenia Rosyjskich Robotników Fabrycznych Miasta Petersburga. Stało się to w lutym 1904 roku. Gaponowskie Stowarzyszenie szybko zyskało popularność w Petersburgu. Pod koniec 1904 roku miało już 11 oddziałów i 8 tysięcy członków.

Również pod koniec 1904 roku w Zakładach Putiłowskich zwolniono czterech robotników, którzy byli członkami Stowarzyszenia utworzonego przez popa Gieorgija Gapona. Interwencja popa nie przyniosła żadnego rezultatu. 3 stycznia 1905 roku zastrajkowała cała załoga Zakładów Putiłowskich. W oddziałach Stowarzyszenia nieustannie dyskutowano nad powstałą sytuacją. W ten sposób strajk w Zakładach Putiłowskich nabrał ogólnego znaczenia. Pop Gieorgij Gapon w czasie tych dyskusji wpadł na pomysł wystąpienia z petycja do cara. Uroczysta procesja ludu Petersburga miała udać się pod Pałac Zimowy i wręczyć petycje carowi.

W dyskusji nad petycja brali też udział rosyjscy socjaldemokraci. Byli oni wprawdzie przekonani o bezskuteczności zwracania się do cara, ale nie mogli powstrzymać robotników przed pójściem pod Pałac Zimowy. Wpłynęli jedynie na kształt petycji, wprowadzając do niej postulaty natury politycznej: powołanie przedstawicielstwa narodowego, wprowadzenie odpowiedzialności ministrów za to, co robią, zapewnienie wszystkim równych praw, zakończenie wojny z Japonią.

22 stycznia 1905 roku od samego rana pod Pałac Zimowy w Petersburgu ciągnęły pochody odświętnie ubranych ludzi. Szli całymi rodzinami. Jeden z takich pochodów prowadził pop Gieorgij Gapon. Miał na sobie szaty liturgiczne i w ręku niósł krzyż. W pochodach tych niesiono też cerkiewne chorągwie. Policja próbowała wiele pochodów zatrzymać. Padły strzały. Byli ranni i zabici. Pochód prowadzony przez popa Gieorgija Gapona dotarł jednak pod Pałac Zimowy. Tu oczekiwała go policja. Otworzyła ogień, karabinowy do manifestacji. Tego dnia zginęło w Petersburgu tysiąc osób, a rannych było kilka tysięcy.

W tym czasie w Rosji ludzie powszechnie wierzyli, że „batiuszka car" jest dobry, jest ojcem ludu rosyjskiego, tylko urzędnicy są źli, biorą łapówki i gnębią lud. Tego dnia, 22 stycznia 1905 roku, na Placu Zimowym została rozstrzelana wiara w dobrego cara.

Interesujące są dalsze losy popa Gieorgija Gapona. Do pewnego czasu podejrzewano go że był agentem Ochrany i specjalnie poprowadził lud pod Pałac Zimowy, aby policja mogła rozgromić robotniczą manifestację. Ludwik Bazylow w drugim tomie „Historii Rosji" zaprzecza takiemu poglądowi. Pop Gieorgij Gapon z Ochrana związał się znacznie później.

Na placu pod Pałacem Zimowym cudem uniknął śmierci. Ukrył się i uciekł za granice. Tam związał się z eserowcami. Przyjmowali go wybitni mężowie stanu. Udzielał wywiadów, za które brał wysokie honoraria. Spotkał się z Włodzimierzem Leninem i Jerzym Plechanowem, z którymi przeprowadził rozmowy. Po ogłoszeniu amnestii w Rosji powrócił do kraju. Wtedy właśnie nawiązał współpracę z policja. Zaczął wydawać przywódców eserowskich. Był na utrzymaniu carskiej Ochrany. 10 kwietnia 1906 roku został zastrzelony przez bojówkę eserowską za zdradę.

5. PIERWSZE WIADOMOŚCI

Wiadomość o masakrze w Petersburgu szybko rozeszła się po Rosji i świecie. Już następnego dnia Zarząd Główny SDKPiL wydał odezwę pt. *„Strajk powszechny i rewolucja w Petersburgu"*. Odezwa ta była masowo kolportowana również w Łodzi. W odezwie tej pisano:

„Robotnicy! W niedziele, dnia 22 stycznia, wybuchła w Petersburgu rewolucja. Dziesiątki tysięcy robotników usiłowało przedostać się z dzielnic fabrycznych przed pałac carski z groźbą, że zburzą pałac, jeśli lud nie otrzyma wolności".

Były to pierwsze wieści, a więc były nieścisłe. Zresztą w odezwie lojalnie przyznawano się do tego:

„W chwili, gdy to piszemy, nie ma więcej wiadomości z Petersburga. Rząd nie przepuszcza telegramów prywatnych".

O wydarzeniach w Petersburgu, a także w innych miastach Imperium Carskiego pisały gazety. Wiele wiadomości o tych wydarzeniach przywożono z zagranicy. Pułkownik L. K. Uthof skarżył się nawet gubernatorowi piotrkowskiemu M. Arcimowiczowi (nastąpiła zmiana na tym stanowisku. K. Millera zastąpił Michaił Arcimowicz), że *„pod wpływem doniesień różnych gazet o strajkach w Petersburgu, Moskwie, Wilnie itd. w Łodzi daje się również zauważyć wrzenie"*. Pułkownik L. K. Uthof nie mógł rozumieć, że wiadomości o „Krwawej niedzieli" i strajkach w Rosji spełniły tylko role iskry, która zapaliła naładowaną już prochem beczkę.

„...w tej rewolucji — pisano w odezwie SDKPiL — *nie może, nie powinno zabraknąć robotników polskich! Polska klasa robotnicza musi znaleźć się w szeregach rewolucji, w walce o wolność!*

Robotnicy! Wszystko wskazuje na to, że nastaje dzień ostatecznej rozprawy z rządem cara. Rewolucja w Petersburgu zaczęła się nie sztucznie i nie garstka spiskowców ją wywołała. Rozpoczęła się od strajku 12 000 robotników putiłowskich".

W następnej odezwie wzywano już:

„Do strajku powszechnego!"

Do Łodzi odezwa ta dotarła 27 stycznia 1905 roku i natychmiast była rozkolportowana wśród robotników. Tego dnia zaczął się też w Łodzi strajk powszechny.

„Robotnicy! — wzywała SDKPiL — *A czy wy nie znosicie strasznej nędzy? Czy wy zarabiacie tyle, abyście mogli żyć po ludzku? Czy nie pracujecie całe życie tylko dla zbogacenia kapitalistów? Czy macie jakiekolwiek prawa ludzkie pod rządem carskim? Wiecie aż nadto dobrze, że i u nas w kraju, jak wszędzie w Rosji, niszczycie siły swoje i życie na usługach pijawek kapitalistycznych i rządu carskiego, że panuje nad wami, jak nad robotnikami w całym państwie knut carski, pięść policji, nahajka kozacka.*

A więc, towarzysze, nadszedł czas, kiedy i polscy robotnicy powinni pośpieszyć do szeregu, do wspólnej walki o wspólne żądania robotnicze w całym państwie.

Wszędzie, gdzie panuje wyzysk, niech ustanie praca w fabrykach i warsztatach, w hutach, kopalniach i na kolejach, na znak, że jesteśmy zdecydowani walczyć o ludzkie życie".

Gdy tylko zaczął się strajk powszechny w Łodzi, przedstawiciele wielkich łódzkich fabryk: Karola Scheiblera, Ludwika Grohmana, I. K. Poznańskiego i Ludwika Geyera wysłali do M. Arcimowicza telegram następującej treści:

„Strajk przybiera groźny charakter. Zdając sobie sprawę z dotkliwego braku policji goniącej resztkami sił i szczupłości garnizonu prosimy Waszą Ekscelencje wzmocnić garnizon".

Już następnego dnia przybyły do Łodzi dwa pułki piechoty i oddział kozaków.

Tak zaczęły się wydarzenia, które otrzymały miano rewolucji 1905 roku.

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

Potrzeba było tylko iskry

Gdy rozum śpi, budzą się upiory

Jeżeli rośnie ciśnienie otaczającej nas rzeczywistości, a intelekt i sumienie nie potrafią sobie z nim poradzić, to u wielu z nas nieunikniony jest przypływ agresji. Tym bardziej nieunikniony, im szybciej i gruntowniej ulegają atrofii te struktury i układy odniesień, które nam dotąd wszystko tłumaczyły. Jeżeli nie potrafimy wystarczająco szybko, na własny i grupowy użytek, odbudować równowagi i jednoznaczności norm życia zbiorowego oraz reguł pojmowania świata, to w tym coraz bardziej obcym i niezrozumiałym świecie będziemy stawać się dogmatycznymi ekstremistami — i to spod różnych, zwalczających się znaków.

Piszę o tym dlatego, że odbieram coraz więcej objawów narastania sui generis agresji na płaszczyźnie światopoglądowej — z konsekwencjami praktycznymi już na gruncie naszego życia publicznego.

Jak dotąd akty agresji są tylko werbalne, ale droga od nich do czynów wcale nie jest tak odległa, jak się powszechnie sądzi. Zresztą i słów lekceważyć nie wolno. Słowa wprawdzie nie zabijają i nie burzą, ale potrafią „rozporządzać" umysłami ludzi nie gorzej, niż fizyczna przemoc.

Wśród dziesiątków listów do naszej redakcji wcale często znajdujemy anonimowe wezwania od opamiętania czy zgoła groźby — a to sądu bożego, a to ludzkiej zemsty; nadchodzą, gdy tylko napiszemy coś o współczesnych sprawach katolickiego kościoła w naszym państwie lub gdziekolwiek w świecie. Do tego typu nietolerancji już przywykliśmy — to prawie już polska norma życia publicznego. Takie już jest to życie, gdy objaw degeneracji staje się normą...

Kilka tygodni temu przyszedł inny list — też anonimowy — w którym atakuje się naszą redakcję (i chyba nie tylko naszą, bowiem sądzić można, że list został rozesłany do wielu adresatów) za to, iż nie daje stosownego odporu politycznym knowaniom kościoła katolickiego, że nie obnaża prawdziwych intencji kleru — a tylko korzy się przed „papiestwem".

Azaliż byłby to głos jedynego sprawiedliwego w Sodomie? Nie, to jest — jak sądzę — objaw podobnej agresji, jak ta, która kieruje autorami listów z pogróżkami sygnowanymi znakiem krzyża, tyle że wymierzonej w innym kierunku. Agresja ta wypływa wprost z wadliwego rozpoznania rzeczywistości, z przeświadczenia o totalnie spolaryzowanej, mafijno-spiskowej strukturze życia społecznego w naszym kraju. Wynika też z mniemania, że istnieje stan propagandowej wojny państwa z kościołem, wojny, która nie jest dostatecznie wspierana przez środki masowego komunikowania, przede wszystkim te znajdujące się w orbicie wpływów partii i państwa.

Nie ma takiej wojny, co niejednokrotnie — dobitnie i jednoznacznie — podkreślali i ciągle głoszą oficjalni przedstawiciele rządu PRL. Identyczne co do merytorycznego sensu, acz może bardziej zawoalowane w formie oświadczenia składali i składają reprezentanci hierarchii kościelnej. Nie ma takiej wojny, bo tak stanowi Konstytucja, gwarantująca obywatelom wolność wyznania i zakazująca szerzenia nienawiści ze względu na różnice religijne.

Co wobec tego jest? Bo jest na pewno — listy, które tu wspomniałem, nie biorą się z powietrza, nie są też produktami chorych umysłów. W każdym razie nie wyłącznie....

To, co jest, można by nazwać stanem permanentnej, wszechogarniającej nietolerancji — rodzącej liczne akty konfrontacyjne. Ze smutkiem zauważyć należy, że miażdżąca większość owych aktów nietolerancji organizowana i prowokowana jest przez pokój głoszący i miłujący kościół katolicki, jego funkcjonariuszy i wyznawców. Agresja jest tym większa im bardziej rośnie rzeczywisty zasięg swobód. Z drugiej zaś strony pewną ulgę przynosi fakt, że atakowani nie organizują żadnych kontrakcji... Nie ma więc starć.

Dlaczego tak się dzieje? Otóż zapewne dlatego, że kościół katolicki nie jest bytem idealnym ani zjawiskiem transcendentnym. Kościół, jak i sama religia, jest zjawiskiem socjologicznym i historycznie ukształtowanym, uczestniczącym od tysiącleci w życiu publicznym i w to życie uwikłanym. Opisywanie wszelkich przeszłych i teraźniejszych nieprawości, zbrodni i godnych potępienia czynów kościoła, jego funkcjonariuszy i wyznawców, byłoby zajęciem równie frapującym jak i cennym poznawczo. Przytaczanie dowodów podwójnej miary i podwójnej moralności kościoła katolickiego też miałoby swoją wagę w sytuacji, gdy kościół jest politycznie zaangażowany. Ot choćby taki przykład — zawieszono na wyraźne żądanie Watykanu, czterech księży nikaraguańskich, pełniących funkcje ministrów w lewicowym rządzie republiki; w naszym kraju nie zasuspendowano księdza, który został skazany za współudział w zabójstwie, który protegował i udzielał pomocy antypaństwowej grupie terrorystycznej — co więcej, czyni się starania o jego ułaskawienie, prosi się o umożliwienie spełniania przez niego funkcji religijnych...

Tak, wszystko to są znakomite argumenty w sporze politycznym. Spór taki toczy się zresztą — i te właśnie argumenty są w nim używane. Nie ma to jednak nic wspólnego z kwestią tolerancji światopoglądowej. Tolerancja w rozumieniu konstytucyjnym to coś zupełnie innego — to poszanowanie dla cudzego światopoglądu, z jednoczesnym prawem do polemiki.

Jeśli zarzuca się wyznawcom odmiennego światopoglądu, że tenże światopogląd jest źródłem wszelkiego zła, jest fałszem i powodem moralnej degrengolady jego nosicieli — to mamy do czynienia właśnie z naruszeniem Konstytucji, co znakomicie dokumentuje Jan Rem w tekście pt. „Obrażanie uczuć" rozpowszechnionym przez PAP 28 stycznia br. Taka agresja jest ubocznym skutkiem totalnego pojmowania tolerancji.

Wedle wyznawców totalizmu tolerancyjnego, tolerancja jest ich prawem biernym — to znaczy oni sami ze swymi poglądami i działaniem muszą być tolerowani przez innych, natomiast mogą sami czynnie nie tolerować cudzych poglądów. Tymczasem tolerancja jest układem, rodzajem umowy społecznej — jej cechy to wzajemność i pewna względność. Względność polegająca na tym, że jej granice wyznaczają nadrzędne interesy — racja stanu, ochrona porządku prawnego w państwie i prawo do swobody głoszenia poglądów. Tolerancja totalna zaś prowadziłaby prostą drogą do dyktatury silniejszego — w imię niesprzeciwiania się cudzym działaniom można byłoby usprawiedliwić każde naruszenie prawa, zwłaszcza prawa swobody jednostki do wyboru światopoglądu, o prawie godnego życia na własny rachunek nie wspominając.

Nie ulega wątpliwości, że w takiej atmosferze, zważywszy, iż większość Polaków deklaruje swój katolicyzm, moglibyśmy dorobić się obskuranckiego państwa klerykalnego, co zapewne dogadzałoby interesom politycznym niektórych hierarchów i wyznawców kościoła. Taka alternatywa dla Polski nie wchodzi w rachubę. Nikt przy zdrowych zmysłach nie może pozwolić na budzenie upiorów.

Starcie światopoglądów jest możliwe i wskazane nawet — wojna kościoła z państwem nie, nie tylko w imię porozumienia narodowego, lecz przede wszystkim w imię nienaruszalności i pewności praw naszego kraju.

TOMASZ SAS

Siedem bolesnych ramion menory

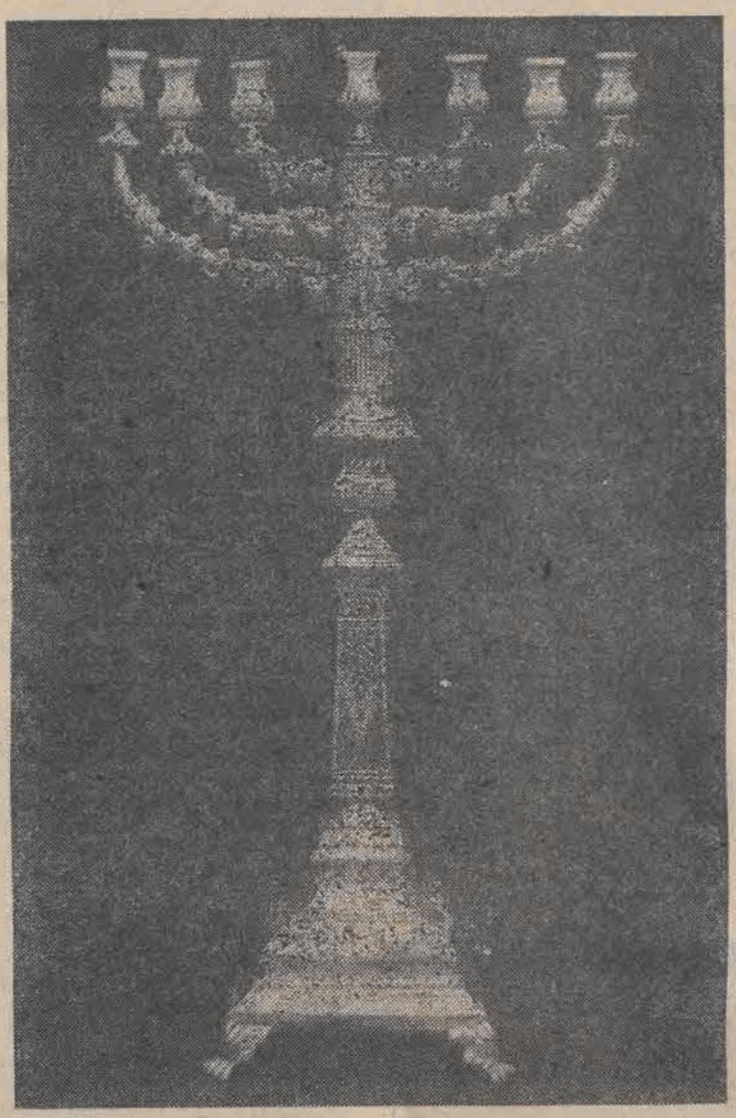

Dokończenie ze strony 1

wróciłem. Poszedłem na cmentarz, na grób Matki. Ona jedna umarła, jak człowiek, zwyczajnie. W trzydziestym ósmym, los oszczędził jej wojny i krematorium. Na tym cmentarzu pomyślałem, że znów się kończy jakiś kawałek życia. Dziś bym powiedział, że piąty odcinek serialu, jakby gasła

PIĄTA ŚWIECA MENORY,

wojenna, boląca w sercu, jak przepaść pełna umarłych. Ta piąta zapłonęła w czterdziestym pierwszym roku. 12 kwietnia przyszło wezwanie do wojska, do Armii Czerwonej, bo wtedy formalnie byłem obywatelem ZSRR. Trafiłem do 720 Pułku Strzelców, z Syberii na front, potem jednostka inżynieryjno-saperska pod Stalingradem. Ciężko było, mrozy, głód, budowaliśmy mosty, umocnienia, trasowaliśmy drogi transportowe. Tam raniło mnie pod zburzonym mostem. Przyszedłem z Armią Czerwoną aż do Polski, na koniec czterdziestego czwartego. W grudniu zdemobilizowany, jako repatriant dotarłem do Lublina na początku stycznia czterdziestego piątego. Nie dosłużyłem się orderów i rang, szeregowcem zostałem. Zwyczajnym, z okopów, tak jak przedtem zwyczajnym byłem górnikiem. Bo w styczniu czterdziestego Rosjanie dawali uciekinierom z Polski kontrakty do pracy albo przesiedlali w głąb kraju, na Syberię, albo do Kazachstanu.

Ja trafiłem do kopalni węgla w nowosybirskiej obłasti. Miejscowość nazywała się Andżero-Sudżensk, kopalnia im. Kirowa. Pracowałem tam do 12 kwietnia 41 roku, do poboru.

Moja wojna zaczęła się na łódzkiej ulicy. Zraniła już we wrześniu, pierwszą śmiercią. Mój najstarszy brat, Mosze, co się ożenił przed samą wojną, a jego żona w październiku urodziła mu pierwszego syna, żołnierzem był, bronił Warszawy. Zginął pod warszawską Cytadelą, syna już nie zobaczył. Mówili ludzie, że pochowany w jakimś ogródku przy placu Grzybowskim, ale nigdy nie udało się znaleźć jego grobu... Wtenczas miałem dziewiętnaście lat, pamiętam, jak Niemcy wchodzili do Łodzi i jak ludzie uciekali na wschód, z nadzieją, że ocaleją.

Jedenastego listopada 39 roku Niemcy wysadzili w powietrze pomnik Kościuszki na dzisiejszym placu Wolności. Akurat mnie złapali na ulicy i pognali z innymi Żydami do rozbierania i uprzątania gruzów pomnika, powiesili wtedy pięciu ludzi na Bałuckim Rynku...

Zdecydowałem się na ucieczkę. Z grupką znajomych postanowiliśmy dotrzeć do Warszawy, a potem dalej, na wschód, byle dalej od niemieckiej „cywilizacji". Co ja wtenczas wiedziałem o wojnie, o tułaczce? Przekraczanie granicy kojarzyło mi się z jakąś uroczystą ceremonią, szlabanem, kontrolą dokumentów... Głupi był człowiek, naiwny. Chciałem jakoś porządnie wyglądać na tej nieznanej granicy. Podwędziłem bratu świąteczne ubranie, jedyne jakie miał. Wziąłem też ciepłe palto i kurtkę, i dobre buty. A przecież nasza rodzina, jak wszyscy Żydzi z Bałut, byliśmy biedni, bardzo biedni. Więcej się strajkowało, niż pracowało, albo stało się pod bramą czekając na jakieś zajęcie. W domu było chudo, czasem głodno, a po śmierci naszej Mamy w trzydziestym ósmym, dom już nie był ten sam. I ja do dziś gryzę się, że wziąłem to ubranie, że nawet się nie pożegnałem, bo zwyczajnie po kryjomu uciekłem na tę wyprawę. Nie pożegnałem się, zostawiłem ich... Może nie tak by się stało?... Choć co ja bym mógł zmienić, jak pomóc?... I noszę przez całe życie ten wstyd i bezsilność...

TRZECIA ŚWIECA MENORY

zaczęła płonąć 27 listopada trzydziestego dziewiątego, we wtorek. Wyjechaliśmy pociągiem do Warszawy, chciałem odnaleźć grób poległego brata. Dzisiaj to się wydaje zwyczajne, wsiąść w pociąg i za dwie godziny jesteś w Warszawie. Ale wtedy działo się piekło. Tysiące ludzi chciało się dostać do Generalnej Guberni, bo myśleli, że tam będzie łatwiej przetrwać, że tam ich nie dosięgnie niemiecki knut, że może się uda ocalić te żydowskie twarze. Uciekali bogaci i biedni z walizami i futrami, albo z jednym tobołkiem. Jechaliśmy parenaście godzin, w strachu. Pamiętam, jak idąc na dworzec kolejowy w Łodzi, myślałem czy kiedykolwiek jeszcze będę mógł iść po tych ulicach, czy jeszcze kiedyś zobaczę swój dom... I doczekałem... Niestety... I żyję z piekącą pamięcią.

Droga z Warszawy do Białegostoku, to jest opowieść na książki. Siedem piekieł nędzy, strachu, głodowych śmierci setek ludzi. Tysiące Żydów uciekało do granicy radzieckiej, wtedy już przed Białymstokiem, już wiedzieli, przeczuwali swój los pod niemiecką ręką. Może pamięcią pokoleń zabijanych i wzgardzonych czuli, że ten wróg zniszczy ich całkowicie? Jeszcze dziś pamiętam tamten strach i rozpacz, i niepewność. I głód pamiętam, straszny, mordujący po drodze najsłabszych. Pamiętam obławę niemiecką na Żydów w pociągu i te tłumy panicznie wysiadające w Łapach, bo już poszła wieść, że na dworcu czekają... Niemcy przechytrzyli Żydków i zastawili pułapkę także w Łapach.

Ci, co uciekli, przemykali się bocznymi drogami, przez lasy, z dala od wsi, do granicy. Bogaci Żydzi opłacali się przewodnikom, złotem dziękowali za kęs chleba, za łyk mleka. Biedota mogła się tylko modlić. W pobliżu granicy sętki ludzi rzucało fortuny, byle tylko przewodnik przeprawił przez linię życia. A jeszcze plotka głosiła, że Rosjanie nie chcą wpuszczać uciekających. To był niedobry czas, być Żydem to był żaden interes. Z głodu ludzie padali jak muchy, śniły mi się jakieś smakołyki, a później chleb, a później byle co, żeby tylko zapchać żołądek. Strach było iść do wsi, bo może tam Niemcy, albo i kto wyda. Często bywało, że brało się od Żyda pieniądze za schronienie, a potem wydawało się Niemcom, jak już nie miał czym płacić za prawo do życia... Poszedłem jednak do wsi, już wszystko jedno — z głodu, czy od Niemców, śmierć ta sama. Lasami doszedłem do jakiejś zagrody, poprosiłem o chleb. Wtenczas pierwszy raz w życiu obżarłem się świniny. Kaszy ze skwarkami grubymi na palec. Jakież to było dobre... I jeszcze chleb dostałem, parę bochenków. Wracałem do obozowiska czekających nad granicą prawie biegiem. Potem jeszcze parę razy powtarzaliśmy w kilku te wyprawy po chleb, a potem poszliśmy tłumem, na ślepo, w stronę tej zbawczej granicy. Spotkany na leśnej drodze chłop, zapytany czy daleko jeszcze, powiedział, że... my już ze trzy kilometry za granicą... Ludziom się wydawało, że Boga za nogi złapali... A w Białymstoku był głód i nędza. Dziesiątki tysięcy uciekinierów koczowało bez dachu nad głową.

To wtedy wyruszyłem do Grodna, może tam będzie łatwiej przeżyć, może jakąś pracę znajdę. No i z Grodna pojechałem dalej do pracy w głąb Rosji.

Dobrze płacili w tej kopalni, głodny nie byłem, mogłem pomóc moim, gdzieś tam w Polsce. Ale gdzie? Gdzie ich wojna pognała? Czy żyją? Nic nie wiedziałem o bliskich, a może bym uratował od głodu, może przydałyby się te moje ruble, żeby wykupić się od śmierci. Człowiek chodzi z tymi pytaniami, jak z otwartą raną, żyje w tym powojennym świecie bezpieczny...

Dopiero w Polsce, gdy wróciłem, zacząłem rozpytywać o moją rodzinę, o jej wojenny los... Dowiedziałem się, że mój ojciec z pięcioma braćmi i najmłodszą Esterką wrócili do rodzinnego Bodzentyna w Kieleckiem. Stamtąd pochodzimy, tam żyli moi rodzice, tam urodziło się wszystkie ich siedmioro dzieci. Ojciec chciał na ten zły czas, co szedł dla Żydów, być wśród ludzi, których znał od dziecka, wśród których był szanowany i znany.

Pewnie myślał, że tak będzie bezpieczniej dla jego dzieci, nie rozumiał — a może z żydowską wiarą, że Bóg się zlituje, a dobrzy ludzie pomogą — nie chciał... nie mógł uwierzyć, że jest do wyobrażenia wymordowanie całego narodu.

Ojciec mój, Josek Bromberg, był Żyd biedny, aż piszczało, ale „uspołeczniony" do rozpaczy naszej Matki. Wszędzie, gdzie tylko w Bodzentynie rodziła się jakaś akcja społeczna, zawiązywała się jakaś inicjatywa — ojciec był pierwszy. Jak straż pożarna — ojciec się udzielał, wybrali go prezesem, jak powstaje koło teatralne — ojciec był pierwszy. Wszędzie go było pełno — przy budowie szkoły i przy organizowaniu obchodów czy innych. Tylko w domu go było mało. Dzieci siedmioro, nędzna nora w kamienicy bez wody i wygód. Żyliśmy chyba powietrzem, za byle co. W łatanych i cerowanych w kółko portkach, często głodno i chłodno w gnijącej, zagrzybionej izbie. Nie miał ojciec zrozumienia dla płaskich spraw codziennych, że chleb dla własnych dzieci i może by jakiś zarobek.

Jakżeż my byliśmy wtedy ubodzy, nasza biedna Mama gryzła się, przeklinała, zdobywała dla dzieci co tylko mogła. Jeść nie było co, ale do szkoły chodziliśmy wszyscy. Zresztą — jak się okazało — była to dla mnie jedyna szkoła, jaką mogłem skończyć. Siedem klas edukacji, to wszystko. Właśnie w Bodzentynie przyszedł mój początek.

PIERWSZA ŚWIECA MENORY

zapaliła się w moim życiu 21 kwietnia 1919 roku. I tam, w rodzinnym miasteczku przyszedł koniec mojego gniazda.

Ja, Jakub Bromberg, syn Joska i Nachy z Weintraubów, urodzony i do czternastego roku życia zamieszkały w Bodzentynie, jestem jedynym z rodziny jaki ocalał. Jestem jedynym, żyjącym w Polsce Żydem bodzentyńskim. Po świecie gdzieś, żyje jeszcze może ośmiu, może dziesięciu Żydów z Bodzentyna. Na rodzinnej ziemi zostałem sam jeden.

Może gdyby moi bliscy nie wrócili z Łodzi do rodzinnego miasteczka, może by inaczej było? Może... a gdzież oni mogli znaleźć ocalenie na tej ziemi, w tamten czas?... Przed wojną, w trzydziestym trzecim przenieśliśmy się do Łodzi za chlebem, za pracą, bo już się nie dało inaczej żyć. Mój starszy brat znalazł w Łodzi pracę, ściągnął nas do siebie. Skleciliśmy z czego się dało dom, lepiankę, budę byle jaką na Bałutach i tak zaczął się łódzki „odcinek filmu". Nie urodziłem się tu, nie wychowałem, ale jest dla mnie Łódź miastem rodzinnym, pełnym znajomych, wspomnień... Pełnym cieni po znajomych ludziach...

A oni wrócili do Bodzentyna, tam szukali ucieczki od ludzkiej podłości i małości... Trzech moich braci trafiło do obozu w Starachowicach. Tam zgłosili się dobrowolnie, ach, głupia żydowska nadzieja, że jak człowiek może być pożyteczny, to mu nic nie zrobią... Zgłosili się do kopania rowów dla ofiar masowej rozwałki. Wymordowali Niemcy dziesiątki ludzi w starachowickim lesie. Tam kazali kopać wielkie mogiły. A jak już były gotowe, jak już ciała umarłych wrzucone, jak już reszta zakopana, to do ostatniego dołu poszli świadkowie — żydowscy kopacze. Mówili ludzie, że nawet nie ranionych wrzucili Niemcy do tego dołu i zasypali ziemią. Ciężka jest ziemia, och, jak bardzo ciężka, przywala człowieka, do ust włazi, do oczu i nosa, dusi... Pamiętam, jak mnie przysypało pod Stalingradem, jaka ciężka była ziemia... A oni, trzej bracia moi, co się razem — dla bezpieczeństwa, dla otuchy — trzymali, zostali żywcem pogrzebani w tej strasznej, krwią płynącej ziemi w starachowickim lesie...

A potem na Bodzentyn przyszedł wrzesień roku czterdziestego drugiego... „Pamiętnik" Dawida Rubinowicza, u nas, w Polsce wydany w 1960 roku — to jest pamiątka także po moich najbliższych, zapis ich losu. Na okładce „Pamiętnika" Dawidka jest fotokopia — zwykły uczniowski zeszyt szkolny podpisany starannym uczniowskim pismem: Dawid Rubinowicz, klasa VI, Bodzentyn, ulica Kielecka 13. W środku — fotokopie rękopisu, obok druku. Zapis, z błędami ortograficznymi, z kleksami, ze starannie wyprowadzanymi literami. Kilkunastoletni żydowski chłopak, zwyczajny dzieciak z powagą nieświadomą, z surowością niezamierzoną, zwykłymi słowami opisuje los hiobowy prawie trzytysięcznej społeczności Żydów bodzentyńskich. Dzień za dniem, bez patosu cieknie tragiczna kronika ludzkiej wielkoduszności i podłości, chciwego sięgania po dobytek skazanych na śmierć i pomocnej opieki danej z człowieczego, współczującego serca. I zapis ogromu upadku ludzkiego, pychy i nienawiści narodu panów do rasy, kultury i religii żydowskiej.

Od września 1942 roku do strasznego dnia, upalnego, w mece pragnienia, dnia 1 czerwca 1943 roku. Wtenczas pognali Niemcy z Bodzentyna pochód nieszczęsnych, skazanych na zagładę. Tu się urywa zapis, a Dawidek Rubinowicz, przed wyjściem z miasta ukrywa swój szkolny zeszyt i idzie z innymi na śmierć. Mógł się uratować, ocaleć... Poszedł z innymi, ze swoimi najbliższymi.

W tym pochodzie szedł też mój ojciec Josek, kamasznik z Bodzentyna i jego dwoje jeszcze ocalałych dzieci, najmłodszy syn i jedyna córka, trzynastoletnia Esterka. Poszli do Treblinki, do pieca, polecieli przez komin. Nie został po nich żaden ślad. Zostałem tylko ja, Jakub Bromberg, jedyny świadek, że kiedyś istnieli... Zginęli wszyscy, sześcioro mojego rodzeństwa i ojciec. Siedem istnień zgładzonych... siedem ramion menory... Zostałem sam.

Wróciłem do Łodzi, poszedłem na jedyny mój bliski grób Mamy. Co ja Jej mogłem powiedzieć? Że Jej dzieci pomordowane, a ja jeden ocalały nie mam siły, żeby cieszyć się wolnością?

Bo nie cieszyłem się, nie umiałem. Mogłem, jak tylu innych Żydów uciekać z tego kraju krwi i ruin, mogłem przekląć tę ziemię za krzywdę i szukać chleba gdzieś po świecie. Nie umiałem, nie miałem prawa zostawić ziemi, w którą poszła krew moich braci i tego nieba, gdzie rozwiał się dym z mego ojca. Stąd przecież jestem, Żyd Polak, tu urodzony, to jest mój kraj. Jakże było zostawić, zaprzeć się pamięci...

Często myślę, że te czterdzieści lat przeżyte po wojnie, bez strachu przed bombami, bez głodu, z dachem nad głową i pracą, to wszystko jest złudzenie, mrzonka udręczonej pamięci, że to nieporozumienie. Bo jakże — nie było nic, nikogo bliskiego, pustka spalona w krematorium, zostało trwanie.

Wraca myśl do tamtych umarłych do czasu nienawiści i przez tyle lat snuje się bolesne pytanie o prawo do ludzkiej nadziei, o kaleczącą pamięć wspólnego na tej ziemi polskiej zamieszkiwania Żydów i Polaków. Ja jestem zwyczajny człowiek, szary Żyd ocalony z rzezi, z siedmioma tylko klasami, bez orderów i szarż, swojego życia wstydzić się nie muszę, ale czy mogę być... czy mogę być szczęśliwy?... Przeżyłem tu wszystkie moje lata powojenne, tu w Łodzi pracowałem jako dziewiarz w fabrykach prawie dwadzieścia pięć lat, tu przyszedł na świat mój jedyny syn Józef, spadkobierca pamięci o nazwisku, o losach. A czy ja mógłbym powiedzieć, że spełniła się moja droga? Nie wiem, wciąż pytam...

SZÓSTĄ ŚWIECĘ MENORY

zapaliłem na gruzach tamtego życia. Nie miałem się gdzie podziać, nie było o co się oprzeć. W te pierwsze styczniowe dni 1945 roku w Łodzi spałem w domu PCK przy ulicy Sienkiewicza. Potem w przytułku Komitetu Żydowskiego. Powoli jakoś się układało, odnalazłem niektórych znajomych, zamieszkałem w domu jednego z kolegów. W tym domu znalazłem też żonę, w czterdziestym szóstym urodził mi się syn, mógłbym uwierzyć, że zaczyna się prawdziwe istnienie, nie majak senny. Ale niósł już człowiek w siebie wieczny strach, ostrożność, żeby nadmiar nadziei nie powalił.

Małżeństwo okazało się bardzo nieudane, rozpadło się po paru latach, żona wyjechała, a ja zostałem sam, z moim jedynym dzieckiem. Pracowałem jak wół, żeby wychować, dać spokojne, syte dzieciństwo. Chłopak rósł, uczył się, stawał się jedyną nadzieją na starość przy wnukach, we własnej rodzinie... Rodzina... Czy ja, polski Żyd mam prawo jeszcze mówić to słowo?... Szedł dzień za dniem, leciały lata przepracowane, niebogate, czasem niedobre, gorzkie dla żydowskiego serca.

Dopełnił się los w sześćdziesiątym ósmym. Mój jedyny syn, moje jedyne dziecko, jedyna więź z życiem, opuścił mnie. Uciekło wtedy wielu Żydów, co tu dwadzieścia lat po wojnie przeżyli, bo tu byli u siebie, w swojej ojczyźnie. I mój chłopak też uciekł z Polski, bez mojej wiedzy i zgody, ani się nie obejrzał na swego ojca, jedynego bliskiego... On pojechał do Izraela, był żołnierzem na wojnie przeciwko Arabom, zdjęcia mi przysyłał, pisał, że mu tam dobrze, że znalazł swoją prawdziwą ojczyznę... Co ja mogłem? Bezsilnie czytałem te kartki i pytałem sam siebie, gdzie popełniłem błąd? Dlaczego nie umiałem syna wychować tak, żeby kochał swoją ziemię ojców i dziadów? Co ja mogłem?...

Bolało. Jak bardzo bolało... Przecież mogłem wyjechać gdziekolwiek, byle dalej od pamięci pieców, ale zostałem, bo tu był mój dom, przecież ja stąd...

Żyłem zawsze wśród Polaków. Dobrzy byli i źli, jak i Żydzi — dobrzy i źli. Wszędzie są tacy sami ludzie i tu w Polsce, i po świecie, to co ja miałem szukać nie swojego losu?... Bolało, że znowu wracają antagonizmy, myślałem, że hekatomba narodu przestrzeże potomnych, że nienawiść do innego narodu, rasy, kultury, to śmierć człowieczeństwa, śmierć dla cywilizacji. Poszedłem na rentę i ucieszyli się niektórzy z tego, nie chcieli mojej pracy, a mogłem przecież jeszcze...

Przyszły lata samotne, starość szła, a ja nie miałem już nic. Ani dziecka, bo się mnie syn wyparł, nazwisko mu wadziło, w Ameryce, gdzie jest teraz nikt nie patrzy czyś Żyd, czy Włoch, czy ktokolwiek, ani skądeś przyszedł. Jeśli człowiek co wart, znajdzie swoje miejsce. A on się zaparł, że z Polski, że tutejszy...

SIÓDMA ŚWIECA MENORY

pali się coraz słabiej. Życie przepływa i nie wiesz, kiedy świeca zagaśnie, kiedy ofiarny świecznik zostanie na pamiątkę ludzi, co kiedyś tu żyli i tu pomarli.

Dużo czytam, interesuje mnie świat i wciąż oglądam się za siebie, na te czterdzieści lat i rachuję czarne i białe. Zmieniło się dużo, odrodziło, wyrosło. Świat już nie taki sam, ale czy tak naprawdę zmieniło się coś w ludziach? Czy oni zrobili się mądrzejsi, czy nie zapierają się pamięci i przestrogi? Nie wiem, wciąż nie wiem. Patrzę na to swoje miasto, jak się zmienia, jak rosną nowi ludzie i myślę, czy oni wiedzą z jakiej idą historii? Było przed wojną w Łodzi 300 tysięcy Żydów, bogatych i biednych i bardzo biednych, dobrych i złych, ot, ludzi, jak wszyscy inni. Gdzie oni? Gdzie ich pamięć? Na co popiołom propagandowa uroczystość w rocznicę? Na co im zaklajstrowana historia, wygładzona, wyrzucona z umysłów pamięć, że nie tak szlachetnie i bohatersko zawsze bywało? Na co im wielka feta z nową synagogą na Tłomackiem w Warszawie? Byłem tam na otwarciu. Zjechali się Żydzi z całego świata. Żydzi — ocaleli z wojny, albo z pogromów, albo uciekinierzy z sześćdziesiątego ósmego. Stąd pochodzili, ale żaden z nich za nic by tu nie wrócił. To na co umarłym synagoga, jak nie masz się komu w niej pomodlić. Tym wymierającym resztkom, tym paru tysiącom rozsianych po całej Polsce?

Pamiątką narodu wybitego jest sam człowiek, ten dzisiejszy. Jego rozum i dobroć. Bo jak ja, zwykły Żyd mam patrzeć na te czterdzieści lat od wojny? Zapomnieć... Jak zrozumieć ten świat?

Dlaczego wypierać się własnej historii, dlaczego udawać, że tamto się już skończyło? Nieprawda! Jeszcze jest w ludziach tyle złej nienawiści, uprzedzenia głupiej pychy. Historia to nie czarne i białe, zanim rzucisz kamieniem w człowieka, obejrzyj własne ręce. Nieważne czyś Żyd czy Polak, stąd jesteś i pamiętaj, co ta ziemia przeżyła właśnie przez nienawiść. Ja jestem prosty Żyd, ale mnie i za milion nie kupi, żeby zaprzeć się Polski. Jest jeszcze w Łodzi żydowski cmentarz, łupiony, niszczony, umierający. A naprzeciwko — katolicki — zadbany, pielęgnowany... Czyż ten skarb artystycznej roboty, skarb pamięci o narodzie nam, Żydom, jest potrzebny? Nas już prawie nie ma, my odejdziemy. Przecież to dla dzieci, żeby wiedziały, żeby pamiętały, może zrozumieją splątany los... Nie mnie jest potrzebny marmur z mauzoleów żydowskich... wszystko moje — odeszło, wszystko bliskie — umarło, więc trwam, póki siódma świeca menory nie wypali się do końca. Sobie już niewiele, ale tym z po nas — wyzwolenia życzę od nienawiści i pychy, od głupoty i podłości. Dobroci dla ludzi każdego plemienia...

JOLANTA WROŃSKA

DWIE ZMIANY

O 6.30 wychodzą z domu: Anna i Marek. O 6.30 wchodzi do mieszkania ojciec Anny. Mijają się w drzwiach.

Mieszkanie: pokoik z kuchnią — razem 22 kwadratowe metry. Gdyby wstawić doń drugą kanapę, albo chociaż składany, ukryty w regale tapczan, trzeba by poruszać się bokiem — przy ścianie. A tak, tapczan jest jeden: stary solidny. I półka z książkami. I szafa, i dwa krzesła. Jest też pneumatyczny materac — przydatny czasem.

O 6.30 mijają się w drzwiach. Oni: Anna i Marek jadą do pracy. Zaczynają o 7.00. On, ojciec Anny kładzie się spać. Kiedy młodzi wracają do domu, jest już wypoczęty: rześki i wesoły. Jego pogoda ducha to prawdziwy skarb tego domu.

O 21.30 ojciec Anny wychodzi do pracy. Dwie godziny przed północą zamyka drzwi stróżówki. Czyta gazetę, pije herbatę. Potem idzie na obchód terenu. Wraca, nastawia radio. Lubi słuchać „Muzyki nocą". Wesoła, ciepła audycja dla zakompleksionych dla tych, którzy nie mogą zasnąć, więc telefonują do radia. Mają takie maleńkie problemy...

O 21.30 Anna i Marek zostają sami. Sami na 22 kwadratowych metrach przez dziewięć najbliższych godzin. We dwoje.

Na półce leży sobie bardzo ważny dokument: kredyt MM Młodego małżeństwa przepustka do samodzielności. Coś więcej niż pieniądze: przywilej zakupu mebli, lodówki, pralnicy, telewizora. 22 kwadratowe metry. Gdyby wstawić drugą kanapę...

W niedziele i święta trzeba pompować pneumatyczny materac. Nie ma innego wyjścia. I trzeba pamiętać, że jeśli zajdzie potrzeba korzystania z toalety nocą, należy zachować ostrożność, żeby nie podeptać śpiących. Na razie takiego wypadku nie było.

O 6.30 mijają się w drzwiach. Mają po dziewięć godzin poczucia wyłączności. Drugie dziewięć godzin to praca z dojazdami. Pozostałe sześć godzin wypada spędzić razem. Ale to prawie cały wieczór — cały wolny czas. O sztuko kompromisu, jak zaradzić, by któregoś pięknego dnia nie doświadczyć, że choć bliscy jesteśmy sobie obcy? Jak wśród powszechnej uprzejmości nie wleźć z butorami w cudze życie? Na 22 kwadratowych metrach.

Umowa jest dżentelmeńska — żeby uniknąć niezręcznych sytuacji. Każda strona ma prawo raz w tygodniu zawładnąć mieszkaniem na własne potrzeby: spotkanie towarzyskie albo nawet zwyczajny kaprys. Trzeba tylko z jednodniowym wyprzedzeniem poinformować o tym fakcie drugą stronę. Ta z kolei ma obowiązek terminowego opuszczenia lokalu. Obie „zmiany" skwapliwie korzystają z tego prawa.

Żartują: mają mieszkanie w ruchu ciągłym — na dwie zmiany. Najbardziej wydajne mieszkanie w kraju.

Jeszcze tylko pięć lat. Spółdzielnia obiecała że za pięć lat...

GRA

„Samotny, nieśmiały, lat 34, bez nałogów, M-4 z telefonem, pozna panią, min. średnie wykształcenie, atrakcyjną — cel matrymonialny".

Po ukazaniu się prasowego ogłoszenia tej treści, oferty składają cztery panie. Trzy z nich zbyt namolnie wypytują o materialną pozycję „sympatycznego nieśmiałego". Zbyt szybko ujawniają merkantylne zamiary. Wobec czego Witold, czyli „samotny lat 34" ani przez moment nie wątpi w zalety kawalerskiego stanu. Tylko czwarta pani, imieniem Krystyna, stroni od pieniężno-lokalowych tematów. To jej pierwszy plus. Atrakcyjna — nawet bardzo atrakcyjna szatynka, bez trudu zawładnęła myślami pana „bez nałogów". To jej drugi plus.

Mama trzydziestoczterolatka, która jest wyrocznią oraz dozgonną piastunką starzejącego się dziecięcia, popiera starania o tak reprezentacyjną synową.

W tym miejscu konieczna jest uwaga: trzeba bowiem wiedzieć, że matrymonialnych ogłoszeń nie warto brać dosłownie, lecz należy właściwie je interpretować. I tak, „nieśmiały" oznacza zwykle: zakompleksiony człowieczek pod przemożnym wpływem nadopiekuńczej rodzicielki...

Atrakcyjna szatynka zna się na rzeczy: bukiet kwiatów dla przyszłej teściowej załatwia sprawę. To jej trzeci plus.

Państwo młodzi zasiedlają M-4.

Rok później. Wyrysowana kredą granica dzieli przedpokój na dwie części. Jeden pokoik zajmuje „atrakcyjna min. średnie wykształcenie", drugi „sympatyczny, nieśmiały". Na drzwiach łazienki wisi kartka z harmonogramem czynności higienicznych: „Witek — 6.30—7.00 Krystyna — 7.00—7.30..." W gazowej kuchence po dwa palniki na osobę. Odwiedzający Krystynę przyciskają dzwonek trzykrotnie, odwiedzający Witolda dwukrotnie, itd., itd.

Do akcji wkracza upełnomocniona teściowa. Rzecz dotyczy honoru, moralności, no i oczywiście M-4. Rozwód nie wchodzi w rachubę. Wymiana zamka w drzwiach wejściowych zakrawa na czyn bezprawny. Pozostaje jedynie czekać — czas podobno łagodzi rany.

Półtora roku później. Strony kontaktują się wyłącznie za pośrednictwem lakonicznej treści pism, zostawianych na kuchennym stole. Obok telefonu stoi puszka na bilon. Są dwa telewizory, dwa radioodbiorniki, dwa czajniki, dwie lodówki. „Samotny bez nałogów" dzielnie wdycha papierosowy dym który nijak nie chce uszanować linii granicznej. „Atrakcyjna" dzielnie i systematycznie odbiera dźwięki suit Griega, które nijak nie chcą uszanować linii granicznej. Czas rozdrapuje rany.

Praktyczna teściowa drogą korespondencyjną, proponuje niewdzięcznej synowej przyjęcie odprawy w krajowych środkach płatniczych. Warunek: natychmiastowe opuszczenie M-4. Oferta zostaje odrzucona.

Zdesperowana teściowa, drogą korespondencyjną, przedkłada niegodziwej synowej lekarskie zaświadczenie, stwierdzające postępującą nerwicę u jedynaka. Bez echa.

Załamana teściowa dorzuca do swojej oferty karakułowe futro w dobrym stanie. Warunek: jak wyżej. Efekt: jak wyżej.

Wobec wyczerpania dostępnych środków oddziaływania na podstępną synową mama bierze synka pod opiekuńcze skrzydła, czyli pod własny dach.

WYSTARCZY TROCHĘ SIŁY

Facet był silny jak tur. Drzwi były słabe: z podwójnej sklejki. Ustąpiły pod pierwszym ciosem. Mieszkanie było puste — tak jak przypuszczał. Nazajutrz przytargał swoje graty, żonę i trójkę usmarkanej dziatwy. Zanim ich wyrzucili, tzn. przenieśli do zastępczego lokalu, mieszkali tam przez dobre cztery miesiące. Tymczasem prawowity właściciel całował klamkę.

W administracji leży teczka z „życzliwymi" informacjami: **„Uprzejmie donoszę, że mieszkanie pana... przy ulicy... stoi puste od paru miesięcy. Mam na to świadków w osobach.. Ten pan ma drugie mieszkanie gdzie indziej. Mogę podać adres tego pana. Donoszę, że moja rodzina składa się z 6 osób i mieszka w niedobrych warunkach, bo dzieciaki moje ciągle chorują. Proszę, żeby to wolne mieszkanie dać mojej rodzinie bo ja je pierwszy wypatrzyłem..."**

Gros informacji pochodzi od pięciorga „życzliwych", niestrudzonych tropicieli tzw. pustostanów. Zajęcia tropicieli są podobne do pracy prywatnego detektywa. Najpierw trzeba zlokalizować obiekt, czyli mieszkanie bez lokatorów. Potem trzeba uzbroić się w cierpliwość, systematycznie doglądając upatrzonego M. Dobrze jest oznakować drzwi lokalu w taki sposób, aby ewentualna wizyta właściciela pozostawiła trwały ślad. Oczywiście należy też regularnie informować wszelkie urzędy o wykryciu jawnej niesprawiedliwości społecznej. Np: „... **To jest skandal, żeby mieszkanie stało puste jak inni ludzie nie mają gdzie mieszkać. Jeżeli nie dostanę tego mieszkania, to napiszę skargę do...**"

Doświadczony tropiciel ma na oku zwykle 4—6 lokali, w których wieczorami nie pali się światło. Wypytuje sąsiadów, kim są ludzie, których wizytówki przytwierdzono do drzwi: czy aby nie mają jeszcze jednego mieszkania. Czasem spotyka ich rozczarowanie: właściciel powraca z zagranicznej budowy albo opuszcza szpital po długotrwałej kuracji. I wtedy starania biorą w łeb. Trzeba czatować na oddanie do użytku nowego bloku. Dalej scenariusz ten sam.

Rodzinka S. nie znosi kompromisów. Kiedy zawodzi droga urzędowa, rodzinka sama wymierza sprawiedliwość. Były trzy takie przypadki.

Zaczynali przed kilkoma laty. Początkowo szło jak po grudzie. Inna sprawa, że wtedy jeszcze nie było konkurencji. Dziś wokół każdego namierzonego pustostanu kręci się paru amatorów. Konkurencję trzeba wyprzedzać. Dlatego mama wyspecjalizowała się w redagowaniu pism do władnych urzędów. Tato natomiast nie szczędzi trudu na zbieranie stosownych informacji. Ale nie można przecież czekać w nieskończoność. Jakaś sprawiedliwość musi być! Dość tej tułaczki po wynajętych mieszkaniach!

Tato jest silny jak tur.

CZEKAĆ NA KONIEC

Starsza pani chce umierać po cichu: w swoim mieszkaniu, w swoim łóżku, w swojej pościeli. Żeby nie w domu starców. Bo w domu starców umiera się publicznie — jak na ulicy. Starsza pani chce umierać w swoim domu. To jej ostatnia wola.

Starsza pani odchodzi spokojna. Wie, że kiedy przestanie oddychać, ktoś — ktoś bliski ubierze ją w czarną suknię z koronką. Suknia z koronką wisi odprasowana w szafie. Wie, że ktoś — ktoś bliski sprowadzi księdza. Pieniądze są w książeczce od nabożeństwa. Zrobi to ktoś bliski — nie mąż, nie dzieci, bo ich już nie ma. Zrobi to Dorotka. Tak, zrobi to na pewno.

Dorota wie, że tak będzie. Zamknie oczy starszej pani, wyjmie z szafy czarną suknię z koronką, sprowadzi księdza. A może nawet kupi mały wieniec. Taka jest praca Doroty. I nadzieja.

A kiedy będzie po wszystkim, wtedy Dorota wyrzuci na śmietnik stare łóżko nieboszczki. Bo na nim leżał trup. Wyrzuci i już. Kupi sobie coś modnego. Kredens też wyrzuci. Dzisiaj nikt już nie trzyma takich gratów. Wtedy będzie mogła zrobić, co zechce. Wtedy będzie u siebie. Ale na razie trzeba czekać: cierpliwie spełniać życzenia starszej pani.

— Dorotko, podaj mój różaniec. Dorotko, podlej kwiaty. zgaś światło. Dorotko...

I tak już od dwóch lat. Przed dwoma laty zastukała do drzwi tego mieszkania. „Mieszkanie za opiekę" — przeczytała. „To lepsze niż robotniczy hotel" — pomyślała i przyszła. Dobrze zrobiła. Staruszka obejrzała ją dokładnie. Wypytała dokładnie i wzięła do siebie — na próbę. Ludzie z miasta mają zaufanie do wsiowych — że niby mniejsze cwaniaki. I mniejszy wstyd przed takimi.

Bo umieranie w mieście jest krępujące — dla umierającego.

Zamieszkała Dorota w drugim pokoju. Nigdy dotąd nie miała własnego pokoju. Właściwie, do niedawna nie miała nic własnego. Jej rodzinny dom: jedna izba, piec, drewniane łoże, dzieci śpiące w nogach — póki było ich tylko troje, odór parujących gumiaków, babka dogorywająca na sienniku — jęczy, prosi Boga o lekką śmierć — we śnie. Nic własnego. Zakłada majtki, które wczoraj nosiła siostra, palto po matce. A tutaj własny pokój. Z łazienką. Nigdy dotąd nie miała łazienki. I za co to wszystko? Za podcieranie tyłka starej kobiecie. „Warto" — myśli Dorota. Dla niej to nie pierwszyzna.

— Dorotko, mam mokro... Dorotko, chodź tutaj...

Początkowo w myślach nazywała ją „starą". Potem myślała: „ona". A od tamtej nocy mówi o staruszce „moja pani". Tamtej nocy „ona" wezwała ją do siebie. Może sądziła, że to już koniec. Powiedziała, że po jej śmierci wszystko będzie należało do Doroty. Za to, że jest dla niej taka dobra, za opiekę. Tak powiedziała „jej pani".

Teraz czekają obie: na śmierć. Wszystko jest przygotowane na jej przyjście „Będę zapalała świece na grobie mojej pani" — myśli Dorota. Za to mieszkanie z łazienką. Za to, że nie musi sterczeć w spółdzielczej kolejce. Za śmierć, która będzie spełnieniem.

A kiedy jej pani zejdzie z tego świata, wtedy Dorota zmieni wizytówkę na drzwiach — no, może trochę później, żeby ludzie nie pomyśleli sobie... I zaprosi koleżanki z fabryki, i siostry ze wsi — niech zazdroszczą własnego mieszkania. Może nawet wyjdzie za mąż, bo panna z własnym mieszkaniem...

— Dorotko, w mojej szafie jest obrus.. Dorotko, gdzie moja chusteczka?...

Po południu Dorota wychodzi z fabryki. Myśli wtedy: „Może już moja pani zasnęła na zawsze..." Robi zakupy, przekręca klucz w zamku.

— Dorotko, jesteś nareszcie...

Trzeba ugotować obiad, zaparzyć zioła, umyć starszą panią, wyprać bieliznę. Trzeba to wszystko zrobić.

Wieczorem trzeba siąść obok umierającej, położyć dłoń na jej pomarszczonej dłoni.

I trzeba czekać.

ROMAN KUBIAK

Sposób na „M"

„Nikt nie lubi podwyżek cen"

WITOLD KASPERKIEWICZ

Przebieg operacji cenowych sprzed kilku lat udowodnił, że problem wzrostu cen przestał być traktowany jako tabu, zarówno przez rząd, jak i szerokie odłamy społeczeństwa. Nie oznacza to jednak, iż przeprowadzenie kolejnego zabiegu będzie łatwe, pozbawione oporów i kontrowersji. Wydaje się faktem niewątpliwym, że część społeczeństwa polskiego, zwłaszcza ta najuboższa, cierpi na swoista neurozę cenową i emocjonalnie reaguje na każdą zapowiedź podwyżek cen detalicznych. Zresztą trudno byłoby znaleźć w świecie społeczeństwo, które z ochotą połknęłoby gorzką pigułkę, jaką jest wzrost cen. Dlatego też nieporozumieniem jest zgłaszany niekiedy przez „prawdziwych" demokratów demagogiczny postulat rozstrzygania kwestii zmian cen w drodze referendum. Nikt nie lubi przecież podwyżek cen, chociaż niektórzy rozumieją obiektywną konieczność ruchu cen.

Pierwsze odgłosy dyskusji na temat propozycji nowych (wyższych) cen żywności świadczą o istnieniu wśród ludzi wielu wątpliwości dotyczących skali podwyżki cen, wysokości i sposobu obliczania rekompensat, zniesienia sławetnej reglamentacji produktów żywnościowych itp. Opinie formułowane przez różne kręgi społeczne dowodzą słuszności tezy, iż byt kształtuje świadomość. Do obozu „opozycji" wobec projektu rządowego zaliczyć należy przede wszystkim: grupy emerytów i rencistów dysponujących niskimi dochodami, niektóre rodziny wielodzietne oraz te grupy zawodowe, które nie mają możliwości dodatkowego zarobkowania. Bez owijania w bawełnę należy stwierdzić, iż grupy te reprezentują postawy zdecydowanie niechętne wobec projektu podwyżki cen, albo też żywią najwięcej obaw, co do szans utrzymania dotychczasowego poziomu życia. Wśród tych grup społecznych popularne jest stanowisko: „lepsza reglamentacja i dotychczasowe ceny, niż odejście od niej i podniesienie cen". Wyrażane są także opinie, że zniesienie reglamentacji może spowodować falę gwałtownego wykupu produktów będących w wolnej sprzedaży i w rezultacie nastąpi destabilizacja dotychczasowej „kartkowej równowagi" na cukier, tłuszcze, mąkę itp. Trudno zresztą wykluczyć histeryczną reakcję części konsumentów po zniesieniu kartek na niektóre produkty. Maślany incydent z ubiegłego roku daje dużo do myślenia.

Chłodna ocena propozycji rządu skłania do kilku refleksji dotyczących szczegółów projektu, jak również problemów natury ogólnej, odnoszących się do efektywności gospodarowania. Dyskutowany projekt można przecież potraktować jako pretekst do rozważań na temat kondycji ekonomicznej naszej gospodarki i sposobów jej poprawy.

Co się tyczy spraw szczegółowych, należy zwrócić uwagę na kilka mankamentów prezentowanego dokumentu. Przede wszystkim wątpliwości budzi metoda obliczania kwot wyrównań dochodów. We wszystkich trzech wariantach za podstawę obliczeń przyjęto rozmiary zakupów wynikających z przydziałów kartkowych, a więc de facto zaniżone, gdyż konsumenci przy użyciu różnych zabiegów nabywają więcej produktów. Wobec tego proponowane w każdym z wariantów kwoty wyrównań 185 zł, 195 zł i 215 zł są niedoszacowane. Co więcej, w rachunku tym nie uwzględniono tzw. „efektu podaj dalej", czyli wzrostu cen artykułów pochodnych, np. ciast, dżemów, kompotów itp.

Dyskusyjnym posunięciem wydaje się propozycja wprowadzenia jeszcze w bieżącym roku podwyżek cen opału i energii. Akceptując argumentację tego kroku, ograniczona podaż paliw i energii przy wzroście popytu, warto jednak pamiętać, iż w 1985 r. nastąpi kumulacja podwyżek w dwóch istotnych sferach: produktów żywnościowych i opłat za gaz i energię elektryczną.

Wielka szkoda, że w projekcie rządowym nie naszkicowano perspektyw poprawy zaopatrzenia w dobra konsumpcyjne pochodzenia przemysłowego, które mogą stanowić skuteczny instrument osłabiający presję popytu na rynek żywnościowy. Wydaje się, że w tej dziedzinie tkwią duże możliwości związania dochodów ludności, które nie mając ujścia na rynek dóbr przemysłowych prą z wielką siłą na rynek żywności. Ma to istotne znaczenie z punktu widzenia zapowiadanego częściowego zniesienia reglamentacji.

Ponadto należy poważnie rozważyć postulat cen ruchomych na pewne artykuły spożywcze; cen zależnych od pory roku i terytorium. Dotyczy to cen mleka i masła, których podaż uzależniona jest od pory roku.

Należy wyrazić przekonanie, że omawiany projekt zmiany cen detalicznych skłania niejako automatycznie do rozważań ogólnej natury, wykraczających poza techniczne szczegóły wyliczeń, procentów, tabel itp. Idzie mianowicie o to, jak kształtować mechanizm ekonomiczny i politykę społeczno-gospodarczą, aby w przyszłości minimalizować zakres dokonywanych podwyżek cen, czyli „ucywilizować" inflację (jest to kilkuprocentowy wzrost cen w skali roku). Jest to realne pod warunkiem, że zagra się harmonijnie na kilku „fortepianach" naszej gospodarki. Grać muszą w jednym zespole zarówno sternicy gospodarki narodowej, jak i kierownicy przedsiębiorstw oraz samorządy pracownicze.

Kapitalne znaczenie dla ograniczenia tempa inflacji mają działania zmierzające do zwiększenia stopnia wykorzystania zdolności produkcyjnych w przemyśle przetwórczym oraz istotne modyfikacje w dotychczasowej proinflacyjnej polityce inwestycyjnej. Według ocen, stopień wykorzystania aparatu wytwórczego w przemyśle wynosi 70—85 proc., w zależności od branży wytwarzania. Przyczyny niewykorzystania zdolności produkcyjnych są powszechnie znane: ograniczenia w dostawach surowców z importu, deficyt pracowników (często jest to deficyt pozorny), bałagan w powiązaniach kooperacyjnych, indolencja organizacyjna, niedostatek innowacji technicznych itp. Nie wszystkie z owych przyczyn mają charakter obiektywnych barier nie do sforsowania (jak np. ograniczenia importu surowców). Wiele z nich wynika z niedostatecznej skuteczności działań centralnej administracji, np. w zakresie rozdziału deficytowych surowców i materiałów, polityki kształtowania dochodów, a także opieszałości przedsiębiorstw w dokonywaniu zmian mających na celu zwiększenie rozmiarów i efektywności produkcji.

W działalności inwestycyjnej można wyróżnić inwestycje pobudzające procesy inflacyjne i inwestycje antyinflacyjne. Do pierwszej kategorii należy zaliczyć inwestycje centralne i znaczną część dawnych inwestycji centralnych, realizowanych obecnie jako inwestycje przedsiębiorstw, a także inwestycje budżetowe, rad narodowych i funduszowe. Inwestycje te, zwłaszcza centralne, charakteryzują się długim cyklem realizacji i ukierunkowane są głównie na przyrost zdolności produkcyjnych (przede wszystkim w gałęziach nierynkowych), a nie oszczędności w nakładach czynników produkcji. Udział inwestycji proinflacyjnych oceniać można na 68—70 proc. całości inwestycji.

Natomiast inwestycje antyinflacyjne odznaczające się krótkim czasem zwrotu i wysoką efektywnością są to głównie inwestycje przedsiębiorstw, które stanowią w obecnym programie inwestycji centralnych zaledwie 12—14 proc. całości (pozostałą część stanowią inwestycje ludności i gospodarki nieuspołecznionej). Z tej analizy wynika prosty wniosek: należy wydatnie zwiększyć udział inwestycji antyinflacyjnych kosztem inwestycji inflacjogennych. Inercja procesów inwestycyjnych oraz istnienie resortowych grup interesów są podstawowymi przeszkodami na drodze do realizacji tego słusznego postulatu.

Opanowanie zjawisk inflacyjnych wymaga konsekwentnej realizacji zasady samofinansowania się przedsiębiorstw. Groźba bankructwa nieefektywnego przedsiębiorstwa jest nadal tylko straszakiem psychologicznym. Nieudolne przedsiębiorstwa otrzymują środki kredytowe i dotacje z kiesy ogólnospołecznej. Powoduje to, że taktyka działania przedsiębiorstw nastawiona jest na osiąganie najłatwiejszych korzyści doraźnych związanych z zabiegami przetargowo-manipulacyjnymi, a nie z przedsięwzięciami zmierzającymi do obniżki kosztów wytwarzania.

Niebagatelne znaczenie z punktu widzenia zahamowania wzrostowej tendencji cen wyrobów spożywczych mają dwie sprawy: primo — zlikwidowanie olbrzymiego marnotrawstwa płodów rolnych w drodze „z pola do stołu", straty ocenia się w granicach 20—30 proc.; secundo — przełamanie monopolu różnych organizacji zajmujących się skupem i dystrybucją artykułów rolno-spożywczych.

Przykłady wzięte z życia pokazują, że płody rolne i wyroby spożywcze trafiające na rynek z pominięciem pośredników (w postaci central zbytu) mają niższe ceny (np. sklepy PGR). A więc pośrednicy podnoszą ceny wielu wyrobów spożywczych.

Obrona stopy życiowej społeczeństwa jest niewątpliwie powinnością związków zawodowych. Ale zarazem należy pamiętać, że warunków bytu społeczeństwa nie można traktować jako sprawy nie wypływającej z sytuacji ekonomicznej państwa i nie dostrzegać zgubnych skutków ekonomicznych żądań podwyżek płac i świadczeń. Jeżeli zadośćuczynienie tym żądaniom odbywa się wyłącznie na płaszczyźnie pieniężnej, bez odpowiedniego wzrostu wydajności pracy, to faktycznie żądania owe nie regulują problemu podniesionej stopy życiowej, a tylko zaostrzają stan nierównowagi rynkowej.

JACEK BINKOWSKI

Zaślubiny z knajpą

Jak mogę wytłumaczyć swojej córce, że chodzi się uczyć do szkoły, a nie do knajpy. Jak ja jej to mogę wytłumaczyć, proszę pana, skoro taki jest stan faktyczny — powie Bogusław Niemiec, ojciec sześcioletniej Beaty.

— Mojego syna zaczepił kiedyś jakiś pijany i powiedział, że niby przez takich jak on — nie można normalnie, po ludzku napić się piwa po trzynastej w restauracji — dodaje inny rodzic.

Tak można by zacząć opowieść o szkole — „zerówce" na osiedlu Polanka w Krośnie dzielącej pomieszczenia z tamtejszą restauracją. Można też inaczej.

Z PIERWSZEJ RĘKI

Nauczycielka Jolanta Baran do niedawna pracowała jako wychowawczyni w przedszkolu. Od tego roku postanowiła zatrudnić się w szkole. Zaproponowano jej „zerówkę". Nie ukrywa, że pierwszy kontakt ze szkołą trochę ją zaszokował. Nie bardzo sobie wyobrażała, że można uczyć dzieci w restauracji...

Mówi:

— Najbardziej zdziwił się mój mąż, kiedy mu powiedziałam, że w restauracji „Polanka" będzie moje miejsce pracy. Musiałam mu długo tłumaczyć, że do szkoły nie wchodzi się tym samym wejściem, co do knajpy, tylko od zaplecza.

— Salka, w której siedzimy, jest odgrodzona cienką ścianką działową od sali konsumpcyjnej w restauracji. Można się o tym natychmiast zorientować po zapachach z tamtej strony ściany. Koleżanka, która uczy po południu (restauracja jest czynna od godziny jedenastej, przyp. J.B.) **skarży się, że bardzo często słychać odgłosy z restauracji; głośne rozmowy i nawoływania kelnerek, brzęk naczyń.**

Inną kłopotliwą sprawą, o której mówi reporterowi nauczycielka jest brak ciepłej wody oraz potworne zimno panujące w sali lekcyjnej. Zazwyczaj jest dwanaście, trzynaście stopni ciepła.

— Co prawda są kaloryfery, ale bardzo słabo grzeją. Nie pomaga nawet grzejnik elektryczny. Efekt jest taki, że średnio na zajęcia nie przychodzi ok. dziesięcioro dzieci. Po prostu się przeziębiają.

Nie ma też apteczki i żadnej zagwarantowanej opieki lekarskiej. Nauczycielka nie bardzo sobie wyobraża sytuację, gdyby któremuś dziecku coś się przydarzyło. Nie wiadomo, czy zostać z poszkodowanym, czy dzwonić po lekarza. Jest przecież sama na jednej zmianie.

„Zerówkę" traktuje się jak kulę u nogi. Przykładem tego jest oczywiście sam lokal. Uczymy dzieci pierwszego kontaktu ze szkołą w salce która ma kilkanaście metrów kwadratowych, w której jest zimno, w której nie ma absolutnie żadnych warunków do nauki. Brakuje pomocy naukowych, nie ma żadnego wyposażenia, dzieci nie mają się czym bawić bo zabawki są stare i nieestetyczne. Wszystkie pomoce naukowe wykonywałam w domu sama, kupowałam materiały za własne pieniądze. Rodzice absolutnie we wszystko wyposażają swoje dzieci, wszystko muszą nosić w workach. Nawet zabawki.

Kilkakrotnie mówiłam o tym dyrektorowi szkoły, zrobiłam nawet spis najniezbędniejszych pomocy naukowych. Odpowiedź jest krótka — nie ma funduszy.

— To że szkoła znajduje się na terenie restauracji, to tylko część problemu — kończy nauczycielka.

ZŁO KONIECZNE

W hallu Szkoły Podstawowej nr 7 w Krośnie, której dyrektor jest jednocześnie administratorem filii w restauracji, naprzeciwko wejścia stoi wielka tablica Samorządu Uczniowskiego z białym hasłem na czarnym suknie „Pragniemy mieć szkołę, która uczy nas, jak należy pracować dla ojczyzny".

— Co pan na to, dyrektorze, biorąc pod uwagę lokal, w którym znajduje się „zerówka"?

Dyrektor **Jan Mironowicz** prowadzi już kolejną rozmowę z dziennikarzami.

— Wiedziałem, że wcześniej czy później ta sprawa „wybuchnie". Nawet dziwię się, że dopiero teraz, skoro filia w restauracji funkcjonuje już drugi sezon.

Opowiada:

— Nasza szkoła była projektowana dla dwustu uczniów, w czasie kiedy ją budowano była jedną z najbardziej nowoczesnych w gminie i najbardziej przestronną.

Nie przewidywano jeszcze wtedy, że osiedle Polanka tak bardzo się rozrośnie, że powstaną nowe bloki i przybędzie dzieciaków. Ciasno zaczęło się już robić w połowie lat siedemdziesiątych, przymierzano się wtedy do rozbudowy tej szkoły, powołano Społeczny Komitet były już projekty. Mamy dzisiaj rok 1984 i w rezultacie uczy się u nas ponad sześćset dzieci. Nie muszę dodawać, że w systemie dwuzmianowym.

Dwa lata temu budynek „pękał w szwach". Były dwie możliwości; wprowadzić trzecią zmianę, a co się z tym wiąże wydłużyć zajęcia do 21.00, albo znaleźć lokal zastępczy.

Niech mi pan wierzy, naprawdę nie było innego pomieszczenia, tylko ta restauracja. W porozumieniu z WSS zrobiliśmy ściankę działową i zabraliśmy część sali konsumpcyjnej dla potrzeb „zerówki". Całego budynku nie udało się zabrać. Restauracja w osiedlu też ludziom jest potrzebna. O adaptacji zdecydowało niezależne wejście, od tyłu restauracji...

Dyrektor twierdzi że filia w „Polance" jest sprawą przejściową, nawet nie zrobiono tablicy, że tam znajduje się szkoła. Cały czas jest aktualna sprawa rozbudowy „siódemki". Na razie nie weszła do planów inwestycyjnych...

Poza tym Spółdzielnia Szkła Laboratoryjnego zrezygnowała z jednego ze swoich zakładów na osiedlu „Polanka". W pomieszczeniach tego zakładu ma powstać do czasu rozbudowy SP 7 kolejny lokal zastępczy, w przyszłości przedszkole. Wywiezione zostały już urządzenia, rozpoczął się remont i prace adaptacyjne. Miały się skończyć we wrześniu nie skończą się nawet w maju...

WŁADZE MIASTA TEMAT ZNAJĄ

Temat jest głośny — mówi Inspektor Wydziału Oświaty i Wychowania w Krośnie — **Mieczysław Piękosz**. Inspektor Piękosz powiada z rozbrajającym spokojem:

— Lepszego pomieszczenia byśmy nie znaleźli, lokal jest przestrzenny, ładnie usytuowany, nowoczesny, nieźle zagospodarowany. Poza tym jest osobne wejście...

Że zimno? Nie było sygnałów...

Przerywam sielankowy nastrój i dobre samopoczucie pana inspektora:

— Zaprowadziłby pan swoje dziecko na naukę do restauracji?

— Owszem, lokal ten nie jest najbardziej odpowiednim miejscem do nauki, nie wpływa wychowawczo. Mówiłem tylko o warunkach lokalowych, o przestrzeni. W Krośnie jest 11 szkół podstawowych, uczy się w nich ponad 6000 dzieci. Pierwszoklasistów ciągle przybywa. Na przykład na osiedlu Traugutta nie ma w ogóle szkoły i dzieci są dowożone do innych szkół w mieście. Zaleciliśmy zmianę rozkładu zajęć, żeby rozpoczynać lekcje od siódmej rano, może to coś zmieni.

— Wracając do osiedla Polanka i filii w restauracji. Naprawdę, nie było innego nadającego się na ten cel lokalu — próbuje wytłumaczyć problem przedstawiciel władz oświatowych w Krośnie.

Tymczasem. Z listu Komitetu Rodzicielskiego i Komitetu Osiedlowego do Kuratorium:

„... Komitet Rodzicielski przy Szkole Podstawowej 7 zwraca się z uprzejmą prośbą o informacje dotyczące budynku tzw. „starej szkoły" usytuowanej przy ul Rewolucji. W oparciu o pogłoski krążące wśród mieszkańców osiedla Polanka o nieprzyjęciu w/w budynku przez Cezas — Rzeszów do celów, do jakich miał być przeznaczony po remoncie, prosimy o wnikliwe wyjaśnienie tej sprawy. W przypadku potwierdzenia się pogłoski, z uwagi na skandaliczne warunki lokalowe panujące w naszej szkole — Komitet Rodzicielski wraz z Komitetem Osiedlowym — domaga się przekazania w jakiejkolwiek formie na potrzeby szkoły podstawowej do czasu rozbudowy SP 7 — trzech izb lekcyjnych w w/w budynku..."

List wysłano w kwietniu, odpowiedź z Kuratorium otrzymano w maju.

„Obiekt poszkolny w Polance zwolniono w 1960 roku. Owczesne władze oświatowe wydzierżawiły go na cele magazynowe dla potrzeb... Przez ten okres czasu, do 1977 roku obiekt był nie zabezpieczony i ulegał dewastacji. Zgodnie z uchwałą Wojewódzkiej Rady Narodowej budynek został przeznaczony na potrzeby Cezasu oraz Wojewódzkiej Pracowni Dydaktyczno-Technicznej a także składnicy druków oświatowych.

Remont budynku i jego adaptowanie ukończono w styczniu 1984 roku. Do wykonania pozostały tylko prace związane z urządzeniem i zagospodarowaniem terenu i ich zakończenie planowane w czerwcu..."

Inne na ten temat zdanie ma przewodniczący Komitetu Rodzicielskiego — **Ryszard Bilik**:

— W budynku „starej szkoły" pracuje najwyżej dziesięć osób, część pomieszczeń stoi pustych i nie wykorzystanych. Nie wiadomo kiedy wprowadzi się tam Cezas. Do tego czasu dzieciaki mogłyby się tam uczyć zamiast w restauracji.

Dodaje zastępca dyrektora SP 7 — Danuta Sanecka:

— Uważam, że Pracownia Dydaktyczno-Techniczna jest niezbędna w naszym mieście, do tej pory jej nie było. Nie należy więc z niej rezygnować. Natomiast „Cezas" „wchodzi" już od półtora roku i do tej pory pomieszczenia stoją puste. W budynku „starej szkoły" wystarczy tylko postawić ławki, warunki są idealne, są nawet pomalowane podłogi...

Nic dodać, nic ująć.

Niezależnie od „walki" o dwie sale w pusto stojącym budynku powołano Społeczny Komitet Rozbudowy Szkoły na osiedlu Polanka. Komitet Rodzicielski opracował już plany takiej rozbudowy i czeka na decyzję.

Ryszard Bilik.

— Wszystko wskazuje na to, że rozbudowa szkoły nikogo nie interesuje. Jesteśmy gotowi budować, sami, pracować przy prostych robotach. Tylko sprawa rozbija się o fundusze. Gdybyśmy się jeszcze złożyli po kilkadziesiąt tysięcy złotych, to może w kuratorium sprawę by „rozpatrzyli".

MAŁOLATY W KNAJPIE

Po godzinie siedemnastej Restauracja „Polanka" rozpoczyna swoją „normalną" działalność. Można podawać alkohol. Od zewnątrz przez olbrzymie szklane szyby z olbrzymim napisem „RESTAURACJA POLANKA" widać gazetkę ścienną „Krosno — moje miasto" oraz szkolną tablicę przypominającą, że jeszcze godzinę temu uczyły się tam dzieci. Po południu przychodzą dorośli, żeby spędzić resztę dnia przy piwie. Wewnątrz knajpy czarna kotara zasłania drzwi do dawnej sali konsumpcyjnej, która dzisiaj jest salą lekcyjną.

— Co z tego, że nie podają alkoholu w tym czasie, kiedy uczą się dzieci — mówi jedna z matek. **— Szłam kiedyś wieczorem z synem koło tej speluny i on mi pokazuje palcem: „mamusiu, tutaj jest moja szkoła". Pokazywał mi budynek, przed którym akurat rzygał jakiś pijaczek. Proszę pana, tylko się rozpłakać...**

Dyrektor **Danuta Sanecka:**

— Sama świadomość dziecka, że obok, przez ścianę jest restauracja — to niemoralne i niewychowawcze. Dla sześciolatka zaczyna to być normalna sprawa: picie alkoholu, przebywanie w restauracji. Owszem, restauracja jest dla ludzi, ale nie dla dzieci.

Nauczycielka **Jolanta Baran** opowiada historię, kiedy w czasie prowadzenia zajęć dzieciaki zobaczyły przez okno kilku mężczyzn pijących wódkę na ulicy przed restauracją.

— Nie mogłam normalnie prowadzić zajęć, wszystkie dzieci stały kilkanaście minut przy oknie dopóki tamci nie skończyli.

* * *

Do Wydziału Oświaty i Wychowania przyszli podobno z petycją przedstawiciele Towarzystwa Przeciwalkoholowego w Krośnie. Ich również nie satysfakcjonuje oficjalny zakaz sprzedaży alkoholu do godziny siedemnastej. Podobnie jak rodziców i nauczycieli. Władzom oświatowym to jednak nie przeszkadza. Lokal jest wygodny i przestronny. Nikogo nie interesuje, że w „filii — zerówce" nie można prowadzić zajęć wychowania fizycznego, że nie ma opieki lekarskiej, że sześciolatki zamiast oswajać się ze szkołą, oswajają się z knajpą i pijakami.

Krosno, skądinąd sympatyczne i ładne miasto, jest wyjątkowo „pijane". Prawie w żadnej kawiarni i restauracji nie można wypić spokojnie herbaty, bo stoliki są oblegane przez pijanych. Pijani są wszędzie — w kawiarni, na ulicy, w bufecie dworcowym. Jeszcze w żadnym mieście nie spotkałem tylu pijanych.

Szkoła w restauracji jest symbolem tego miasta.

Z łysymi i siwymi naprzód iść

Rozwój społeczny w coraz większym stopniu — jak zgodnie się podkreślą — zależy od ludzi. Praktyka potwierdza, że wysoko rozwinięte kraje organizują tak życie społeczne, by zapewnić optymalne warunki produktywności wszystkich grup i kategorii społeczno-zawodowych.

W Polsce ponad 25 proc. dorosłych obywateli przekracza 50 lat i wkrótce powiększy ilość „mieszkańców" krainy seniorów, tj emerytów i rencistów, wśród, których są także pełnosprawni obywatele. Już na pierwszy rzut oka ciśnie się spostrzeżenie, że w tej populacji produktywność jest bardzo niska, że różnica pomiędzy możliwościami a stopniem ich wykorzystania jest niewspółmiernie duża. Chodzi tu o możliwości nie tylko robotników, inżynierów, organizatorów produkcji, ale również działaczy społeczno-politycznych, samorządowych itp.

Jeśli dodać, że problem seniorów jest — bez przesady — drugim biegunem współwarunkującym rozwiązanie kwestii młodzieży we wszystkich prawie jej aspektach, to znaczenie sygnalizowanej tu problematyki trudno przecenić. Potrzeby produkcji, myśli twórczej, potrzeby integracji społecznej, wychowania młodzieży i uspołecznienia państwa — stawiają problematykę seniorów w rzędzie spraw — pomyślności narodowej i kultury współżycia społecznego — w najszerszym rozumieniu. Spośród wszystkich stosunków społecznych większość zachodzi pomiędzy starszymi i młodymi.

Nie przypadek więc, że problem roli młodzieży i seniorów (ludzi starszych) pojawia się w różnych aspektach i okolicznościach. Przy czym nie jest to problem — co z łatwością można zauważyć — wolny od ciśnienia chwili i skłonności do instrumentalnego traktowania. Presji — „chwili" — w określeniu relacji i statusu pomiędzy kategoriami grup społecznych, (młodzi — starzy), ulegają wszystkie profesje i stany, a politycy, bądź osoby sprawujące funkcje polityczne w szczególności. Trudno zatem się dziwić, że wśród polityków wrażliwość na to co aktualizuje się jako atrakcyjne i żywotne w świadomości wpływowych grup społecznych, należy do wyposażenia profesjonalnego. Problem jednak zaczyna się tam, gdzie kończy się granica wrażliwości, a zaczyna koniunkturalizm ze swym nieodłącznym sąsiadem oportunizmem.

Problem seniorów w życiu wspólnoty może być rozpatrywany w różnych aspektach: biologicznym, ekonomicznym, socjologicznym, psychologicznym i w aspekcie polityczno-ideologicznym. Wśród różnych społeczeństw spotykamy się: z poważaniem dla starszych i niewielkim respektem dla dzieci i młodzieży; gloryfikowaniem seniorów i młodzieży, uważaniem dzieci i młodzieży za najważniejszą grupę społeczną itp. Jeśli pominiemy (w kwestii stosunków — młodzi — starsi) tzw. ekstremistów, to wśród różnych kultur można spotkać się z następującymi modelami relacji między „światem dorosłych" a „światem młodzieży". Podaję w pewnym uproszczeniu:

— dziadkowie i rodzice przekazują dzieciom wzorce i wartości, przyszłość dzieci zawiera się w przeszłości rodziców (model retrospektywny);

— każde pokolenie może zachować się inaczej, młodzi przejmują wzorce zachowań od rówieśników w obrębie własnej generacji, dorośli zachowują całą władzę i dominującą pozycję, dziadkowie nie odgrywają już żadnej roli; dzieci odcięte od przodków tracą więź z przeszłością (model konspektywny);

— młodzi uczą się od starszych, a starsi od swej młodzieży (model prospektywny);

Rzeczywiste traktowanie seniorów, ich kondycja, prestiż w życiu codziennym zmienia się nawet w obrębie tej samej formacji społeczno-ekonomicznej, zależy nawet od składu ekipy kierującej krajem. Zawsze jednak problem seniorów jest statusem wielostronnych implikacji politycznych i ideologicznych.

Historia ruchów politycznych pełna jest przykładów manipulowania i ewidentnych nadużyć problemu ludzi starszych i młodzieży; nadużyć w kształtowaniu wyobraźni społeczno-politycznej i celowego zakłócania międzypokoleniowych filiacji czy wręcz antagonizowania tych kategorii społecznych czego ilustracja mogą być także wydarzenia z lat 1980—1981 w Polsce.

Manipulowanie i koniunkturalizm w kwestii seniorów i młodzieży wyraża się najczęściej w jednoznacznym przyporządkowaniu określonych postaw obu kategoriom wieku, jako cechy stale im przysługującej, np. młodzież — rewolucyjność — przyszłość; seniorzy — tradycjonalizm — przeszłość. Takie podporządkowanie i identyfikowanie postaw jest zawsze nieuprawnionym uproszczeniem, a jeśli zdarza się politykom, bądź pełniącym funkcje polityczne jest świadectwem i przejawem niedostatku wyobraźni politycznej, a kultury politycznej w szczególności.

Od czasów „Ody do młodości" — jak podkreśla wybitny znawca problemu — prof. B. Suchodolski — do języka wprowadzono rozróżnienie między młodzieżą a młodością: „(...) młodość jest określoną postawą wobec świata i życia, charakterystyczną wprawdzie dla młodzieży, ale dostępną także wszystkim innym kategoriom wieku".

I dalej:

„Młodość jest zaprzeczeniem powszechnej akceptacji siebie i świata, jest przeciwieństwem nudy i jałowości istnienia, zaprzeczeniem obojętności i egoizmu. Młodość jest tam, gdzie życie wydaje się godne życia, gdzie ważniejsze są nurtujące pytania, niż dogmatyczne odpowiedzi, gdzie fakty i zdarzenia wyzwalają wciąż nowe doznania.

Młodość jest postawą otwartą wobec świata i innych ludzi, która wychodzi naprzeciw interesującym spotkaniom w czasie i przestrzeni, prowadzi nieustanny dialog z tradycją i teraźniejszością, z wyobrażaną przyszłością. Młodość jest tam, gdzie świeżość i żywość uczuć, gdzie osobowość odnajduje się i porzuca w konfliktach między nowością i wiernością".

Problem seniorów i aktywności tej grupy w życiu politycznym trudno uznać za satysfakcjonujący mimo rozwiniętej instytucjonalizacji tej sfery życia społecznego. Potencjał ich możliwości jest większy niż urzeczywistniany, a różnice między „może" a „spełnia" w dziedzinie życia politycznego rażąco niewspółmierne. Żywot polityczny seniorów był z różnych przyczyn — wydatnie krótszy i mniejszy niż ich kondycja i potrzeby społeczne, a często pomniejszany do poziomu zubożenia z uszczerbkiem dla kultury życia politycznego.

Procesom minimalizacji aktywności politycznej seniorów — na przestrzeni wielu lat — towarzyszy galanteria różnych uroczystości i rytuałów, która jest nie tyle oznaką szacunku, co ceremonialnym „napiwkiem" zamiast stabilniejszych warunków i pozycji w życiu. Owa ceremonialność występowała z natężeniem — najczęściej — odwrotnie proporcjonalnym do hierarchicznego szczebla władzy.

Z poczuciem zazdrości obserwuje się społeczeństwa, w których aktywność społeczno-polityczna jednostek trwa niezależnie od aktualnej rangi instytucjonalnej danego działacza; zmieniają się funkcje i stopnie służbowe, ale ich obecność na scenie życia politycznego trwa. Zmiany „kursów", „przełomy" nie uszczuplają wydatnie potencjału aktywności politycznej seniorów w danym czasie, chociaż zmienia się ich promień oddziaływania w życiu politycznym. W Polsce natomiast — jeszcze do niedawna — zmiany „kursów" eliminowały wydatnie ze sfery życia politycznego seniorów co zmniejszyło potencjał ogólny aktywności w życiu i dotkliwie zakłóciło dialektykę wszystkich elementów składających się na kulturę polityczną społeczeństwa. Ciśnie się tu hipoteza, czy sytuacja seniorów nie jest fragmentem ogólniejszego wzoru traktowania ludzi starszych, właściwego kulturom wiejskim, a której inne przejawy w naszym życiu społecznym są tylko bardziej dostrzegalne?

To co obserwujemy i wiemy o zaletach dojrzałej twórczości artystów (nawet późnej dojrzałości) można odnieść do zalet seniorów w sferze aktywności politycznej z uwzględnieniem ograniczeń biologicznych i specyfiki pola aktywności.

Działacz polityczny w dojrzałym wieku wyróżnia się:

— w wysokim stopniu świadomością relacji zadań i środków;

— doświadczeniem życiowym i rozległą pojemnością rozumienia życia psychicznego osób trzecich;

— powściągliwością i sceptycyzmem wobec postaw bipolarnych oraz umiejętnością dostrzegania wartości i zachowań sytuujących się pomiędzy granicznymi punktami;

— rozbudowanymi roszczeniami do nieograniczonej swobody wypowiedzi i rozległym faktycznie statusem swobody;

— szczególną wrażliwością na kompleks norm moralno-etycznych doktryny;

— znacznym prestiżem politycznym potwierdzonym własnym przykładem.

W grupie tej jest mniej apostołów, ale i mniej męczenników. Ludzie, którzy wiele słuchali nie zaufają każdemu, a w sytuacjach „gorących" zachowują więcej spokoju. Słowem można powiedzieć, że rozszerzenie udziału tej kategorii osób w życiu politycznym może wydatnie sprzyjać wzbogaceniu życia politycznego głównie poprzez zwiększenie udziału w procesie budowania decyzji, w sferze kontroli.

Nie jest przypadkiem, że ruchy społeczno-polityczne, o dużym i trwałym promieniu oddziaływania, z pieczołowitością odnoszą się do seniorów, zapewniając im warunki trwałej obecności w ciągu aktywnego ich życia. Wyznaczanie łysym i siwym roli bawiwnuków to w najlepszym razie nieporozumienie, bądź dążenie do pozbycia się najbardziej wrażliwych na różne deformacje społeczników.

Komu nieobca jest spójnia pokoleń i nieobojętne stosunki między startem pokolenia a finałem, między aspiracjami a dokonaniami, między nadzieją a rzeczywistością, między młodością a dojrzałością — nowością a kontynuacją, między wkładem pracy a gratyfikacjami, ten powinien wymienione postawy i wartości społeczne traktować, jako symbionty — których żywotność i jakość określona jest w najwyższym stopniu interakcjami między seniorami a młodzieżą.

Jeśli zgodzimy się z poglądem, że młodzież jest krytycznym sumieniem epoki, to seniorzy mogą być uznani za stróża zgodności jej oblicza z ideami. Myślowa zawartość tej maksymy, nawet grubo przesadzona, jeśli zajmie pozycję na skali zasadniczych kanonów życia publicznego, może zwielokrotnić potencjał tzw. czynnika ludzkiego z pożytkiem dla kraju i państwa.

ADAM WĘDRYCHOWICZ

Naturyści, radiesteci, astrologowie i inni

Dokończenie ze strony 1

Wracam na salę. Grzywna wskazuje mi chłopca, który wierci się, wykrzykuje: — *Nie, nie, nie!*

Grzywna bierze go za rękę. Ale nie uspokaja, mówi:

— *Krzycz, krzycz, wyrzuć z siebie wszystko...*

Chłopak skarży się: — *Dlaczego jestem sam? Dlaczego nikt mnie nie rozumie. Jestem sam, sam, choć chcę być z ludźmi.*

Grzywna oponuje: *Nie jesteś sam, jesteśmy z tobą, wszyscy tu są z tobą, pomagają ci, nie czujesz tego?*

Innemu z ćwiczących Bogdan Grzywna podsuwa pod głowę zwinięty koc — chłopak wykonuje pionowe ruchy głową, przypomina to atak padaczki.

Dziewczyna porusza w powietrzu rękami — płynne, koliste i symetryczne ruchy. Towarzyszy im cichy jęk czy raczej westchnienie.

W drugim końcu sali bardzo podobne ruchy rękami robi inny chłopak. Przypominają gesty kapłańskiego błogosławieństwa, modlitwy...

Dwudziestoletnia chyba, szczupła dziewczyna o bladej cerze przyszła tu z matką. Matka leży obok niej spokojnie, też porusza trochę rękami. Dziewczyna natomiast zaczyna się śmiać. Najpierw zwyczajnie, jakby dowiedziała się czegoś co ją szczególnie ucieszyło. Jakby dostała nową sukienkę albo usłyszała dobry dowcip. Potem, coraz głośniej, coraz bardziej histerycznie. To śmiech graniczący z płaczem, gorzki śmiech. Czyżby śmiała się z siebie? Ze swoich niepowodzeń? A może śmieje się z kogoś, kto jej szczególnie dokuczył?

Chłopak, który żalił się kilka minut temu na swoją samotność zaraża się śmiechem. Śmieje się coraz głośniej i głośniej...

Powoli uspokajają się wszyscy, najpóźniej śmiejąca się dziewczyna. Grzywna zachęca do relaksu, do snu, do przywołania przyjemnych myśli i przyjemnych wyobrażeń.

Znów cisza i odgłos rytmicznych oddechów.

Nad ćwiczącymi czuwa Witold Śmiech. Grzywna ma chwilę czasu na rozmowę.

Czym wytłumaczyć różnice w reakcjach między poszczególnymi uczestnikami? Jedni leżą spokojnie, inni krzyczą, rzucają się...

Spokojni są ci, którzy już kilkakrotnie brali udział w treningach. Oni są już oczyszczeni, uspokojeni, pogodzeni ze sobą i światem. Ci, którzy ćwiczą pierwszy raz są albo bardzo poruszeni, bardzo mocno reagują, albo przeciwnie — jeszcze się nie poddali psychicznie treningowi, jeszcze się nadmiernie kontrolują. Nie można też wykluczyć, że są ludźmi mniej podatnymi, muszą poćwiczyć jeszcze raz i jeszcze raz. Wreszcie, wśród ćwiczących bywają przecież ludzie bardzo zrównoważeni, spokojni, którzy nie mają potrzeby tak gwałtownego odreagowywania. Ale im także trening się przydaje. Po prostu intensywnie wypoczywają...

Co to jest eksteriorycacja?

W ostatniej fazie treningu, jutro wieczorem dokonamy próby Eksterioryzacja to nadświadome rozdzielenie jaźni. Ćwiczący będą opisywać np. mieszkania, w których nigdy nie byli. Eksperyment taki rzadko udaje się w pełni, mało jest ludzi, którzy mogą osiągać tak wysoki stopień eksterioryzacji. Ale zwykle udaje się to w znacznym stopniu powiedzmy, w pięćdziesięciu procentach...

Nie zadaję dalszych pytań. Ugryzłem się w język, mój racjonalizm wytrzyma tę próbę.

Cóż, nasze mieszkania są dzięki budowniczym i przemysłowi budowlanemu tak zuniformizowane, że pięćdziesiąt procent „trafień" w opisie nieznanego mieszkania można osiągnąć bez żadnych eksterioryzacji.

Bogdan Grzywna wyczuwa sceptycyzm w moim milczeniu i próbuje go przełamać przytaczając efekty naukowego eksperymentu.

Oczywiście, nauka jeszcze niewiele może na ten temat powiedzieć, co nie znaczy, że nie będzie mogła w przyszłości. Być może istnieje jakaś świadomość zbiorowa. W wierzeniach hinduskich jest coś takiego jak wspólny mózg. Mózg wszystkich ludzi. Ma on otaczać całą ziemię, a mózgi ludzkie mogą się z nim kontaktować.

Potwierdzałoby to amerykańskie doświadczenie. Zaczęło się, jakżeby inaczej, od szczurów. Kilka szczurów szukało drogi w labiryncie. Znalazły ją, powiedzmy, w ciągu pięciu minut. Potem w eksperymencie wzięło udział kilka innych szczurów, które nie kontaktowały się w żaden sposób z poprzednikami. Następna grupa znalazła wyjście już po czterech minutach. Kolejna — po trzech i pół itd.

Potem coś podobnego zaproponowano kilku zupełnie odizolowanym od siebie grupom ludzi. Pierwsza grupa uczyła się japońskiego wiersza na pamięć. Oczywiście nikt z nich nie znał japońskiego. Kiedy się nauczyli, powiedzmy, po czterech godzinach, rozpoczęła naukę następna grupa. Ci uczyli się trzy godziny i pięćdziesiąt pięć minut. Następni jeszcze krócej, itd., itd. Co pan o tym sądzi? Czy nie dowodzi to istnienia wspólnej świadomości?

Nie odpowiadam. Wracamy na salę.

Bogdan Grzywna budzi uczestników treningu. Siadamy, wszyscy kolejno opowiadają o swoich wrażeniach i przeżyciach.

Biorę udział jeszcze w jednej fazie treningu. Jest to medytacja buddyjska. Przez dziesięć minut siedzę na skrzyżowanych nogach i wpatruję się nieruchomo w białą ścianę. Grzywna ostrzega, że można doznać nieprzyjemnych uczuć — lęku, przygnębienia, chłodu, dotyku zimnej ręki.

Nic z tych rzeczy. Jedynym przykrym uczuciem jest ból nóg i kręgosłupa. Może nie udało mi się skupić?

UFOLODZY, RADIESTECI, ASTROLOGOWIE...

Wszyscy oni skupieni są we wspólnym klubie o nazwie „Para-Ufo". Prezesuje klubowi Bogdan Grzywna. Wygłasza odczyty, prowadzi Laboratorium Usług Psychotronicznych. Zajmuje się całą masą różnych rzeczy. Wizytówka Grzywny: ekonomisty z wykształcenia a entuzjasty najróżniejszych dziwnych dziedzin wiedzy imponuje obcojęzycznymi nazwami międzynarodowych klubów i stowarzyszeń, których jest członkiem. Z Brytyjskim Towarzystwem Ufologicznym na czele...

Klub liczy około dwustu stałych uczestników, a z sympatykami nawet pięciuset. Klub istnieje od stycznia 1982 roku i jest ważną częścią działalności Dzielnicowego Domu Kultury Łódź-Polesie. Do niedawna w jego ramach działał także Klub Medycyny Niekonwencjonalnej, ale upadł na skutek zarządzenia ministra zdrowia i opieki społecznej. Jest jeszcze klub jogi, a w najbliższym czasie powstanie — być może — klub kultury buddyjskiej — Zen.

Najbardziej znane jest Laboratorium Usług Psychotronicznych, niedawno ciepło o nim pisał „Przekrój" (w lipcu ub. r.).

Nie wiem czy ja napisze o nim ciepło, jestem racjonalistą i sceptykiem — mówię instruktorce Działu Oświatowego, Bożenie Kowalczyk.

— To może porozmawia pan z naturystami? Zarząd Klubu ma stałe dyżury. We wtorki o osiemnastej.

NATURYŚCI

Tomy już o nich napisano. Zwłaszcza w tygodniku każdego konsumenta, choć naturyzm z żadną konsumpcją nie ma nic wspólnego. Na łódzkim gruncie też nie brak sensacji i sensacyjek na ich temat, a to głównie dzięki kolegom z „Expressu Ilustrowanego". Prasowe zainteresowanie naturystami chyba nie bardzo wychodzi im na zdrowie, toteż rozmowę z wiceprezesem klubu Wojciechem Wieczorkiem rozpoczynam od deklaracji, że jestem sympatykiem ruchu. Sympatykiem, ale...

— *Popieram w całej rozciągłości ideę opalania się i kąpieli — oczywiście na odludnych plażach — bez kostiumów. Ale na tym moje poparcie się kończy. Głosicie, między innymi, protest przeciw striptizowi. Protestujecie przeciw robieniu spektaklu z nagiego ciała. A organizujecie wybory miss naturystów. Czyli robicie spektakl?*

— Tak, ale na striptizie publiczność jest ubrana, często są to podpici panowie, robiący niewybredne uwagi. To poniża rozbierająca się kobietę. Na naszych konkursach miss kandydatki są nagie, ale i publiczność jest naga i jury jest nagie. To zupełnie co innego. Nagość w zbiorowości jest aseksualna...

— *Prasa i telewizja donosiły niejednokrotnie o wybrykach naturystów w Świdrze pod Warszawą, w Chałupach na Helu, wreszcie i nasz tygodnik wspomniał o niewłaściwym zachowaniu łódzkich naturystów na plaży pod Łaskiem...*

— To rzadkie przypadki i najczęściej nie dotyczą naturystów stowarzyszonych. Nasz klub istnieje od jesieni 1982 i tylko raz zdarzyło się, że usunęliśmy z klubu jedną osobę, powtarzam, jedną panią, choć klub liczy 654 osoby.

— *Mówicie o zbliżeniu do natury. Z równym powodzeniem można zbliżać się do natury jedząc surowe mięso. Przecież nie można się wyrzekać cywilizacji. A cywilizacja zwłaszcza w naszym klimacie, to także ubiór...*

— Nagość zbliża ludzi, powoduje, że jesteśmy sobie bliżsi, szczersi wobec siebie, bardziej naturalni. Zżywamy się. W naszym klubie zawiązało się wiele przyjaźni, jesteśmy wszyscy na ty, stanowimy wielką rodzinę. Dlatego też nie ograniczamy się do plaży czy solarium. Organizujemy spotkania, odczyty, wystawy fotografii, bale. Latem spotykamy się na plażach, zimą w saunach...

— *Właśnie, sauna. Świetna podobno rzecz dla zdrowia. Czy jednak ma jakiekolwiek znaczenie dla zdrowia to, że jest koedukacyjna?*

SAUNA

Lekkie zażenowanie wywołuje wspólna szatnia: Chodzić nago, no, można, ale zdejmować przy paniach spodnie! W samej saunie zażenowanie mija. Jest nas kilkanaścioro. Panie, zgrabne i ładnie opalone. Bez białych plam po kostiumach kąpielowych. Nikt się na nikogo nie gapi, atmosfera całkowitej naturalności i luzu.

Powiedzmy sobie, prawie luzu. Panie jednak przykrywają się ręcznikami kiedy wchodzą i wychodzą. W saunie też siadają najchętniej z rękami splecionymi na uniesionych kolanach, w pozycji, w której są jednak możliwie najbardziej zasłonięte.

Nikt na nikogo się nie gapi. A jednak jeden z panów, krótkowidz, pozostał w saunie w okularach. Mimo że co chwila ochładza je dłonią. Parza, temperatura przekracza 100 stopni. A jednak nie zdjął szkieł.

Sauna sąsiaduje z gabinetem, w którym można się poddać masażowi wodnemu, opalać pod kwarcówką albo naświetlać lampą ultrafioletową. Urządzenia te obsługuje ubrana od stóp do głów dziewczyna. Ładna dziewczyna... Spoglądam na nią z dużo większym zainteresowaniem niż na naturystki. Wyróżnia się...

Większość korzystających z tego gabinetu panów opasuje się ręcznikami. Ale nie wszyscy. Niektórzy zarzucają ręczniki na ramiona. Dziewczyna wodzi wzrokiem gdzieś pod sufitem... Nieładnie, panowie naturyści...

A może jestem przewrażliwiony? Może oni są po prostu naturalni, może zapominają o swojej nagości? Może te dziewczyny zasłaniają się też tylko z nawyku? Może...

Kontynuuję rozmowę z wiceprezesem, Wojciechem Wieczorkiem i prezesem, Wiesławem Niedzielskim, którego właśnie poznałem w saunie. Jesteśmy na ty. Trudno sobie wyobrazić, żebyśmy się tytułowali tutaj, kiedy siedzimy obok siebie zupełnie nadzy.

— *Powiedzcie coś o tym balu, opisanym przez belgijski tygodnik „Revelation", a później przez „Rzeczywistość".*

— Sprawa była przesadzona. Był zwykły bal, po północy ogłoszono wybory królowej balu. Normalnie, w ubraniach. Ale też wszyscy mieli trochę w czubie, ktoś zakrzyknął, że co to za bal naturystów, jeśli kandydatki są ubrane. Panie się rozebrały, potem ktoś tańczył z taką nagą dziewczyną, to wszystko. Sprawę rozdmuchał ten belgijski dziennikarz. Fakt, cała ta heca z rozbieraniem dziewczyn była niepotrzebna, ale też żadnej orgii nie było.

— *Wasz prezes ogólnokrajowy, Sylwester Marczak organizuje teraz wybory Miss Śniegu. Czy nie przesadza z tymi wyborami?*

— Nasz prezes w ogóle trochę przesadza z reklamą. Często jest to już tylko autoreklama. Ruchowi nie zawsze to służy.

— *A propos. Ruch nadal jest półlegalny? O ile wiem, nie uzyskaliście prawnej rejestracji jako stowarzyszenie?*

— Okazało się, że deklaracja złożona jako niezbędny dokument do rejestracji była tak ostrożnie sformułowana, iż nie wykraczała poza statutowe cele różnych organizacji sportowo-rekreacyjnych, np. Towarzystwa Krzewienia Kultury Fizycznej. Sąd nie dopatrzył się potrzeby rejestracji. Także takie afery jak wspomniana przed chwilą, nie pomogły nam.

Toteż Polskie Towarzystwo Naturystyczne nie istnieje z formalno-prawnego punktu widzenia. My działamy pod egidą poleskiego Domu Kultury. Jako Łódzki Klub Naturystów

* * *

Naturyści, radiesteci, astrologowie — jak to pani pomieściła pod szyldem Domu Kultury? Czy to jest kultura? — Pytam dyrektorkę Domu Kultury Łódź-Polesie Zofię Pozłowską.

— Kultura to bardzo szerokie pojęcie. Mieści się w nim twórczość Picassa i sposób, w jaki wymujemy wtyczkę z gniazdka elektrycznego. Chcemy zaspokajać najróżniejsze potrzeby naszych odbiorców. Potrzeby kulturalne i — szerzej — potrzeby wyżycia się w najróżniejszy sposób, potrzebę najróżniejszych poszukiwań. Nawet takich, jak te wszystkie parapsychologie, radiestezje itp.

— *Nawet potrzebę chodzenia nago?*

— Przecież po domu kultury nikt nago nie chodzi. A naturyści jeśli pan z nimi rozmawiał, to bardzo mili, kulturalni ludzie, prawda? Oczywiście, jedni chodzą nago, bo mają jakąś tam ideologię, drudzy dorabiają ideologię do chodzenia nago. Ale komu to przeszkadza? A przy okazji — są uczestnikami naszych imprez artystycznych i oświatowych.

Bez fałszywej skromności mogę powiedzieć, że jesteśmy jedynym w Łodzi domem kultury, który ma klientelę, ma odbiorców, przeważnie wśród średniego pokolenia. Trzydziestolatków, czterdziestolatków. Wszędzie indziej spotka pan głównie dzieci, młodzież i emerytów. Ludzie średniego wieku są najtrudniejszą do zdobycia publicznością.

— *Nie ma pani kłopotów? Nie mają do pani pretensji, że nie prowadzi typowej działalności: zespół taneczny, odczyty, kółko recytatorskie?*

— A kto powiedział, że nie prowadzę? Mamy sześć zespołów amatorskich, dwie pracownie politechniczne, urządzamy audycje muzyczne, seanse filmowe w ramach klubu dyskusyjnego, imprezy dla dzieci, kursy. Uczestniczą w tym tysiące ludzi, a co nas szczególnie cieszy, to właśnie ta liczna grupa ludzi średniego wieku.

— *Pani dyrektor, przedstawiłem kandydaturę pani i pani współpracowników do nagrody „Odgłosów" za upowszechnianie kultury. Zainteresowała mnie ta nietypowa działalność, poszukiwanie. Myślę, że klasyczny Dom Kultury się trochę przeżył. Trzeba szukać nowej formuły. A raczej nowych formuł. Różnych. Zespół pracowników DDK Łódź-Polesie szuka...*

— Dziękuję. A przy okazji mam prośbę. Działa u nas dziecięcy zespół taneczno-pantomimiczny „Sikorki". Skupia trzydzieścioro dzieci od sześciu do czternastu lat. Działa od czterech lat i ma już poważne sukcesy, był na występach w Jugosławii, w najbliższym czasie znów wybiera się za granicę. Nikt jeszcze o nim nie napisał w prasie, nie zamieścił zdjęcia. Dziennikarze tylko o naturystach i astrologach. Niech pan napisze o „Sikorkach"! Koniecznie ze zdjęciem!

ANDRZEJ KAROLCZAK

Foto: Grzegorz Gałasiński

Bohdan I. Antonycz

Płacz tarnin

Ucichło. Nawet listka nie trąci ptak dziki.
Próchno łyska z ciemności niczym oko moru,
przeziera chłodnym światłem mroczne
mateczniki
jak oko, co dno życia lustruje z uporem.

Kropla krwi z rany nocy — to właśnie kaliny
jagódka, co wśród liści czerwieni się skrycie.
O mój bracie jeleniu, myśmy obaj z gliny,
lecz ty lepiej ode mnie zrozumiałeś życie.

Wiemy: więcej jest kolców niż ziarenek
maku,
węzły życia jak węzły wędrówki ptaszęcej...
Co noc płaczem roślinnym łkają tarnin krzaki,
Iż zmuszono je służyć Chrystusowej męce.

Wolha Ipatawa

Ona

...Z tych utapirowanych dziewcząt,
Co talent skalą rubla mierzą,
Co z niepokojów nie ulecza
I samotności nie uśmierzą.
Najchciwsza z bogiń.
Wzrok rozbłyska
Zmienną ruchliwą zielonością,
Lecz domowego żar ogniska
Nie roztli bujną zmysłowością.

Kiedy biesiadny stół prostaczym,
Zalotnym rozkołysze śpiewem,
W myślach mi z miejsca zamajaczy
Wśród krzewów raju naga Ewa.

Co lata całe i nielekko
Myśmy w skarbonkę sero składali,
Mój pusty chłopak do torebki
Rzuci jej niby sznur korali.

Pimien Panczanka

★ ☆ ★

Na Polesiu jesień.
Gęsi białe
wyskubały otawę miodową
i wiatry od ziąbu oszalałe
to łkają,
to jęczą grobowo.

Gdzieżeście się podziały,
uśmiechy, kwiecie?
Dokolutka
stogi, stogi, stogi.
Czym się ty teraz ze mną podzielisz, Prypeci,
apatycznie płynąca, pociemniała od smutku?

Czy do płaszcza żółty liść mi przypniesz?
Czy na chwilę przywołasz zza szarug
krajkę zorzy,
przedświtki błękitne
z cieniem topól, boćków, z piąsaniem oparów?

A ty sama pod lodem się schowasz,
lato w stogach uśpiwszy po trudzie...
Będą konie śnić łąki miodowe,
przez sen wzdychać markotno, jak ludzie.

Przełożył:
TADEUSZ
CHRÓŚCIELEWSKI

Rys. Janusz Szymański-Glanc

Julitta Sękiewicz (Królewna) i Artur Majewski (Jaśko)

Foto: Jerzy Neugebauer

Kochajmy też brzydule

Królewny z baśni są zazwyczaj smutne z przesytu i nudy, mają bowiem wszystko i jeszcze więcej niż trzeba żeby być zadowolonym z życia. A jeszcze do tego tata—król staje na głowie (niekiedy dosłownie), żeby swojej jedynaczce i półsierocie przychylić nieba (baśniowe królewny tracą w niemowlęctwie matkę). Nic jednak nie pomaga, żadne atrakcje ich nie cieszą i nudzą się, chorują na wielkoświatowy spleen, dopóki nie pojawi się On — rycerz, pastuszek, dzielny szewczyk. Ten, który odczaruje, zabije smoka, zabawi rozweseli.

W taki też fabularny wzorzec wkomponowali swoją baśń o smutnej królewnie **Stanisław Jurgis i Michał Szopa**, ale od samego początku z całkiem istotną różnicą. Smutna królewna wcale nie jest malowaną lalą, lecz istotą wrażliwą i czującą, co więcej ma skrystalizowane pragnienie. Może się ono wprawdzie wydawać w jej sytuacji mrzonką kaprysem, jest jednak po ludzku zrozumiałe. Chciałaby znaleźć się choć na chwilę sama, daleko od zamku, wśród widocznego przez okno stadka owiec pasącego się na hali pod opieką młodego pasterza. To przecież najnaturalniejsza reakcja na nadmierną troskliwość otoczenia i dokuczliwą kuratelę, no i jakże współczesny motyw — tęsknota za nieucywilizowaną przyrodą.

Nasza królewna jest przy tym osóbką rezolutną i przedsiębiorczą, wymyka się potajemnie z zamku i w skromnym przebraniu dociera do upragnionego celu. Zaznajamia się z Jaśkiem, który już wcześniej zawładnął jej wyobraźnią, ten zaś jakżeby miał nie ulec urokowi tak cudnej i delikatnej panienki, toteż wzajemna miłość rozkwita w sposób najoczywistszy, umotywowana psychologicznie. Bliższe to dość niezwykłej wprawdzie, ale „normalnej" opowieści o miłości od pierwszego wejrzenia, niż baśniom, w których zwykle miłość przyjmuje się do wiadomości na zasadzie fabularnej konwencji.

Na tym oczywiście nie koniec historii, ale nie powiem — co dalej, jakie przeszkody w postaci ludzkich intryg a wreszcie i czarów musi Jaśko pokonać, żeby się połączyć z ukochaną, i to wcale nie dla korony. Na pewno gotów byłby — za jej przyzwoleniem — porwać ją i wziąć ślub u kowala, po czym żyć razem z nią w górskim szałasie długo i szczęśliwie.

Ale zakończy się wszystko jeszcze pomyślniej. Muszę jeszcze koniecznie opowiedzieć o rzuconym na królewnę czarze, bo to ciekawy pomysł, zwłaszcza iż ma to być próba miłości. Sprzyjający królewnie czarodziej przemienia mianowicie naszą ślicznotkę w okrutne czupiradło, plegowate i rozczochrane, co nawet niektórym mogłoby przypaść do gustu, ale w dodatku robiące złe miny. Próba wyjątkowo perfidna albowiem miłość męska, wiadomo nie na same tylko duchowe zalety partnerki ma oczy otwarte, a tutaj nie żaden zab czasu urodę nadgryzł, nastąpiła natomiast metamorfoza z chwili na chwilę jak po zmyciu makijażu, którego królewna zresztą — pod słowem! — nie stosowała.

Nie zdradzę tu jednak, jak Jaśko się zachował. Czy ujrzawszy brzydulę powiedział sobie, jako młodzian honorny, „Trudno, stało się, zabrnąłem!" Czy też dochował miłości, bo ujrzał dziewczynę znów piękną jak malowanie? Może nie dość w tym momencie uważałem zadumawszy się nad życiem, ale odniosłem niejasne wrażenie, że autorzy poszli trochę drogą tzw. moralnego kompromisu.

Czy tak to było, czy nieco inaczej, Jaśkowi słusznie należała się w nagrodę i żona i korona, on ci to bowiem, a nie rywale, zdobył na odczarowanie uroku cudowną wodę, czym sprawił radość ukochanej, a i sobie przyjemność.

Sztuka wyróżnia się wartkim, dobrze brzmiącym dialogiem, który zręcznie popycha do przodu akcję. Tekst jest całkowicie dostępny percepcji dziecka, czemu nie przeszkadzają aluzje adresowane do dorosłych. Sytuacje rozwiązywane są w sposób naturalny, co nie znaczy, że całkowicie realistycznie, lecz w zastosowanej tu konwencji po części dell arte, po części opery buffo.

Zasługuje na uznanie rzetelna gra aktorska. Na czoło wysuwa się rola **Królewny Dobromiły**, z wdziękiem i subtelnym liryzmem, a przy tym dowcipnie kreowana przez **JULITTĘ SĘKIEWICZ**, której przychodzi z powodzeniem w sukurs we wcieleniu brzyduli **MAGDALENA CWENOWNA**, co czyni tak udatnie iż zostaje zachowana wiarygodność kontynuacji postaci. Nie wiem, jak to wypada, kiedy obie panie zamieniają się rolami. Myślę, że postaci **Króla** w wykonaniu **ZBIGNIEWA NIEWCZASA** niedostawało siły komicznej. Role obu dworskich intrygantów i ich synów, pretendujących do ręki Królewny, zróżnicowane zostały wyraziście, a posługiwanie się przez nich charakterystycznym emploi nie przekraczało w zasadzie granicy szarży. **Kanclerza** grał **JERZY KORSZTYN**, jego syna **Ciamajdę MICHAŁ KRET**, **Marszałkiem** był **TADEUSZ SABARA**, a jego synem **Chwalipiętą JACEK ŁUCZAK**, który pod koniec zabłysnął swobodą i lekkością w prowadzeniu roli i mimo woli kazał mi myśleć o Papkinie. Ujmująca w swej prostolinijności postać **Jaśka**, zgodną z wyobrażeniami o ludowym bohaterze stworzył **ARTUR MAJEWSKI**. Dobrotliwie przebiegłym **Czarodziejem** był **WŁODZIMIERZ TYMPALSKI**. Doskonale spisywały się aktorsko i wokalnie powabne dwórki **Domicela** i **Petronela EWA HARASIMOWICZ** i **BARBARA SZCZEŚNIAK**.

Ważną funkcję spełniała melodyjna muzyka, trochę na góralską nutę, która przebijała spod stylu country, co odnosi się do najbardziej udanego II aktu z jego sielankową scenerią będącą jakby pastiszem dekoracji do śpiewogry. Na tle oszczędnej dekoracji tym lepiej grały barwne baśniowe kostiumy.

Słowem wszystko sprzyjało temu, by para zakochanych mogła żyć razem długo i szczęśliwie, mimo iż w pałacowych komnatach.

JERZY KWIECIŃSKI

Stanisław Jurgis, Michał Szopa „Wesoła bajka o smutnej królewnie". Reżyseria — **Mirosław Szonert**, scenografia — **Barbara Jankowska**, muzyka — **Bogdan Pawłowski**, choreografia — **Halina Pawłowicz**. Prapremiera w Teatrze Powszechnym w Łodzi.

Z półki recenzenta

DZIENNIKI KRLEŻY

Opasły, bo liczący ponad pół tysiąca stron, tom „Dzienników i esejów" Miroslava Krleży pojawił się na rynku księgarskim i szybko znikł. To zrozumiałe. Był — ich autor — pisarzem dużego formatu, jego powieści i opowiadania ukazywały się często w Polsce (wydano także wybór poezji), a teraz otrzymaliśmy jego eseistykę i dzienniki. Co je charakteryzuje? Po pierwsze: walka o miejsce człowieka w świecie, po drugie — refleksje Krleży z podróży do Rosji, analiza współczesności politycznej Chorwacji i Jugosławii. A dzienniki? Część dotyczy czasów jego młodości, inne ostatniej wojny...

Wybór tekstów Jana Wierzbickiego.

Miroslav Krleża: Dzienniki i eseje. Wyd. Łódzkie 1984. Str. 578. Cena 200 zł.

NOWA POWIEŚĆ BUNSCHA

Nasz współczesny Kraszewski (mam na myśli tematykę historyczną), Karol Bunsch, wydał swoją najnowszą powieść pt. „Odnowiciel". To oczywiście o Kazimierzu Odnowicielu (1016—1058), którego panowanie przypadło na burzliwe lata naszej historii średniowiecznej.

Jak zwykle u Bunscha — otrzymaliśmy dość sugestywny portret władcy mądrego i szlachetnego, który dąży do zapewnienia wewnętrznego spokoju w targanym niepokojami kraju, ale jednocześnie stara się odzyskać utracone ziemie (walki z Mojsławem o odebranie Mazowsza przy pomocy ruskiego księcia Jarosława Mądrego). Jednocześnie mamy możność oglądać całą galerię typów dawnych mieszkańców ziem polskich.

Karol Bunsch: Odnowiciel. Wyd. Lit. 1984. Str. 194. Cena 120 zł.

W OBRONIE POLSKIEGO NIEBA

Ilekroć piszę w tym miejscu o książkach z tej serii, robię to z całym przekonaniem, że takie publikacje są potrzebne. Oto w „Bibliotece Pamięci Pokoleń" ukazała się praca *Rajmunda Szubańskiego* „W obronie polskiego nieba" — rzecz o naszym lotnictwie wojskowym w przededniu wybuchu drugiej wojny światowej. Autor, opierając się i posiłkując dokumentacją, charakteryzuje siły powietrzne, opisuje bohaterstwo polskich pilotów, którzy zapisali piękną kartę w dziejach naszych sił zbrojnych, odwagę obsługi naziemnej. A że ulegli przeważającej sile wroga? Przecież uległy tej sile całe nasze siły zbrojne, gdyż wojna była z góry przez nas przegrana.

Rajmund Szubański: W obronie polskiego nieba. KiW 1984. Str. 226. Cena 90 zł.

POCZWARKI

Wydawnictwo Literackie specjalizuje się w wydawaniu cyklu powieści „z dreszczykiem". Dziś otrzymaliśmy „Poczwarki" Johna Wyndhama, powieść bajkową, lecz smutną i pesymistyczną. Założeniem w niej jest przekonanie, iż świat, w którym żyjemy musi prędzej czy później zniknąć, gdyż ludzkość sama dąży do tego wszystkimi swoimi siłami, natomiast to, co nastanie później, w żadnym wypadku nie może być kontynuacją pokoleń obecnych. Ten „nowy" świat będzie prawdziwie humanistyczny, albo przejmie po zaginionej cywilizacji zło i okrucieństwo. Po ostateczną odpowiedź odsyłam do lektury „Poczwarek".

Przekład Juliusza Kydryńskiego.

John Wyndham: Poczwarki. Wyd. Lit. 1984. Str. 218. Cena 120 zł.

ALBUM Z REWOLWEREM

Zdzisław Umiński skonstruował swoją najnowszą powieść dość szczególnie: oto wątek fabularny został poprzetykany wstawkami dramatu rozgrywającego się co prawda w czasie minionym, lecz adekwatnym do pozostałej treści współczesnej. A wszystko zostało oparte na głośnej w okresie międzywojennym sprawie znanej aktorki Stanisławy Umińskiej, która zastrzeliła w paryskim szpitalu swojego, chorego nieuleczalnie przyjaciela, pisarza Jana Żyznowskiego. Książka jest — szczególnie w partiach teatralnych — sugestywna, przejmująca i bardzo, bardzo ludzka.

Polecam z nadzieją, że być może jeszcze jest w księgarniach.

Zdzisław Umiński: Album z rewolwerem. Czyt. 1984. Str. 388. Cena 170 zł.

Kontrast

Powieści Marii Nurowskiej to typowo kobieca proza, prezentująca znaczną uczuciowość i charakterystyczne chwyty psychologiczne. Zasadza się ona na puentowaniu nie tyle sprzecznych postaw, co odmiennych sposobów wrażliwości, wywołujących długotrwałe (często nie do przezwyciężenia) konflikty. Tak jest i w najnowszej powieści.

Bohaterkami „Kontredansu" są dwie skłócone ze sobą od lat siostry z których jedna usiłuje odgrywać role matki. Przychodzi jej to tym łatwiej, iż jest starsza o całe pokolenie i szczyci się tym, że w powstaniu warszawskim była łączniczką. Ta starsza siostra — Krystyna — wieziona w okresie stalinowskim, z trudem włączała się w życie społeczne i zawodowe, ale przecież osiągnęła sukces: jako znana dziennikarka zyskała status niekwestionowanego autorytetu moralnego. Teraz utrzymuje Annę, siostrę młodszą bo tej po prostu nie chce się nic robić, woli kontestację i alkohol. Dodatkowo rozdziela rodzeństwo młody człowiek imieniem Maciek, syn Anny wychowywany przez Krystynę. Do sceny ukazanej przez Brechta w „Kaukaskim kole kredowym" nie dochodzi wprawdzie, lecz obie panie wciąż nie potrafią rozwiązać problemu: kto jest prawdziwą matką — ta, która urodziła, czy ta, która wychowała. Pokazując odmienność charakterów i zdecydowanie różne drogi życiowe obu sióstr zastanawia się Nurowska nad dualizmem ludzkiej natury. Drobiazgowo rejestruje wszystko, co te kobiety łączy i co je dzieli. Najchętniej posługuje się metodą z dawna wypróbowaną, obserwuje znużone twarze „twarze made in Poland". Wiele potrafi z nich wyczytać. Między innymi kompromitację mitu życiowego sukcesu samotnej kobiety: *„Wszystko — wieczny pośpiech, hałaśliwy sposób bycia, nienaturalny śmiech czasami przypominało ucieczkę. Nie wiedziała, co chciała zagłuszyć która z przegranych spraw. Kiedyś powiedziała: — Każdy nosi w sobie jakiś cmentarz, ja mam ich kilka..."* I rzeczywiście. Proza Marii Nurowskiej to jakby cmentarzysko zawiedzionych kobiecych nadziei, niezrealizowanych uczuć i namiętności, stopniowej, lecz nieodwołalnej rezygnacji. Smutna to powieść. Nie dlatego nawet, że bohaterki Nurowskiej są zdecydowanie silniejsze, mądrzejsze i uczciwsze od mężczyzn, z którymi mają do czynienia. One po prostu są skazane na porażkę. Zagłuszają własną ułomność, jakąś wrodzoną bądź nabytą skazę, może zresztą jest to skaza świata, w którym przyszło im egzystować. Brak im — przynajmniej z kobiecego punktu widzenia — rzeczy najważniejszej mianowicie życia rodzinnego, harmonijnego życia rodzinnego. Nakierowane na ten cel uczucia degenerują się, jałowieją, wypaczają. W tym tkwi głęboki tragizm kobiet Nurowskiej.

„Kontredans" rozgrywa się w realiach stanu wojennego. Narracja rozpoczyna się 13 grudnia 1981 roku i trwa około trzech miesięcy. Realia owe w zasadzie spełniają rolę sztafażu, bo niewiele nowego wnoszą do trwającego od dawna konfliktu rodzinnego. Internowanie Maćka w Białołęce ożywia nieco siostrzane kontrowersje, przydaje im intensywności, znów pojawia się sprawa pierwszeństwa w uczuciach chłopca. Mam wrażenie, iż pierwotne zamierzenia autorki były ambitniejsze. Oto bowiem syn Anny nieprzypadkowe posiada imię. Ma on być niejako współczesnym Maćkiem Chełmickim. Podobnie jak jego pierwowzór z „Popiołu i diamentu" znalazł się na rozdrożu: gorejąc, nie wie, czy staje się wolny, czy to, co było — ma być zatracone. Norwidowe słowa znów nabrały aktualności. Tyle tylko, że zdecydowana większość spraw związanych ze stanem wojennym rozgrywa się w tej powieści (być może nie z winy autorki) w sferze niedomówień, aluzji, wyrywkowych obserwacji, strzępów audycji radiowych i telewizyjnych bądź też anonimowych wierszy w rodzaju:

Wyjeżdżajcie już, chłopcy, od Piasta
Pora, chłopcy, opuścić tę dziurę,
Baby płaczą, napiekły wam ciasta...

Nurowska nie wnika jednak w szczegóły, nie zajmuje się poglądami osób internowanych, nie ocenia Maćka. Zachowuje się po trosze jak rzetelna, choć beznamiętna, reporterka (w końcu jej bohaterka jest przecież dziennikarką) i koncentruje się na opisie warunków internowania, mechanizmu starań o widzenie, rejestruje rozmowy odwiedzających, przytacza listy z obu stron. Stara się więc uchwycić aurę początku lat osiemdziesiątych po kronikarsku, bez interpretacji. Ocenę pozostawia czytelnikowi.

Tak oto powstaje zadziwiające trochę zderzenie dwóch planów tej powieści: gorącej, namiętnej sfery życia prywatnego oraz powściągliwej, choć wcale nie powierzchownej, relacji o zjawiskach dotyczących życia całego polskiego społeczeństwa. Autorce zależy na wyeksponowaniu tego właśnie kontrastu. W ten bowiem sposób ukazuje włączanie indywidualnych losów w sprawy o wymiarach historycznych. Towarzyszy im zniecierpliwienie, obawa, ale i nadzieja.

TADEUSZ BŁAŻEJEWSKI

Maria Nurowska: „Kontredans" Czytelnik, Warszawa 1984, s. 218, nakład 30 320 egz., cena zł 80.—

Kronika kulturalna

„ROZSRZYGNIĘTY został we Włocławku konkurs plastyczny pt. „Prowincja". Nagrody przyznano w trzech działach: malarstwa, grafiki i rysunku. W dziale malarstwa jury pierwszej nagrody nie przyznało. Trzy II nagrody otrzymali: **Mirosław Górski** z Sobikowa, **Wojciech Sztyller** z Warszawy i **Józef Krupa** z Katowic. Dwie trzecie nagrody przyznano **Bogusławowi Miszteli** z Łodzi i **Wacławowi Gibankowi** z Warszawy. Wyróżnieniami zostali uhonorowani: **Wojciech Kaniowski, Zdzisław Szmidt, Włodzimierz Ilnicki, Tadeusz Kudak, Józef Paweł Karczewski.**

W dziale grafiki dwie I nagrody otrzymali: **Teresa Czajkowska i Elżbieta Radzikowska.** Dwie II nagrody przyznano: **Janowi Hertlowi** i **Elżbiecie Radzikowskiej.** Jedną III nagrodę uzyskał **Robert Kurzaj.** Trzy wyróżnienia otrzymali: **Ewa Gordon, Elżbieta Radzikowska** i **Jan Hertl.**

W dziale rysunku dwie I nagrody przyznano: **Andrzejowi Pazerze** i **Jędrzejowi Gołasowi.** Trzy II nagrody otrzymali: **Tomasz Antoni Hoffman, Jędrzej Gołas** i **Witold Andrzej Pazera.** Dwie III nagrody uzyskali: **Leszek Kuchniak** i **Andrzej Lipniewski.**

---

18 STYCZNIA w Dzielnicowej Bibliotece Publicznej im. Władysława Reymonta Łódź-Górna odbyła się sesja popularnonaukowa poświęcona Władysławowi Reymontowi w 60-lecie przyznania Nagrody Nobla i w 60-lecie śmierci pisarza. W programie sesji m. in. odczyty B. Koca, J. Starnawskiego i T. Bureckiego.

TAKŻE 18 stycznia w Muzeum Historii Ruchu Rewolucyjnego otwarta została wystawa pt. **„Łódź w 40-leciu Polski Ludowej".**

---

24 STYCZNIA na Małej Scenie Teatru im. Stefana Jaracza odbyła się premiera najnowszej sztuki Ireneusza Iredyńskiego pt. **„Kreacja".** Sztukę reżyseruje **Feliks Falk.** Scenografię przygotował **Marcin Stajewski.** Grają m.in. **Barbara Marszałek, Ryszard Kotys, Maciej Małek.**

INTERESUJĄCA wystawa czynna jest w Galerii Bałuckiej. Zgromadzono obrazy, którym nadano wspólny tytuł **„Współczesne malarstwo w Japonii".**

---

19 STYCZNIA równo w 40 rocznicę wyzwolenia Łodzi Teatr Wielki wystąpił z kolejną, tym razem setną premierą. Zaprezentowano **„Halkę"** Stanisława Moniuszki. Przedstawienie reżyserowała i opracowała choreograficznie **Teresa Kujawa.** Scenografię przygotował **Krzysztof Pankiewicz.** Chórem kierował **Henryk Karpiński.** Grali m.in. **Barbara Rusin, Zdzisław Krzywicki, Zygmunt Zając, Wiesław Bednarek, Maria Szczucka** i **Ryszard Wróblewski.**

ROK 1985 został ogłoszony Europejskim Rokiem Muzyki. Przypadają bowiem w nim rocznice 300-lecia urodzin Bacha, Haendla, Scarlattiego, 100-lecie Albana Berga. W Polsce będzie to rok Henryka Wieniawskiego. Obchodzimy 150-lecie urodzin kompozytora, 50-lecie konkursu im. Henryka Wieniawskiego oraz 100-lecie Towarzystwa Muzycznego jego imienia w Poznaniu.

W DNIU 21 stycznia 85 r. odbył się Turniej Jednego Wiersza pn. „Poeci w obronie Pokoju". Jury w sposób następujący dokonało podziału nagród:
I nagroda — **Barbara Gajewska** za wiersz „Dolina majowego zmierzchu" II nagroda — **Andrzej Cezary Sawczenko** za wiersz „Wniosek o nadanie poecie nieznanemu odznaczenia bojowego pośmiertnie"
III nagroda — **Anna Blumental** za wiersz pt. „Kamienowanie krzyku", 5 wyróżnień otrzymali: **Andrzej Arczewski** (xxx zabrali wszystko...) **Jadwiga Bożyk** (wiersz „Trzy nieba") **Jan Rudy** (wiersz „Byłeś żołnierzem tej ostatniej wojny") **Krzysztof Skudziński** (wiersz „Potęga szczurów") i **Piotr A. Staroń** (wiersz „Madonna mojego obrazu").
Nagrodę Publiczności otrzymał **Andrzej C. Sawczenko.**
Turniej został ogłoszony przez Wydział Kultury i Sztuki UMŁ, Urzędu Dzieln. Łódź—Górna, Dzielnicowy Wydział Oświaty, Wychowania i Kultury Dom Kultury Łódź—Górna i Grupę Literacką „Centauro".

List z Wybrzeża

Na berlińskich scenach

Przez dziewięć dni przebywałem w stolicy Niemieckiej Republiki Demokratycznej, będąc obserwatorem wielkiego święta teatru i muzyki, które odbywa się tam każdego roku w październiku. Mowa o Berliner Festtage, imprezie, która jest przeglądem dokonań artystycznych w skali międzynarodowej. W tym czasie bowiem do Berlina przyjeżdżają nie tylko zespoły teatralne i muzyczne z innych miast NRD, lecz występują tam także artyści z całego świata. Dość powiedzieć, że w tym roku berlińczycy mogli zobaczyć aż 33 zespoły zagraniczne, reprezentujące 23 kraje. Dodać jeszcze należy, że w okresie Berliner Festtage sceny stołeczne występują z premierami swoich przedstawień (w tym roku pokazano 9 nowych realizacji).

Sama impreza zrodziła się dwadzieścia siedem lat temu, gdy władze stolicy NRD postanowiły stworzyć swoisty festiwal kulturalny, przeznaczony dla ludzi pracy Berlina. W pierwszych latach program Berliner Festtage był szerszy niż obecnie — odbywały się także projekcje filmowe, wystawy plastyczne, czy też spotkania z pisarzami. Po pewnym czasie postanowiono ograniczyć się do dwóch dziedzin — do muzyki i teatru. I tak już pozostało.

Tegoroczny program Berliner Festtage był niesłychanie bogaty. Dość powiedzieć, że przez dwadzieścia trzy dni mieszkańcy stolicy NRD mieli możliwość zobaczenia aż 420 imprez teatralnych bądź muzycznych. Jak powiedział mi szef prasowy Berliner Festtage, p. Norbert Peschke, wszystkie imprezy oglądało ok. 270 tys. ludzi. Liczba ta jest rzeczywiście imponująca.

Jeszcze jedna ważna informacja — otóż, połowa biletów jest przeznaczona dla berlińskich zakładów pracy, a reszta znajduje się w wolnej sprzedaży. Jednakże nie oznacza to, iż poszczególne przedsiębiorstwa otrzymują prezent od organizatorów. Muszą wykupić karty wstępu. I czynią to chętnie — podczas przedstawień, które oglądałem na sali nie było wolnych miejsc.

Bogactwo imprez sprawiło, iż miałem poważny kłopot, które przedstawienia wybrać. Po namyśle zdecydowałem się na spektakle, które są w repertuarze berlińskich teatrów. Z żalem musiałem więc zrezygnować z atrakcyjnie się zapowiadającego występu teatru z Indii, pominąłem operę z Mongolii czy też fiński teatr tańca „Raatikko". W sumie obejrzałem dziewięć przedstawień, w tym aż cztery w Deutsches Theater, najciekawszej obecnie scenie berlińskiej.

Przyznam się szczerze, że odczuwałem szczególny rodzaj wzruszenia, gdy wchodziłem na widownię tego teatru — tutaj przecież działali kiedyś ludzie, którzy tworzyli podstawy nowoczesnej sztuki scenicznej — Otto Brahm, Max Reinhardt czy młody Bertolt Brecht. Jednakże ów ciężar tradycji nie hamuje rozwoju Deutsches Theater. Jest to placówka żywa artystycznie, która na dodatek prowadzi różnorodne eksperymenty reżyserskie. Wypadek zupełnie wyjątkowy.

Wszystkie cztery przedstawienia, które tam oglądałem mają jedną cechę wspólną — wysoki poziom techniki aktorskiej. Można dyskutować, czy koncepcja roli pani Alving w „Upiorach" Ibsena jest najwłaściwsza, natomiast nie sposób kwestionować umiejętności zawodowych niemieckich aktorów. Widać, iż przedmiotem ich stałej troski jest wymowa, emisja głosu, sposób oddychania. Nie zauważyłem też żadnych niezborności ruchowych.

Największe wrażenie sprawił na mnie spektakl zatytułowany „Smutna historia Fryderyka Wielkiego" według Henryka Manna, przygotowany reżysersko w Deutsches Theater przez Alexandra Langa. Przedstawienie w swojej poetyce teatralnej przypomina nieco realizacje Konrada Swinarskiego, a szczególnie jego „Wozzecka". Lang, używając jaskrawych, niemal karykaturalnych środków ukazał lata młodości przyszłego króla Prus Fryderyka II, zwanego Wielkim. Jest to opowieść o wychowywaniu następcy tronu przy użyciu wszystkich metod, które później zwykło się określać jako pruski dryl. A zatem bat, musztra i posłuszeństwo. Fryderyk Wilhelm I tak zorganizował rozkład zajęć swojego syna w trakcie dnia, aby ten nie miał chwili wolnego czasu. Następca tronu zbuntował się wreszcie przeciwko ojcowskiej tyranii. Skończyło się to tragicznie, uczestnik buntu i najbliższy przyjaciel kronprinza, von Katte, został ścięty na jego oczach.

Lang przedstawił ten fragment z historii Prus w krzywym zwierciadle satyry, jednakże śmiech widowni wcale nie świadczy o tym, iż obraz jest pogodny.

Reżyser przedstawił Prusy w karykaturze, jednakże całość spektaklu jest rodzajem przestrogi przed wszelkimi próbami zniewolenia ludzkiego umysłu. Także formalnie spektakl Langa jest frapujący. Posługuje się on daleko idącym skrótem teatralnym. W pierwszej części spektaklu tłem scenograficznym jest wielki album z pocztówkami, który obracają aktorzy, sygnalizując miejsce akcji. W części drugiej natomiast pojawiają się napisy świetlne, informujące o tym, gdzie aktualnie jesteśmy. Sceny są krótkie, montowane w iście filmowy sposób. Wspomnieć jeszcze trzeba o orkiestrze wojskowej, która co chwila wkracza do akcji, wyznaczając niejako rytm spektaklu.

Aktorsko na plan pierwszy wybija się Kurt Böwe w roli Fryderyka Wilhelma I. Gra ograniczonego i despotycznego żołdaka, który żelazną ręką tłamsi wszelkie oznaki oporu. Böwe dysponuje wyborną techniką aktorską i potrafi w jednej chwili przejść od tonu dramatycznego do komediowego. Wie, że całość spektaklu jest rodzajem intelektualnego szyderstwa z przeszłości Prus. Nie broni więc swojej postaci, akcentuje jej ułomności, lecz w finale, gdy król Fryderyk Wilhelm umiera, aktor potrafi zdobyć się na moment prawdziwie tragiczny. Jego żonę-królową Zofię Dorotę gra ulubiona aktorka Alexandra Langa — Katja Paryla. Tworzy postać posłusznej żony, a jednocześnie małej intrygantki, która za plecami króla próbuje załatwiać, bez skutku zresztą, swoje drobne interesy.

Na koniec, wymienić jeszcze należy Katrin Klein, która została obsadzona przez Langa w roli samego Fryderyka. I jest to decyzja słuszna, gdyż delikatność kronprinza jaskrawo kontrastuje z brutalnością jego ojca. W ten sposób konflikt sztuki został przedstawiony wyraziściej.

Rozpisałem się o „Smutnej historii Fryderyka Wielkiego", gdyż spektakl ten zasługuje na szczególną uwagę, chociażby ze względu na złowrogą rolę Fryderyka Wielkiego w dziejach Polski.

W Deutsches Theater widziałem także sztukę Heinara Kipphardta „Brat Eichmann", jej polski przekład ukazał się w ubiegłym roku w „Dialogu". Jest to rodzaj teatru faktu (Kipphardt zbudował swój utwór na podstawie dokumentów z procesu i przesłuchania Eichmanna). Reżysera Alexanda Stillmarka interesowała głównie sylwetka psychologiczna osobnika, który miał na swoim sumieniu wiele milionów istnień ludzkich. Całe przedstawienie (trwające blisko trzy godziny) to jedna wielka rozmowa między oskarżonym a przesłuchującym go izraelskim oficerem. Eichmann (gra tę rolę młody aktor Thomas Neumann) ukazuje się publiczności jako zwykły, szary i zdyscyplinowany urzędnik, który skrupulatnie wykonywał polecenia swoich przełożonych. Był tylko urzędnikiem... Przygnębiające wrażenie robi ten spektakl. Po pierwszej części nie było braw. Po zapaleniu światła na widowni, publiczność przez chwilę siedziała w swoich fotelach, była cisza...

Będąc w stolicy NRD nie mogłem pominąć Berliner Ensemble, teatru założonego w 1949 roku przez Bertolta Brechta, pisarza, który w dziejach współczesnej myśli scenicznej odegrał tak wielką rolę. Widziałem w Berliner Ensemble „Matkę Courage", w reżyserii Petera Kupke, z wybitną aktorką Gizelą May w roli tytułowej. I jej gra jest główną wartością tego akademickiego przedstawienia. Znikła gdzieś pasja polemiczna, żarliwość intelektualna, czyli cechy, które były charakterystyczne dla twórczości Bertolta Brechta. Berliner Ensemble przeżywa trudny okres, miejmy nadzieję, że pod kierownictwem Manfreda Wekwertha, długoletniego współpracownika Brechta, scena ta jakoś artystycznie się odnajdzie.

Na koniec jeszcze jedno przedstawienie — „Rigoletto" w Komische Oper. Kolejna rewelacja teatralna. Nie tak dawno gościliśmy berliński zespół operowy w Warszawie i tam już można było poznać metodę twórczą tego teatru, stworzoną przed laty przez prof. Waltera Felsensteina. Jest to jeden z nielicznych teatrów operowych, w których śpiewacy z powodzeniem wykonują także zadania aktorskie. Jest to więc prawdziwy teatr, a nie tylko popis wokalny. Patrzyłem z podziwem na berlińskich solistów, którzy grali tak, jak ma to miejsce w teatrze dramatycznym. Reżyser Harry Kupfer znalazł na dodatek współczesną (dla wielu — szokującą) formułę sceniczną dla opery Verdiego. Aktorzy występują w dzisiejszych kostiumach, grają w tenisa, poruszają się bez tej nieznośnej maniery operowej. Siłą rzeczy wymowa spektaklu jest inna. Kupfer opowiedział historię ludzkiej bezduszności, stworzył spektakl o obojętności człowieka wobec spraw bliźniego. Przestała więc być to bajeczka o okrutnym księciu i tragicznym błaźnie. Powstał spektakl, który także dotyczy nas samych...

Przedstawiłem pobieżnie wrażenia z czterech przedstawień, spektakli było więcej, były wśród nich także prezentacje słabsze. Zasygnalizowałem jedynie te dokonania teatru NRD które wydają mi się charakterystyczne. Świadczą one o tym, że sztuka teatralna u naszych zachodnich sąsiadów jest zjawiskiem ważnym artystycznie, a dla przybysza z Polski — pouczającym.

WIESŁAW NOWICKI

Zawodowiec

Z MARKIEM OLEKSYM rozmawia BOHDAN GADOMSKI

MAREK OLEKSY, pierwszy mim Wrocławskiego Teatru Pantomimy, należy do światowej czołówki tej dziedziny sztuki aktorskiej, od kilku lat jest filarem wszystkich przedstawień Henryka Tomaszewskiego (Syn w „Przyjeżdżam jutro", Książę w „Sporze", tytułowy „Hamlet", Mordred w „Rycerzach Króla Artura" i obecnie tytułowy „Syn marnotrawny"). Przykuwa widzów do swoich pantomimicznych poczynań, wstrząsa nimi, zdumiewa techniką, warsztatem i fascynuje osobowością.

— Przez tydzień oglądaliśmy pana w Łodzi w roli „Syna marnotrawnego". Niezwykła identyfikacja z postacią rodzi pytanie — czy „Spadkobierca" i „Powracający syn" to właśnie pan?

— Na pewno nie jestem to ja, a może jest to każdy z nas? Wbrew pozorom sądzę, że publiczności nie interesuje sposób pracy aktora, bo gdyby tak było — każdy próbowałby dojść do tego. Zadaniem aktora jest przedstawienie gotowej propozycji i sceniczny rezultat tych dociekań nie zawsze jest interesujący a często trudny do wytłumaczenia.

— Transformacyjne ujęcie roli pozwala panu na całkowitą identyfikację z graną postacią?

— Nie, nigdy się z nią nie identyfikuję, natomiast staram się odnaleźć pierwiastki tkwiące we mnie, a łączące się w jakimś stopniu z budowaną rolą. Bo w każdym z nas istnieje wszystko: totalny człowiek i potencjalny aktor.

— Wiem, że jest to cały złożony proces, przez który przechodzi pan sobie tylko znanymi etapami?

— Nie sądzę, żeby tak to wyglądało, nie uważam, abym dokonywał rewolucji w sferze pracy aktora nad sobą i nad rolą. Wydaje mi się, że moja mała tajemnica leży w tym, iż w sposób często nieświadomy dokonuję właściwego wyboru pomiędzy elementami składającymi się na proces kształtowania postaci. Stosuję również metodę błędów czy raczej metodę eliminacji i staram się odrzucić wszystko co mogłoby burzyć wewnętrzną strukturę zjawiska, która określa się umownym terminem postaci scenicznej czyli roli.

— A praca ta nie kończy się na premierze?

— Coraz częściej odnoszę wrażenie, że praca ta nie kończy się nie tylko po premierze, ale trwa również i nocami. Jest „brzemieniem", którego nie mogę się pozbyć niezależnie od własnej woli.

— Wiem, że nawet rozkład swego dnia podporządkowuje pan temu co będzie robił wieczorem na scenie?

— Szczególnie świadomy fragment mojego życia czyli życia na jawie jest temu celowi podporządkowany. Ale muszę dodać, że odczuwam szczególną radość i przyjemność w zmaganiu się z materią roli, jak również z przełamywanymi oporami tkwiącymi we mnie i własnymi słabościami. Bo całą tę pracę i wszystko, co się wokół niej obraca uważam za łańcuch elementów, które składają się na proces samorealizacji i spełniania się.

— Ten rodzaj reżimu cechuje wszystkich mimów we Wrocławskim Teatrze Pantomimy?

— Nie wiem.

— Ale główne role od paru lat gra właśnie pan?

— Być może urodziłem się pod szczęśliwą gwiazdą i dzięki łaskawości sił, na które nie mam wpływu — szczęście nie opuszcza mnie.

— Wraca pan do nich wspomieniami, a nawet bazuje budując wciąż nowe postaci?

— Nie, każdej nowej postaci, którą gram staram się nadać jakiś odrębny rys — niepowtarzalny. Bawię się w demiurga. Przy czym stawką jest zapewnienie sobie spokoju wewnętrznego.

— Która z ról była najtrudniejsza?

— Wszystkie.

— A która dała panu najwięcej satysfakcji?

— Każda, a było ich, tych głównych postaci — osiem.

— A debiut?

— Odbył się po sześciu miesiącach nauki w małej roli Żołnierza w „Śnie nocy letniej". Pierwszy okres pobytu w teatrze nazywam dziwnym snem, to wszystko, co działo się wokół mnie wydawało mi się na pół realne, część rzeczy odbywała się jakby poza moją świadomością.

— Jak trafił pan do pantomimy?

— Do 22 roku życia nie miałem z tańcem i aktorstwem nic wspólnego. Urodziłem się w Krakowie, gdzie ukończyłem studia ekonomiczne. Na IV roku wstąpiłem do Studia Baletowego przy krakowskim Teatrze Muzycznym, gdzie spotkałem pana Henryka Dudę, pedagoga tańca, który zasugerował mi, że mógłbym się dostać do Wrocławskiego Teatru Pantomimy. W tym czasie teatr ten przyjechał na występy do Krakowa z przedstawieniem „Odejście Fausta", które zrobiło na mnie ogromne wrażenie. Mimo wrodzonej nieśmiałości, zebrałem się na odwagę, aby stanąć przed Henrykiem Tomaszewskim. Egzamin zdałem i rozpocząłem naukę w Studiu Pantomimicznym we Wrocławskim Teatrze Pantomimy.

— A mówi się, że nie ma szkół dla mimów?

— Dla mnie taką szkołą był i jest Wrocławski Teatr Pantomimy. W istniejącym przy teatrze studiu były prowadzone różnorodne zajęcia: plastyka ruchu, technika tańca klasycznego, taniec historyczny, wstępne elementy tańca nowoczesnego, rytmika, akrobatyka. W sumie około 3 lat nauki (po 5 godzin dziennie zajęć) i szybkie wejście do bieżących programów teatru.

— Jest pan twórcą swoich ról czy współtwórcą, a może tylko pionkiem na szachownicy Henryka Tomaszewskiego?

— Nie traktuję sceny jako szachownicy i nie sądzę, aby funkcję każdego aktora można było sprowadzić do roli pionka niezależnie od tego jakie miał zadanie do wypełnienia w spektaklu. Na pewno centralną postacią w procesie twórczym jest pan Henryk Tomaszewski i od niego zależy ostateczny kształt przedstawienia, ale i my aktorzy mamy pewien margines swobody i tylko od nas zależy w tym wypadku na ile go wykorzystamy.

— Co zawdzięcza pan swemu mistrzowi—szefowi?

— Zmieniło się moje życie.

— Wasza praca polega na wzajemnym porozumieniu i przebiega bez konfliktów?

— Uznaję ogromny autorytet pana Henryka Tomaszewskiego i podporządkowując się mu staram się dorzucić do każdego przedstawienia cząstkę samego siebie.

— Nigdy pan nie kaprysi będąc pierwszą gwiazdą tego teatru, nie upiera się przy swoim?

— Nie należę do osób kapryśnych, natomiast cenię sobie pewną niezależność również i w sposobie myślenia i sądzę, że znajduje to swój wyraz w mojej pracy.

— Czym bywa determinowany sposób pana pracy i gry?

— Chęcią utrzymania głowy ponad powierzchnią.

— Bywa pan uzależniony od typu postaci, którą ma zagrać?

— Nie, jest to jeden z elementów mojej filozofii życiowej.

— Każdą rolę traktuje pan jak coś zupełnie nowego, innego, jeszcze jedną przygodę i stara się w nią wchodzić w zależności od tego czym jest?

— Nigdy nie wiem czym jest rola. Jako pozostający po drugiej stronie rampy nie znam rezultatów swojej pracy. Przygoda zaczyna się dopiero po opuszczeniu kurtyny, całe przedstawienie, jego przesłanie zaczyna powodować rezonans u widza.

— Jaką rolę w tym procesie odgrywa warstwa emocjonalna?

— Ogromną. Pantomima wymaga raptownego uruchomienia wszystkich zmysłów powoduje się szalonymi zmianami stopnia emocjonalności ujętymi w doskonały kształt przez dyscyplinę i intelekt.

— W którym momencie czuje pan, że praca nad rolą jest zakończona?

— Nigdy nie będę miał tego uczucia.

— Jakie znaczenie ma tu reakcja widowni?

— Nigdy nie wsłuchuję się w oddech widowni, staram się nie wyczuwać tętna bijącego po tamtej stronie, aby nie miało to wpływu na proces kreowania postaci. Z drugiej strony jednak właśnie ta przygoda, po zapadnięciu kurtyny to nic innego jak egzamin któremu poddaję się dobrowolnie czekając z obawą na jego wynik.

— To co pan robi, grając na swoich trzewiach, najintymniejszych stanach jest sprawą bardzo wstydliwą. Pan ma ten wstyd poza sobą?

— Uważam, że każdy człowiek obnaża swoje wnętrze w jakimś momencie swego życia albo czyni to bez przerwy. Ja dochodzę do tego stanu służąc dobrej sprawie i prawdziwym wartościom.

— Każda nowa rola daje panu nowe doświadczenie, co dał „Syn marnotrawny"?

— Nowe wątpliwości.

— A liczne podróże artystyczne po świecie?

— To najczęściej wieczory wypełnione pracą i żal tego, co wymarzone a nie zobaczone.

— Jak ładuje pan akumulator, gdy już się wyczerpie?

— Chodzę po ulicy Kanoniczej w Krakowie i myślę o życiu Wyspiańskiego. A później samotnie po górach.

— Jest pan samotnikiem?

— Na wszystkie urlopy wyjeżdżam sam, ale wędrując samotnie po górach, odwiedzam czasem schroniska. Chcę zaznać samotności, aby zatęsknić do ludzi.

— A po miesiącu powraca pan z gór i żyje znowu wyłącznie pracą?

— Nie, nie żyję wyłącznie pracą, ale tak się dziwnie składa, nawet jest w tym coś przewrotnego, że prawie wszystko, co robię, sądzę, że znajduje odbicie w mojej pracy w teatrze.

— Ponoć uwielbia pan śpiewać i grać na gitarze?

— Śpiew i gitara klasyczna to ucieczka...

— Nigdy nie marzył pan, żeby przemówić do widzów — głosem?

— Jestem tak zafascynowany sztuką cielesną, że to mi wystarcza.

— Jak utrzymuje pan sprawność fizyczną i wysoką kondycję?

— Jak zawodowiec, świadomie i mozolnie.

Gail Gilmore — egzotyczna „Carmen"

Od pierwszej premiery „Carmen" na scenie „Arena di Verona", w r. 1914, w której wystąpiła sławna Maria Gay, żona wielkiego tenora włoskiego, Giovanniego Zenatello — inicjatora operowych festiwali w amfiteatrze weronskim, przewinęło się wiele najatrakcyjniejszych mezzosopranów świata, jak: Giulietta Simionato, Fedora Barbieri, Elena Nicolai czy Grace Bumbry. W bieżącym roku, na 62 Festiwalu „Arena di Verona", mieliśmy okazję podziwiać w roli Carmen znakomitą murzyńską śpiewaczkę — GAIL GILMORE (w trzech przedstawieniach zaplanowana była także polska mezzosopranistka — Stefania Toczyska).

GAIL GILMORE — młoda, czarnoskóra gwiazda z Nowego Orleanu, o sylwetce primaballeriny, mająca dużo wdzięku osobistego, którą cechuje szalona bezpośredniość w stosunku do otoczenia oraz niekłamana, rzadko spotykana naturalność, połączona z oryginalną, efektowną urodą. Cechy te gwarantują jej powodzenie w życiu prywatnym, na co dzień, jak i na scenie. Po kilku naszych spotkaniach w Weronie, wydawało mi się, że znamy się już od wielu lat, a nasze rozmowy na kompletnym luzie i przy dużej swobodzie wyglądały, jak spotkania dwóch starych przyjaciół. Operuje biegle kilkoma językami; na tematy rodzinnej Ameryki — rozmawialiśmy najczęściej po angielsku, przy okazji jej włoskich sukcesów — po włosku, rozmowa zaś o najbliższych planach w Operze Frankfurckiej — sama naprowadziła nas na język niemiecki. Jej występy na Festiwalu Operowym „Arena di Verona" w sześciu przedstawieniach partii tytułowej opery „Carmen" z José Carrerasem, zwróciły szczególną uwagę krytyki i 150 tysięcy obecnych na jej występach melomanów z całego świata oraz zagwarantowały pozycję wśród kilku czołowych, najbardziej atrakcyjnych, światowych wykonawczyń tej popisowej roli. Podkreślić należy jej podwójny talent: aktorski — pełen południowego temperamentu, wyjątkowej sprawności i trafnego ujęcia odtwarzanej postaci oraz ten największy atut — głos. Mezzosopran, o dolnych kontraltowych dźwiękach, przypominający męski głos barytonowy. Do tego należy dodać specyficzny urok gatunku murzyńskich głosów (jak Price czy Bumbry), o miąższym, pełnym brzmieniu, szerokim strumieniu i nośności, która wypełnia ogromną przestrzeń największej widowni świata. Przy tym ogromna precyzja wykonawcza, z dbałością o wyraźne wyśpiewanie także tych nutek najdrobniejszych, ozdobników czy staccat, które dużym głosom sprawiają trudność specjalną. Popisuje się także Gail Gilmore swoją dużą muzykalnością i dokładnym zgraniem strony muzycznej z sytuacją aktorską. Nie wolno pominąć również jej wrodzonej taneczności, którą zaprezentowała w obydwu ariach pierwszego aktu i w scenie baletowej, rozpoczynającej akt drugi. Z José Carrerasem tworzyli znakomitą parę zgraną nie tylko muzycznie i wokalnie, ale i aktorsko, z wypracowaną precyzją ruchowo-mimiczną. Był tu dowcip i prawdziwy dramat, seks i taniec, a ponad wszystko — głos, a więc chyba wszystko czego od znakomitej wykonawczyni tej trudnej roli można by wymagać.

Tutaj w Weronie mówi się głośno o twoim występie w La Scali, w roli Wenus, w „Tanhäuserze" Wagnera, który był następstwem twoich poprzednich sukcesów w Wenecji. W czym cię tam podziwiano?

W Teatro La Fenice śpiewałam swoje dwie ulubione partie: Kundry w „Parsifalu" i Amneris w „Aidzie", które przyniosły mi doprawdy dużo szczęścia.

Które z innych partii operowych zaliczasz do swoich ulubionych?

Zasadniczo każdą, którą śpiewam, gdyż inaczej nie wyraziłabym zgody na ich wykonywanie. Szczególnym jednak sentymentem darzę: Brangenę w „Tristanie i Izoldzie", Frickę w „Walkirii" czy kompozytora w „Ariadnie na Naxos".

Wiem, że jesteś związana trzyletnim kontraktem z Operą we Frankfurcie nad Menem. Jakie nowości tam przewidujesz?

Rozpoczynam sezon bardzo interesującą premierą dwuwieczorowej opery Berlioza „Trojanie", w której śpiewać będę trudną partię Kassandry. Następna moja premiera w tym Teatrze, to „Kawaler Srebrnej Róży" Straussa z rolą Oktawia. Potem czekają mnie intensywne próby i przygotowania do występów w Metropolitan Opera, gdzie zaproszona jestem do partii Fricki w dwóch pierwszych dramatach muzycznych Tetralogii Wagnera: „Złoto Renu" i „Walkiria".

O jakich operach marzysz?

Śni mi się „Samson i Dalila", Charlotte w „Werterze" i Ortruda w „Lohengrinie".

Twój gust jest dość oryginalny, przyznam. Tymczasem jednak znajdujemy się na „Arenie" w Weronie i co ty na to? Jak się czujesz na tej „scence"?

Imponują mi te wielkie dekoracje, lubię biegać w czasie przedstawienia po dziesiątkach schodów, a są ich setki na tej scenie, jak widzisz. W wypadku „Areny" najcudowniejszą rzeczą jest fakt, że na jednym jedynym przedstawieniu, za jednym „zamachem" — jakby powiedzieć, śpiewa się od razu dla 25 tysięcy ludzi. Oczywiście, że mobilizacja i koncentracja ze strony nas — wykonawców, musi być odpowiednio zwielokrotniona. Akustyka jest fantastyczna, głos niesie cudownie...

...Szczególnie, gdy jest tak wielki, jak w twoim przypadku. Co powiesz miłego o swoim sławnym partnerze?

Śpiewanie w towarzystwie Carrerasa jest dla mnie prawdziwą radością i to nie tylko dlatego, że jest to śpiewak wiadomej klasy, ale i z powodu jego wspaniałego kontaktu partnerskiego na scenie. Gdy wziąć pod uwagę specyfikę pracy w Teatrze „Areny" oraz nas — śpiewaków niezwykle ograniczony czas, łatwo zrozumieć, że na wiele prób scenicznych nie można sobie pozwolić. Praktycznie wyglądało to tak, że ja Josemu przedstawiłam swoje propozycje, on swoje, porozumieliśmy się, uzgodniwszy wspólne działanie i po jednej próbie na scenie byliśmy gotowi do naszego wspólnego debiutu na tej gigantycznej scenie, gdzie niuanse aktorskie pozostawiliśmy już naszej aktualnej fantazji i pomysłom każdego wieczoru. Niezbędny jest tu jednak żywy refleks i umiejętność znalezienia się w różnych nagłych sytuacjach w danym momencie na scenie.

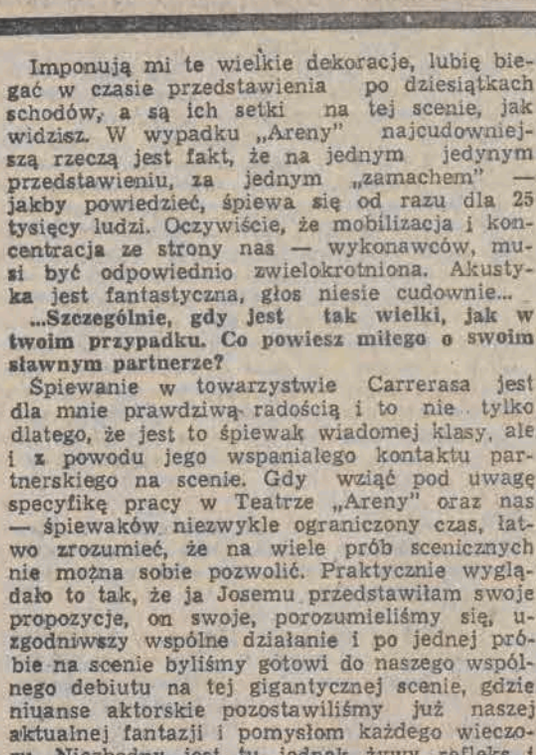

Stąd na każdym wieczorze wiele nowości, które zauważałem będąc na kilku waszych przedstawieniach, z prawdziwym naturalnym sposobem gry.

Jeśli tak odczytałeś jako widz, to bardzo mnie to cieszy. Ja bowiem wcale nie myślę o tym, by być lub nie być naturalną na scenie. Wmawiam sobie po prostu daną postać i osobowość tej postaci, którą przedstawiam i resztę zostawiam losowi wydarzeń.

Co sądzisz o swoich czarnych, znakomitych koleżankach: Leontine Price, Grace Bumbry czy Shirley Verrett?

Leontine Price była i jest moją ulubioną śpiewaczką. Od dziecka słuchałam jej nagrań i oglądałam z nią wiele przedstawień. Nie mogę natomiast pojąć Grace Bumbry i Shirley Verrett, które jako mezzosoprany ugruntowały sobie szczytową pozycję światową, a obecnie zdecydowały się śpiewać partie sopranowe. Dziwi mnie to dlatego, gdyż bardzo dobrych mezzosopranów jest naprawdę mało w świecie, a repertuar jest przecież cudowny. Cóż z tego, gdy się ma wysokie tony do dyspozycji?! Mezzosopran pierwszoplanowy musi mieć pewne „si naturale", a nawet wysokie „c".

Czy nie uważasz, że „Favorita" Donizettiego byłaby dla ciebie wspaniałą, popisową partią?

Tak sądzisz? Skorzystam z tej podpowiedzi i gdziekolwiek ją zaśpiewam, zostaniesz osobiście zaproszony.

Kiedy Werona znów cię ujrzy?

Zaproszona jestem do „Orfeusza i Eurydyki" Glucka na wiosnę, lecz trochę to koliduje z moją premierą „Opowieści Hoffmanna" we Frankfurcie, o której zapomniałam ci też powiedzieć. Te sprawy zostawiam już zainteresowanej dyrekcji i mojemu impresariowi, panu Siebenlist.

A co sądzisz o Azucenie, gdyż na przyszły sezon w „Arenie" przewidziany jest „Trubadur"?

Na razie nie myślę o mamusiowatych rolach, chcę się wyśpiewać w postaciach scenicznych swojego wieku.

Gdzie zamieszkujesz na stałe?

Swoje domowe ognisko dzielę na dwie części: w Stanach i Niemczech Zachodnich, gdzie obecnie zmieniam swoją stałą siedzibę z Norymbergii na Frankfurt.

Nie miałabyś ochoty zaśpiewać kiedyś w Polsce?

Ależ ja śpiewałam już w waszym kraju! Było to trzy lata temu w Poznaniu, w „Requiem" Verdiego na trzech koncertach. Zaproszona ponownie, chętnie przyjadę do Polski, gdy tylko będzie to możliwe uzgodnić z moimi terminami. Mam bowiem bardzo miłe wspomnienia.

Co więc mam przekazać polskim melomanom?

„Do zobaczenia"!

WALDEMAR PAWŁOWSKI

(8)

„W imieniu Boga" — tajemnicza śmierć Jana Pawła I

Obejmując urząd papieski w sierpniu 1978 r. Albino Luciani stał się władcą naprawdę osobliwej, a nawet jedynej w swoim rodzaju organizacji. Ponad 800 mln osób, prawie 1/5 ludności świata, uznawało go za swojego duchowego przywódcę. W bezpośrednim znaczeniu tego słowa podporządkowany był mu aparat administracyjny, który kontrolował nie tylko nauczanie wiary katolickiej, lecz również politykę finansową Kościoła.

Ważną część składową tego aparatu stanowi to, co można określić jako „Watykan — spółka z ograniczoną odpowiedzialnością i towarzystwo komandytowe". Jej istnienie przejawia się nie tylko w wartościach materialnych, lecz także w określonych poglądach. Szefowi Banku Watykańskiego, Paulowi Marcinkusowi przypisuje się powiedzenie: „Kościół nie żyje z samych Ave Maria". Najwyraźniej w ostatnich latach spadła wartość modlitwy, tak jak i licznych walut.

Nie należy jednak czynić Marcinkusowi wyrzutów z powodu tej materialistycznie brzmiącej wypowiedzi. Kościół odgrywa wiele ról w wielu krajach. Potrzebuje pieniędzy. Ile, to inna sprawa. Co powinien czynić z tymi pieniędzmi, to jeszcze inna sprawa. Nie ma żadnych wątpliwości, że czyni on wiele rzeczy godnych pochwały. Wiadomo jednak także z całą pewnością, że czyni wiele rzeczy w najwyższym stopniu wątpliwych. Duża liczba publikacji szczegółowo informuje o wielu finansowanych przez Kościół instytucjach dobroczynnych, o pomocy, jaką świadczy głodującym na świecie, o jego zabiegach zmierzających do łagodzenia wszelkiego rodzaju cierpień. Opieka szkolna i lekarska, odżywianie, zapewnianie dachu nad głową — to tylko kilka godnych pochwały rezultatów pracy Kościoła. Opinia publiczna dowiaduje się jedynie, ile pieniędzy Kościół zdobywa i jak to czyni. Pod tym względem Watykan jest bardzo dyskretny i był taki zawsze. Ta tajemniczość — co właściwie nie dziwi — rodzi jedno z najbardziej interesujących, ale pozostających bez odpowiedzi, pytań naszych czasów: jak bogaty jest właściwie Kościół rzymskokatolicki?

Reagując na artykuł w jednej z gazet szwajcarskich, zgodnie z którym „kapitał produktywny Watykanu można ocenić na 50—55 mld franków szwajcarskich", OSSERVATORE ROMANO oświadczyło w 1970 r.: „Jest to po prostu urojona cyfra. W rzeczywistości kapitał produktywny Stolicy Apostolskiej, wliczając doń wszystkie lokaty kapitału i inwestycje zarówno we Włoszech, jak i poza ich granicami, nie wynosi nawet w przybliżeniu jednej setnej tej sumy". Jeżeli byłoby to prawdą, to 22 lipca 1970 r. kapitał Watykanu nie wynosiłby „nawet w przybliżeniu 111 mln dolarów".

Pierwsza zawarta w tym stwierdzeniu próba wprowadzenia w błąd polega na tym, że nie uwzględniona jest wartość kapitału Banku Watykańskiego. Jest z tym mniej więcej tak, jak gdyby zażądano od „Texaco" lub ITT przedstawienia ich finansów i w odpowiedzi otrzymano informację o zawartości gotówki w kasach koncernów. Nawet jeśli nie uwzględni się rocznych zysków Banku Watykańskiego, to podawana przez Watykan liczba jest absolutnie śmieszna. Nie przeszkadzało to jednak ludziom z Kurii stałego podkreślania raz puszczonego w świat kłamstwa. W kwietniu 1975 r. Lamberto Furno z LA STAMPY zadał kardynałowi Vagnozziemu pytanie: „Jeżeli dla określenia majątku pięciu administratur) zaproponowałbym sumę 300 mld lirów, czy byłoby to bliskie prawdzie?"*

Furno świadomie wykluczył w swoim pytaniu Bank Watykański. Wydobył od Vagnozziego zapewnienie: „Mogę panu powiedzieć, że kapitał Stolicy Apostolskiej we Włoszech i na całym świecie wynosi mniej niż 1/4 wymienionej przez pana sumy".

Gdyby to stwierdzenie było prawdziwe, wartość kapitału Stolicy Apostolskiej, bez uwzględnienia Banku Watykańskiego, wynosiłaby 1 kwietnia 1975 r. najwyżej 13 mln dolarów. Bank Światowy, Międzynarodowy Fundusz Walutowy i Bank Międzynarodowych Porozumień Płatniczych w Bazylei przyznały przy tym APSA status banku centralnego. Bank w Bazylei publikuje corocznie bilans handlowy, z którego można się dowiedzieć, co banki centralne świata zdeponowały w innych bankach w krajach klubu „dziesiątki" lub też co od nich pożyczyły. Bilans z 1975 r. wykazuje, że Watykan utrzymywał w tym czasie w bankach zagranicznych wkłady w wysokości 120 mln dolarów — i nie miał przy tym żadnych długów. Żaden inny bank centralny na całym świecie nie mógł tego o sobie powiedzieć. Dane te, jak już powiedziano, obejmują tylko APSA, zarząd majątku Stolicy Apostolskiej, jeden z wielu zarządów finansowych Watykanu. Dla jako tako dokładnego określenia rzeczywistego kapitału nawet tylko jednej instytucji finansowej należy przy tym, poza depozytami ujętymi w bilansie Banku Międzynarodowych Porozumień Płatniczych, uwzględnić także wiele innych wartości majątkowych.

Podobnie jak Rzymu nie zbudowano w ciągu jednego dnia, tak też i bogactwa Watykanu nie zgromadzono w jednym dniu. Problem bogatego Kościoła — wszyscy, którzy nauki Chrystusa uznają dla siebie za obowiązujące, muszą widzieć problem w bogactwie kościelnym — sięga początków chrześcijaństwa jako uznanej religii. Kiedy cesarz rzymski, Konstantyn przeszedł w IV wieku na chrześcijaństwo, przekazał ówczesnemu papieżowi Sylwestrowi I ogromny majątek i uczynił go pierwszym bogatym papieżem. Dante powołuje się na to w IXIX pieśni swojego „Piekła":

„O Konstantynie! Ileż zła wytworzyło nie Twoje nawrócenie, lecz owa darowizna, którą przekazałeś pierwszemu bogatemu Ojcu!"

Kościół katolicki słusznie rości sobie prawo do uznawania go za instytucję jedyną w swoim rodzaju. Jest on jedyną organizacją religijną na świecie, której „kwatera główna" ma status samodzielnego organizmu państwowego. Ze swoją powierzchnią, wynoszącą 43,99 ha, Watykan jest mniejszy, niż wiele boisk golfowych. Na sprawiające przyjemność obejście murów Państwa Watykańskiego nie trzeba więcej niż godziny. Policzenie skarbów Watykanu trwałoby znacznie dłużej.

Swoje dzisiejsze bogactwo Watykan zawdzięcza wspaniałomyślności Benito Mussoliniego. W Układach Laterańskich, które jego rząd zawarł z Watykanem w 1929 r., Kościół katolicki otrzymał wiele gwarancji i przywilejów. Stolica Apostolska została uznana za suwerenny organizm państwowy. Oznacza to, że ona sama i jej obywatele nie muszą płacić państwu włoskiemu ani podatków, ani cła za przewożone towary, że jej dyplomaci i akredytowani przy niej posłowie innych krajów korzystają z immunitetu dyplomatycznego i związanych z tym przywilejów. Mussolini zapewnił ponadto wprowadzenie nauki religii katolickiej do wszystkich szkół państwowych wyższego szczebla oraz dostosowania prawa małżeńskiego i rodzinnego do prawa kanonicznego, co oznaczało, że praktycznie nie było żadnej legalnej możliwości uzyskania rozwodu. Pod wieloma względami, w niemałym stopniu także finansowym, układy te przyniosły Watykanowi wiele korzyści:

Artykuł I: Włochy zobowiązują się bezpośrednio po ratyfikowaniu układu wypłacić Stolicy Apostolskiej sumę 750 mln lirów oraz wręczyć jej równocześnie zabezpieczone na 5 proc. państwowe dokumenty własnościowe o nominalnej wartości miliarda lirów.

Według obowiązującego wówczas kursu wymiany odpowiadało to sumie 81 mln dolarów. Gdyby przeliczyć to według dzisiejszej siły nabywczej, wartość tych przekazów wynosiłaby obecnie około 500 mln dolarów. Był to dla Watykanu — spółki z ograniczoną odpowiedzialnością — okazały kapitał początkowy. Zawsze dobrze wiedziała ona, jak nim obracać.

Dla zapewnienia odpowiedniego zarządzania tym dobrodziejstwem finansowym papież Pius XI powołał 7 czerwca 1929 r. „Sekcję do Zadań Nadzwyczajnych" APSA (nazwaną dalej w skrócie „Sekcją Nadzwyczajną"). Pierwszym jej kierownikiem mianował katolika świeckiego, Bernardino Nogarę. Dla Nogary był to wymarzony zawód nie tylko dlatego, że otrzymał do rąk wiele milionów dolarów, którymi mógł obracać. Potrafił bowiem docenić również to, że sto lat wcześniej Kościół rzymskokatolicki dokonał radykalnej zmiany swego stanowiska w sprawie pożyczania pieniędzy. Kościół słusznie mógł o sobie mówić, że nadał nową definicję słowu „lichwa".

Tradycyjnie pod pojęciem „lichwy" rozumiano każdy zysk osiągany z pożyczania pieniędzy. Ponad 1800 lat Kościół dogmatycznie reprezentował pogląd, że pobieranie odsetek od pożyczonych pieniędzy jest sprzeczne z nakazem bożym i dlatego niedopuszczalne. Zakaz uprawiania lichwy odnawiano i potwierdzano na wielu soborach: w Arles (314 r.), Nicei (325 r.), Kartaginie (345 r.), Aix (789 r.), Lateranie (1139 r.). Na tym ostatnim soborze wprowadzono wobec lichwiarzy sankcję ekskomuniki. Mimo że w nowszych czasach w zachodnich systemach prawnych wielu państw lichwiarstwo zalegalizowano, to zgodnie z prawem kościelnym, pozostawało ono — do 1830 r. — zakazane. Od tamtej pory pobieranie odsetek odbywa się z błogosławieństwem Kościoła, a pod pojęciem lichwy rozumie się już tylko inkasowanie bardzo wygórowanych odsetek.

Do gruntownego odwrotu od głoszonych do tej pory nauk skłoniły Kościół własne interesy gospodarcze. (Być może Kościół katolicki zrezygnowałby także ze swojego sprzeciwu wobec sztucznych metod zapobiegania ciąży, gdyby pewnego dnia zniesiono przymus celibatu dla księży).

Nogara pochodził z wierzącej rodziny katolickiej. Wielu jego krewnych świadczyło w jakiś sposób istotne usługi dla Kościoła. Trzech z jego braci wybrało zawód księdza, czwarty został dyrektorem muzeów watykańskich. Usługi Bernardino były jednak najbardziej brzemienne w skutki (...).

Nogara opierał się najpierw przed przyjęciem proponowanego mu przez papieża stanowiska i zgodził się na to dopiero wówczas, gdy papież Pius zaakceptował niektóre z jego warunków. Domagał się on, by jego praca nie była zakłócona jakimikolwiek istniejącymi być może jeszcze w Kościele, tradycyjnymi zastrzeżeniami wobec przynoszącemu zyski gospodarowaniu pieniędzmi. Do warunków, które postawił i przeforsował, należały:

1. Wolna ręka w dokonywaniu inwestycji według własnego wyboru, bez względu na jakiekolwiek religijne lub doktrynalne punkty widzenia;
2. Wolna ręka w inwestowaniu kapitału kościelnego wszędzie na całym świecie.

Zaaprobowanie przez papieża tych warunków było równoznaczne z daniem Nogarze glejtu na inwestowanie pieniędzy Watykanu w spekulacje dewizowe, w interesy z metalami szlachetnymi i spekulacje giełdowe wszelkiego rodzaju, np. kupowanie akcji przedsiębiorstw, których wyroby Kościół katolicki odrzucał z uwagi na zasady wiary. Podczas gdy z jednej strony księża grzmieli z ambon przeciw bombom, czołgom, karabinom i środkom antykoncepcyjnym, Nogara z drugiej kupował dla Watykanu akcje towarzystw, które te rzeczy właśnie produkowały, pomagając przez to wypełniać szkatułę papieża.

Nogara spekulował na terminowych rynkach złota i towarów. Kupił firmę Itaglas, która w wielu miastach włoskich miała rzeczywisty monopol na zaopatrzenie w gaz, i do zarządu przedsiębiorstwa skierował Francesco Pacellego jako przedstawiciela Watykanu. Brat Pacellego, kardynał o tym samym nazwisku, został wkrótce wybrany papieżem (Pius XII), a nepotyzm, jaki kwitł w czasie jego pontyfikatu, objawił się wkrótce w wielu gałęziach gospodarki włoskiej. Przybliżona reguła brzmiała: „Jeżeli Pacelli jest w zarządzie, to 6:4, że firma należy do Watykanu".

Wśród banków, które dzięki dokonywanym przez Nogare zakupom akcji znalazły się pod wpływem lub kontrolą Watykanu, były „Banco di Roma", „Banco di Santo Spirito" oraz „Cassa di Risparmio di Roma". Nogara nie tylko potrafił obracać pieniędzmi, lecz był także mistrzem przekonywania. Kiedy „Banco di Roma" znalazł się w tarapatach i groziła mu upadłość, co z kolei pociągnęłoby za sobą przepadek znacznej części kapitału kościelnego, nakłonił Mussoliniego do przejęcia w znacznym stopniu bezwartościowych papierów giełdowych banku i ulokowana ich w państwowym towarzystwie pod nazwą I.R.I. Mussolini zadeklarował także gotowość wypłacenia Watykanowi sumy odpowiadającej pierwotnej cenie zakupu udziałów w „Banco di Roma", a nie ich aktualnej wartości rynkowej, równej praktycznie zeru. I.R.I. zapłaciło „Banco di Roma" ponad 630 mln dolarów. Stratę poniosła włoska kasa państwowa, co w ostatecznym rozrachunku oznaczało, że rachunek zapłaciło społeczeństwo (jak czyniło to przez całe Średniowiecze w formie dziesięciny kościelnej).

Wiele spekulacji, dokonywanych przez Nogare w imieniu i na rachunek Watykanu, było wątpliwych lub niedopuszczalnych zarówno z punktu widzenia prawa państwowego, jak i — przede wszystkim — zasad ustalonych przez Kościół katolicki. Ponieważ jednak zleceniodawca, papież, ani nie stawiał pytań, ani nie podnosił zastrzeżeń, Nogara, Żyd, który przeszedł na katolicyzm, mógł beztrosko rządzić się i gospodarzyć.

Udziały, które Nogara szybko nabył, zapewniały Watykanowi często w danych przedsiębiorstwach znaczny, a czasem decydujący wpływ. W bardzo niewielu jednak wypadkach sam Nogara wchodził w skład zarządu lub rady nadzorczej jednej z takich firm; faworyzował on obsadzanie tych stanowisk godnymi zaufania przedstawicielami elity watykańskiej.

Trzej bratankowie Piusa XII, książęta Carlo, Marcantonio i Giulio Pacelli byli typowymi ideałami tej elity; w coraz większej liczbie firm pojawiali się jako ich dyrektorzy. Byli oni „uomini di fiducia", zaufanymi ludźmi Kościoła.

Przemysł włókienniczy, elektrownie, koleje, fabryki cementu, wodociągi — Bernardino Nogara był wszechobecny. Kiedy w 1933 r. Mussolini potrzebował broni dla swej kampanii w Etiopii, jednym z najważniejszych jej dostawców była fabryka amunicji, kupiona przez Nogare dla Watykanu.

Zanim wielu innych dostrzegło nieuchronność wybuchu drugiej wojny światowej, Nogara wymienił na utrzymujące stałą wartość złoto część aktywów, jakimi w owym czasie dysponował. Po cenie 35 dolarów za uncję zakupił złoto za sumę 26,8 mln dolarów. Kiedy później sprzedał na rynku amerykańskim niespełna jedną piątą tego złota, uzyskał za nie więcej, niż 26,3 mln dolarów, które swego czasu zapłacił za całe zakupione złoto. Ta podręcznikową spekulacją Nogara zapewnił więc Watykanowi praktycznie bezpłatnie złoty skarb, którego część, jak wynika to z moich dociekań, jeszcze dziś jest w posiadaniu Stolicy Apostolskiej. Obecna wartość rynkowa tego zdeponowanego w Ford Knox złota, które licząc po cenie 35 dolarów za uncję kosztowało kiedyś Watykan 17,3 mln dolarów może wynosić około 230 mln dolarów.

Również w 1933 r. Watykan Sp. z o. o. udowodnił swoją umiejętność prowadzenia owocnych rokowań z rządami faszystowskimi. Tak jak w 1929 r. z Mussolinim, Stolica Apostolska wynegocjowała teraz konkordat z reżimem Hitlera, który doszedł do władzy w Niemczech. O ile w doprowadzeniu do zawarcia układu z Mussolinim kluczową rolę odegrał adwokat, Francesco Pacelli, to w rokowaniach, które doprowadziły do zawarcia konkordatu z Niemcami hitlerowskimi, siłą napędową był jego brat, kardynał Eugenio Pacelli, późniejszy Pius XII.

Po układzie z Watykanem Hitler obiecywał sobie wiele aktualnych i potencjalnych korzyści; istotną rolę w jego kalkulacjach odgrywały rachuby na to, że w przypadku wojny Pacelli, który i tak demonstrował wyraźną sympatię do faszystowskich Niemiec, może okazać się wartościowym sojusznikiem. Jak pokazał dalszy rozwój sytuacji, kalkulacje Hitlera były pod tym względem całkowicie słuszne.

Nie bacząc na silny nacisk światowej opinii publicznej, papież Pius XII odrzucił żądania ekskomunikowania Hitlera lub Mussoliniego. Być może wzbranianie się przed tym wynikało z pełnej świadomości niewielkiego znaczenia własnej osoby. Był on papieżem, który wycofał się na pozycje niezobowiązującej neutralności. Wobec biskupów niemieckich mówił o „wojnie sprawiedliwej" i to samo powiedział biskupom francuskim, co doprowadziło do tego, że podczas wojny biskupi niemieccy stanęli po stronie armii niemieckiej, a francuscy — francuskiej. Był papieżem, który nie zdobył się na potępienie napaści niemieckiej na Polskę, ponieważ — jak mówił — „nie możemy zapomnieć, iż w Rzeszy (Niemieckiej) jest 40 mln katolików. Jak wyglądałaby ich sytuacja po takim akcie Stolicy Apostolskiej?".

Z punktu widzenia Watykanu jednym z największych osiągnięć konkordatu z Hitlerem była zobowiązująca obietnica utrzymania podatku kościelnego. Podatek ten jest utrzymany jeszcze dziś i wraz z podatkami od wynagrodzeń odprowadzany do urzędów finansowych. Można uwolnić się od niego tylko występując z Kościoła. Podatek kościelny wynosi 8—10 proc. podatku od dochodów. W latach bezpośrednio poprzedzających drugą wojnę światową do Rzymu zaczęły nadchodzić z Niemiec znaczne wpływy z podatków kościelnych. Ten strumień pieniędzy utrzymywał się przez całą wojnę i w 1943 r. wyniósł na przykład, w przeliczeniu, 100 mln dolarów. W Watykanie, w rękach Nogary, pieniądze te, tak samo jak i dewizy napływające z innych krajów, przekształcały się w przynoszący znaczne zyski kapitał.

Dwudziestego siódmego czerwca 1942 r. papież Pius XII postanowił dostosować do współczesnych czasów kolejną część rzeczywistości Watykanu i powierzyć ją reżyserii Bernardino Nogary. „Zarząd Dzieł Religijnych" został przekształcony w „Instytut Dzieł Religijnych". O tej niepozornej zmianie prasa światowa nie poinformowała oczywiście na stronach tytułowych, zwłaszcza że w owym czasie nagłówki opanowane były wydarzeniami wojennymi. Narodził się IOR, na całym świecie, poza samym Watykanem, znany również pod nazwą Banku Watykańskiego. Watykan Sp. z o. o. utworzyła składnice. Pierwotne zadanie powołanego w 1887 r. do życia przez papieża Leona XIII „Zarządu Dzieł Religijnych" polegało na gromadzeniu środków pieniężnych z przeznaczeniem ich na finansowanie projektów wspieranych przez Kościół; zadanie to nie przypominało w niczym działalności banku. Teraz jednak Pius XII zdefiniował funkcję IOR następująco: „Przechowywanie i administrowanie pieniędzmi (w formie papierów wartościowych i gotówki) oraz wartościami majątkowymi, przekazywanymi lub powierzanymi Instytutowi przez organy finansowe lub osoby prawne na wykonywanie zadań religijnych lub spełnianie obowiązków chrześcijańskich". Za tym naturalnym sformułowaniem zadań kryła się praktyka, wykazująca cechy działalności banku.

W tym czasie Nogara poddał bardzo szczegółowej kontroli paragrafy układu laterańskiego, szczególnie artykuły 29, 30 i 31. Mówiły one o zwolnieniach od podatków i możliwości tworzenia „organizacji kościelnych", których działalność miała być wolna od płacenia podatków i wszelkiej kontroli ze strony państwa włoskiego. Doszło do interesujących dyskusji na temat znaczenia pojęcia „organizacji kościelnych". Mussolini bez wątpienia silniej przytłoczony innymi wydarzeniami współczesnymi, zainterpretował je wielkodusznie. Włoskie ministerstwo finansów opublikowało 31 grudnia 1942 r., pismo okólne, informujące o zwolnieniu Stolicy Apostolskiej z podatków od dywidend. Podpisał go ówczesny dyrektor generalny w ministerstwie finansów, który nosił nawet stosowne nazwisko: Buoncristiano, tzn. dobry chrześcijanin. W piśmie okólnym wymieniono różne organizacje kościelne, które miały korzystać ze zwolnienia od podatków. Była to długa lista, obejmująca m.in. „Sekcję Nadzwyczajną" i „Instituto per le Opere Religiose".

Na wniosek Nogary kierownictwo Banku Watykańskiego powierzono ojcu Alberto di Jorio, który miał zostać potem kardynałem. Poza swoją nową funkcją pierwszego sekretarza, (a potem prezesa) Banku Watykańskiego, Jorio działał od tej pory także jako asystent Nogary w „Sekcji Nadzwyczajnej", dzięki czemu mógł współdecydować w różnych sprawach w obu wydziałach. Jeżeli chodzi o Nogare, to poza zapewniającymi mu możliwość kontroli większościami, jakie zdobył w wielu bankach światowych, dla swoich kruczków finansowych miał teraz do dyspozycji dwa banki wewnątrzwatykańskie.

Dążąc stale do celu, jakim było pomnażanie bogactwa Watykanu, Nogara zdobywał bastion po bastionie. Ramiona Watykanu Sp. z o. o. objęły całą kulę ziemską. Utkano gęstą sieć kontaktów z innymi bankami. Domy Rothschilda w Paryżu i Londynie robiły interesy z Watykanem już od wczesnych lat XIX wieku. Kiedy Nogara zaczął kierować sprawami finansowymi Watykanu, zakres tych interesów gwałtownie wzrósł, podobnie jak i liczba uczestniczących w nich partnerów, do których zaliczały się teraz takie banki, jak „Credit Suisse", „Hambros", „J. P. Morgan", „Chase Manhattan", „First National", „Continental Bank of Illinois" i „Bankers Trust Company of New York". Ten ostatni był szczególnie pożytecznym partnerem zawsze, gdy Nogara chciał kupić lub sprzedać papiery wartościowe na giełdzie nowojorskiej.

C.D.N.

*) 1. Sekcja Zwyczajna APSA (zarząd majątku Stolicy Apostolskiej), 2. Sekcja Nadzwyczajna APSA, 3. Urząd Gubernatora Państwa Watykańskiego, 4. Kongregacja ds. Kleru, 5. Prefektura ds. Gospodarczych Stolicy Apostolskiej.

Fragmenty książki Davida Yallopa „In God's Name"

Polemiki • Listy • Opinie

LIST OD DYREKTORA ŁÓDZKIEGO WYDAWNICTWA PRASOWEGO

Obywatel Lucjusz Włodkowski
Redaktor Naczelny
tyg. społeczno-kulturalnego „Odgłosy"
ul. Sienkiewicza 3/5

W numerze 3(1399) „Odgłosów" z dnia 19 stycznia 1985 roku, w rubryce „Polemiki — Listy — Opinie" ukazał się list czytelnika, napastliwy i pełen inwektyw, szkalujący pracownika Łódzkiego Wydawnictwa Prasowego RSW „Prasa-Książka-Ruch", kolegę Jerzego Kałużkę, kierownika działu wydawniczego.

W związku z tą pozbawioną merytorycznych podstaw, gołosłowną, publiczną napaścią na naszego kolegę czuję się w obowiązku stwierdzić co następuje: Kol. Jerzy Kałużka jest wieloletnim i cenionym pracownikiem Łódzkiego Wydawnictwa Prasowego. Wykonując obowiązki służbowe musi nieraz podejmować — lub oddziaływać na podejmowanie uzasadnionych, choć nie zawsze popularnych decyzji dotyczących przydziału ograniczonej ilości papieru, nakładów gazet i czasopism, punktualność druku itp. Jednakże nigdy jeszcze na przestrzeni wielu lat jego pracy w Łódzkim Wydawnictwie Prasowym kierownictwa redakcji nie posądziły kol. J. Kałużki o brak kompetencji. Dowodem na to niech będą odznaczenia państwowe, nagrody i odznaczenia resortowe nadane przez Zarząd Główny RSW „Prasa-Książka-Ruch".

Również Łódzkie Wydawnictwo Prasowe niejednokrotnie z dużym uznaniem oceniło jego wkład pracy w sprawie funkcjonowania działu wydawniczego. Najbardziej zaniepokoił mnie fakt, że Jerzego Kałużkę obciąża się winą za sprawy leżące poza zakresem jego kompetencji, m.in. kolportażu. Żałuję, że tych znanych przecież faktów nie podała Redakcja z własnej inicjatywy, jako komentarz do „listu czytelnika".

Łódź, 1985 - 01 - 25.

mgr PIOTR SAGAN
Dyrektor Wydawnictwa

OD REDAKCJI: Listem Wydawcy kończymy dyskusję wokół publikacji J. S. Knypla i J. Kałużki na temat SZERSZEGO ODGŁOSU BRAKU „ODGŁOSÓW". Nie oznacza to, że problemy nakładu i kolportażu przestały nas interesować. Będziemy nadal podejmowali wysiłki, tak merytoryczne jak i formalne, dla zwiększania nakładu i wzrostu jego sprzedaży w miarę poprawy zaopatrzenia drukarń w papier.

Z powyżej przedstawionych powodów zrezygnowaliśmy z publikacji listu mgr Andrzeja Czecha broniącego J. Kałużkę. List ten udostępnimy wszystkim zainteresowanym.

PECHOWIEC

PRZEZ CAŁE ŻYCIE PRZEŚladował GO PECH. Jakieś fatum ciążyło nad nim samym, rodziną. Pracę rozpoczął w charakterze cieśli przy odbudowie mostów na Odrze i Regalicy pod Szczecinem w 1946 roku. Był jednym z pionierów, odbudowujących kraj z ruin i zgliszcz. Dziś jest starszym, schorowanym człowiekiem.

Rok 1981 zaczął się niezbyt szczęśliwie. 7 stycznia tego roku uległ wypadkowi przy pracy dokładnie o godz. 14.00. Od tego czasu nie pracuje zawodowo. Inspektor BHP nie dopatrzył się powodu żeby uznać to jako wypadek przy pracy, skierować na rentę. Podobne stanowisko zajęła Zakładowa Komisja Rozjemcza oraz Okręgowy Sąd Pracy i Ubezpieczeń Społecznych.

Po długiej chorobie przed samym wejściem w życie nowej ustawy o wcześniejszych emeryturach i rentach z 1 lipca 1981 r. przeszedł na rentę inwalidzką II grupy.

Przepracował trzydzieści kilka lat w PRL nie wliczając okresu nauki. A jednak zabrakło tych 17 dni do zasłużonej, spokojnej emerytury. Rewaloryzacja tylko częściowo zrekompensowała zarobki z 1980 roku, jako podstawy do obliczenia renty inwalidzkiej III grupy. Praktycznie przepuklina (wielkości bochenka chleba) jamy brzusznej według orzecznictwa KIS, nie zezwalała na podjęcie dodatkowej pracy — mimo istniejących zachęt i zezwoleń na nią. Nie izoluje się jednak od społeczeństwa. Pracuje społecznie, na ile mu zdrowia i sił wystarczy. Posiada na swoim wyłącznym utrzymaniu syna w wieku szkolnym. Pobiera rentę wraz z dodatkami w wysokości 12.060 zł. Żyje na granicy minimum socjalnego, po 6 tys. zł na jedną osobę. Dziecko już dawno zapomniało kiedy otrzymało ostatni prezent na gwiazdkę, imieniny, urodziny. Na gwiazdkę chciało mieć narty. Ale mogło jedynie obejrzeć je w witrynie sklepowej. Kosztują ok. 4 tys. złotych. Nie pamięta również kiedy coś kupił dla siebie z odzieży, a i dziecko szybko wyrasta ze wszystkiego, co posiada.

Każdego miesiąca przeważnie przed 15 mając w portfelu zaledwie dwieście złotych — obaj przeżywają nie lada dylemat życiowy. Co kupić: chleb, mleko, serek czy papierosy dla ojca. Kto nigdy nie znajdował się w podobnych tarapatach życiowych, temu trudno w to uwierzyć. Ale tak jest w istocie rzeczy. Nie wyciągają ręki po pomoc ani do związków zawodowych, które zresztą zapomniały zupełnie o swoim byłym pracowniku, ani do Kościoła.

Trwa dyskusja nad trzema wariantami podwyżki cen artykułów żywnościowych. Z prasy, radia i tv dowiadujemy się o propozycjach rekompensaty dla osób żyjących na granicy ubóstwa. Przedstawiane są plansze, wykresy podwyżki emerytur i rent, w tym renty III grupy, uwarunkowanej ściśle z wiekiem. I tu znów ma pecha. Brakuje półtora roku, aby mógł otrzymać podwyżkę renty na siebie i dziecko, około 1500 zł miesięcznie.

Przepisy są twarde i nieubłagane. Skoro zostaną zastosowane w życiu, nie będzie od nich odwołania. Nie pomogą prośby i skargi. A żyć trzeba...

JAN WIŚNIEWSKI

JESZCZE O KSIĄŻKACH TELEFONICZNYCH

W odpowiedzi na notatkę krytyczną zamieszczoną w numerze 50 „Odgłosów" z dnia 15 grudnia 1984 r. Dyrekcja Okręgu Poczty i Telekomunikacji przedstawia następujące informacje.

Biorąc pod uwagę doświadczenia nabyte przy sprzedaży książek telefonicznych w latach poprzednich, szczególnie masowe wykupywanie przez pewne grupy osób, starano się opracować taką organizację, która eliminowałaby niepotrzebne kolejki i zdenerwowanie społeczeństwa. Wzięto także pod uwagę sugestie czytelników publikowane w prasie jeszcze w trakcie druku i przed rozpoczęciem sprzedaży. Faktem też jest, że książką telefoniczną zainteresowane są osoby nie posiadające telefonu np. prowadzące korespondencję handlową, reklamową itp.

Przed rozpoczęciem sprzedaży spisu telefonów województwa miejskiego łódzkiego zorganizowano konferencję prasową (12 listopada 1984 r.) z udziałem przedstawicieli „Głosu Robotniczego", „Dziennika Łódzkiego", „Expressu Ilustrowanego" oraz Radia i Telewizji. Mimo zaproszenia przedstawiciel „Odgłosów" nie przybył. Propozycje nasze przedstawiono na konferencji, w wyniku której społeczeństwo otrzymało dokładną informację. Jak dotychczas nie otrzymaliśmy żadnej oceny negatywnej dotyczącej szeroko publikowanego sposobu sprzedaży książki telefonicznej, a wręcz przeciwnie wykazywano zadowolenie z takiej organizacji. Znalazło to także potwierdzenie w prasie i w telewizji.

W następnych edycjach spisu będziemy korzystali ze sprawdzonych doświadczeń nabytych w trakcie rozprowadzania obecnej książki telefonicznej.

Prosimy o opublikowanie niniejszej odpowiedzi na łamach „Odgłosów".

inż. MAREK GUTOWSKI
Zastępca dyrektora
Okręgu Poczty i Telekomunikacji

„ZAWISZA CZARNY"

Stefan M. Kuczyński ogłosił drukiem kolejną powieść historyczną pod tytułem „Zawisza Czarny", która stanowi — po „Litwinie i Andegawence" — drugą pozycję z zamierzonego cyklu „Przeszłość". Powieść składa się z czterech części, a jej akcja zamyka się w latach 1399—1428, jej chronologiczny zakres wyznaczają dwie bitwy — nad Worsklą i pod Gołubcem.

Oparta na gruntownej znajomości historycznych źródeł rodzimych i obcych powieść ukazuje Zawiszę Czarnego z Garbowa w różnych sytuacjach jego życia i działalności. Prowadzi nas po zawiłych meandrach polityki europejskiej, której ważnym ośrodkiem był dwór Władysława Jagiełły, a wybitną postacią w realizacji dyplomatycznych planów monarchy słynny Sulimczyk. Pośredniczył on w zatargach granicznych między Polską a Węgrami w roku 1411, uczestniczył w poselstwie Jagiełły do Budy, układał się jako pełnomocnik królewski z arcybiskupem Rygi, Janem, w sprawie zjazdu z królem na Kujawach, był jednym z delegatów polskich na sobór w Konstancji, pośredniczył na polecenie Jagiełły w porozumieniu z księciem Fryderykiem tyrolskim. Faktów dyplomatycznej działalności Zawiszy Czarnego można by przytoczyć o wiele więcej.

W Sienkiewiczowskich „Krzyżakach" Zawisza przedstawiony został jako niezrównany szermierz, mistrz rycerskiej walki, w ujęciu S. M. Kuczyńskiego także jako znakomity mąż stanu. Jaki był Zawisza? W powieści znajduje się taka oto charakterystyka „czarnego rycerza": *„Podobało się bowiem Jagielle w tym młodzieńcu wszystko: jego piękna, męska postać, szlachetny wyraz twarzy, świetna umiejętność władania bronią, znakomita jazda konna, jego słynna niemal już wśród rycerstwa prawdomówność oraz urok osobisty, zniewalający każdego z kim tylko zetknął się kasztelanic z Garbowa".*

Jan Długosz, którego opis postaci Zawiszy jest źródłem dla wszystkich późniejszych opisów zanotował:

„Nikt nie przewyższy Zawiszy Czarnego szlachetnością i dzielnością bohaterską (..) słynął odwagą i wielkimi czyny (...) Był zaś w mówieniu słodki i ujmujący, tak iż nie tylko ludzi zacnych i szlachetnych, ale barbarzyńców nawet swoją uprzejmością zniewalał"

Łatwo dostrzegalne w powieści warstwy narracji faktograficzna i fikcyjna tworzą jedną ściśle ze sobą związaną całość. Powieść jest mocno osadzona w realiach historycznych — napisał ją bowiem znakomity historyk, znawca dziejów Europy Wschodniej — które na równi z interesującą fabułą przykuwają uwagę czytelnika. Realia te (fakty zdarzenia), prezentuje autor z niezwykłą starannością i troską o prawdę i wiarygodność, dlatego też tam, gdzie jest to konieczne, S. M. Kuczyński umieszcza dodatkowe uwagi i wyjaśnienia.

Przywołanie na karty powieści Zawiszy Czarnego, powieści także na czasie, jest realizacją podstawowych celów wychowawczych, które dziś szczególnie należy mieć na uwadze. Te cele realizuje profesor Kuczyński z pełną świadomością. Powieść będzie niewątpliwie pożądaną pomocą w pracy dydaktycznej nauczyciela historii i języka ojczystego. Powinna się znaleźć w każdej bibliotece szkolnej. I na koniec tych refleksji jeszcze niezbędna uwaga. Na okładce tytułowej powieści umieszczony jest herb Zawiszy. W niektórych egzemplarzach w polu herbu, na którym widnieje pół czarnego orła jest kolor zielony, a winien być żółty (złoty). Pewną partię egzemplarzy wycofano do korekty, część została rozprowadzona.

JAN JUSZCZYK

Stefan M. Kuczyński, Zawisza Czarny. Powieść historyczna. Wydawnictwo „Śląsk", 1983 r.

„ZIMNO MI"

Nawiązując do notatki prasowej zamieszczonej w „Odgłosach" 8.12.84 r. pt. „Zimno mi" dotyczącej niedogrzewania oraz braków ciepłej wody w mieszkaniu nr 103 przy ul. Rajdowej 10 bl. 68 wyjaśniamy.

Działając w celu poprawy sytuacji opisanej w notatce administracji osiedla „Retkinia-Piaski" wykona następujący zakres robót:

— sprawdzi drożność pionów, gałązek i grzejników,
— przeczyści hydroelewator
— skryzuje piony i mieszkania w bl. 68
— wymieni pompę cyrkulacyjną
— sprawdzi połączenia pionów ciepłej wody z cyrkulacją na ostatnich kondygnacjach.

O wykonaniu wyżej wymienionych prac i osiągniętych efektach administracja osiedla „Piaski" powiadomi zainteresowanego lokatora odrębnym pismem.

dr ZYGMUNT FLOREK
dyrektor

Do wiadomości

1. Wojewódzka Spółdzielnia Mieszkaniowa Łódź, ul. Piotrkowska 94
2. Rzecznik Prasowy Urzędu Miasta Łodzi ul. Piotrkowska 104
3. Urząd Dzielnicowy Łódź-Polesie ul. Zielona 10
4. Ob. Jolanta Milska Łódź, ul. Rajdowa 10 m. 103 bl. 68
5. Ob. Kierownik Administracji Osiedla „Retkinia-Piaski" z poleceniem osobistego nadzoru nad wykonywanymi pracami oraz pisemnego powiadomienia zainteresowanej o efektach podjętych prac.
6. a/a

DLA MNIE TA NAGRODA!

Na Waszych łamach, cholera, przepraszam na łamach „Odgłosów" toczy się zacięta dyskusja na temat „Komu nagrodę „Odgłosów". Chciałbym te akademicką dyskusję definitywnie zakończyć i wnoszę o przyznanie tej nagrody — mnie!!!.. Widzę duszą wyobraźni na Waszych czcigodnych redaktorskich acz ludzkich całkiem nie redaktorskie ale za to jakże ludzkie zdziwienie. Zdziwienie moim bezczelnym tupeciarskim wnioskiem i zachłannością na tzw. zaszczyty, nie mylić z „zaszczuty" Bo przecież i tak bywa. No! właśnie.

Ja, jestem sobie takim małym, szarym człowieczkiem z mała ilością tych, jak one się zwą, szarych komórek w łepetynie nr 36 1/3, najwyżej 36 1/2 więc i wniosek na miarę mojej główki makówki. Ja, już od dłuższego a nawet bardzo długiego czasu czytuję „Odgłosy" i zauważyłem, że w okresie stabilizacji niestabilizacji makówka moja powiększa się. Zaiste ciekawy wpływ na ten biologiczny fenomen ma właśnie to Wasze łódzkie czytadło. Bo łatwiej w Łodzi po łbie dostać niż „Odgłosy", biegam od kiosku do kiosku i już w niedługim czasie stanę się znanym długodystansowcem i znajdę się, a właściwie stanę na eksponowanym podium dla zwycięzców z nr butów 39 3/4, a głowy, która jak wyżej wspomniałem, też się numerowo powiększyła i ma już obecnie nr 39 3/4 — czego i Waszej tygodniówce życzę. Wtedy jak Wy się powiększycie numerowo, u mnie zacznie wszystko się zmniejszać. Może uda mi się wrócić do znormalizowanych numerów mojej mózgownicy. Zmniejszy się również i rozmiar moich rozdeptanych butów, dzięki którym moja stopa życiowa zawrotnie się powiększyła i jest zawrotnie wysoka.

Pozwoli to również powoli dojść do jakiej takiej równowagi psychicznej całej mojej osobowości, no i oczywiście moich własnościowych butów. Ale, ad rem. Otóż, ja, wybiegawszy się za „Odgłosami" czytam je od „deski do deski", i to tak ze dwa razy. Nie chwytam jednak za przysłowiowe pióro, by Wam coś tam, bardzo w narodzie popularnego, pozawracać. Mnie wystarczają Wasze polemiki, przytyki, cięcia, docięcia, zacięcia, przycięcia, wycięcia, przecięcia, nadcięcia i co tam jeszcze. Gdybym zabrał głos na łamach „Odgłosów" na temat „Komu...", to mógłbym dostać po łapach za szerzenie destrukcyjnej roboty kulturalnej, a tak, ja jestem, proszę Szanownej Redakcji cały i nie obolałe mam pały. Prawda?! Korzyść mają również i „Odgłosy", gdyż mają więcej miejsca dla tych co z piórem w ręku się urodzili, a do tej pory ot pechowcy — chodzili bez tzw. „czepka na głowie". Szpalty pisma Waszego mogą im służyć dla wzmocnienia własnego zadowolenia i dla dobra upowszechniania, czyli szerzenia w środowiskach łaknących kultury choroby kulturalnej w szeroko niezrozumianych kręgach kulturalnych.

Klnę się na hipopotama i na swoje rozlazłe kapcie, że nie wiem o jaką kulturę idzie gra. O jedną naszą polską, czy w rozbiciu, co jest w tej chwili bardzo modne a my to potrafimy w sposób perfekcyjny — na kulturę robotniczą, chłopską, rzemieślniczą, inteligencką, które znów można porozbijać na różne kultury jak: miast, miasteczek, przedmieść, osiedli, osad, gmin, wsi, powiatów, dzielnic, regionów, a przecież może to być kultura wrodzona, nabyta, humanistów, techniczno-inżynieryjna, osobista, mas, środowiskowa, rodzinna, narodowościowa i jakie tam jeszcze. Uff! setnie się zmęczyłem tą wyliczanką, a chyba wymieniłem tylko niektóre z istniejących. Alem się zagalopował. Zupełnie tak jakbym świńskim truchtem pędził po „Odgłosy" do z kolei któregoś tam kiosku „Ruchu". Jak nagle zacząłem tak i nagle kończę, jednak wniosek postawiony na początku niniejszego wielce kulturalnego elaboratu w całej rozciągłości twardo podtrzymuję. Bezkompromisowo. Wniosek ów postawiłem oczywiście ze względu na swoją nieogarniętą i nieodgadniętą jeszcze przez nikogo kulturę. Osobiście nabytą za marne pare groszy. A grosz miał wówczas jeszcze duże znaczenie. Jednak, chcąc być zgodny z ogólnie przyjętymi regułami sprawiedliwości demokratycznej, poddaję pod ogólnokulturalne głosowania owej kandydatury. Kto jest za, przeciw i się wstrzymuje?! Nie widzę Nie, widzę Nie widzę.

A więc wniosek przeszedł przez „reklamację".

A teraz moi Panowie Redaktorzy! Niech kto spróbuje temu zaprzeczyć, to go tak ta kultura przycisne, że całkiem niekulturalnie będzie wyglądał, a demokratycznej sprawiedliwości kulturalnej uczynię zadość. Nie, to żadna groźba ani szantaż fe! jakie brzydkie słowo, to tylko taka sobie kulturalna „odzywka" do panów Redaktorów mojego tygodnika. Stało się. Nareszcie mam to, co chciałem od dawna mieć — swoje pismo. Jestem więc — — „burżua". Że co? Że w państwie socjalistycznym?! A co to komu szkodzi? Mnie stać na to! Kreślę się z kulturalnymi pozdrowieniami oraz oczekiwaniem na wspomnianą nagrodę. Zmordowany gonitwami, ale nie na Mokotowskim Polu.

SZARAK
Z POSTAWIONYMI SŁUCHAMI

P.S. Panowie Redaktorzy, nie bądźcie myśliwymi, a tuż nie radzę żywcem brać, by za granicę sprzedać gdzie za żywe szaraki — żywa jest mamona. Z zająca mogą oni a mają w tym wprawę — zrobić złego psa, który choć na zielonym łańcuchu będzie na Was szczekał i obszczekiwał — dojadać będzie z ich pańskiego stołu resztki pod stołem.

NASUNĘŁY SIĘ WSPOMNIENIA

Andrzej Karolczak w „Odgłosach" z 8 grudnia 1984 r., nr. 49, pisał o siedzibie (od 1920 r.) jednej z najstarszych i najbardziej znanych w Łodzi szkół średnich — IV Liceum Ogólnokształcącego im. E. Sczanieckiej przy ul. Nowotki 16. Jest to obiekt moich wspomnień lat szkolnych w Łodzi. Od początku roku szkolnego 1908 do końca czerwca 1914 r. dojeżdżałam z Widzewa tramwajem nr 10. Wysiadałam na przystanku przy Kościele Ewangelickim — aktualnie Kościół Garnizonowy Wojska Polskiego, ul. Piotrkowska nr 4... Nowym Rynkiem (Plac Wolności) przechodziłam obok budynku i Rzemieślniczej Szkoły w Łodzi (Muzeum Archeologiczne i Etnograficzne — pl. Wolności 14), dochodziłam do ul. Średniej (Nowotki). Przez furtkę w żelaznym ozdobnym ogrodzeniu było przejście do drzwi wejściowych budynku z carskim godłem w najwyższym punkcie budynku. Był to „dwugłowy złoty orzeł", pod nim dużymi wypukłymi literami „ŁODZINSKAJA ŻENSKAJA GIMNAZIA"...

Po przeczytaniu w „Odgłosach" artykułu A. Karolczaka wyjęłam z moich zbiorów dokumenty, zdjęcia ocalałe po 2 wojnach, wycinki z prasy, wypisy z prasy nie tylko krajowej.

Od 1977 r. jestem członkiem Towarzystwa Przyjaciół Muzeum Sztuki w Łodzi. W czerwcu 1984 r. otrzymałam zaproszenie dyrektora Muzeum Sztuki na otwarcie wystawy: „Eva Rubinstein — fotografie z lat 1967 — 1982". Po oficjalnej części zaproszona zostałam do sali odczytowej. W rozmowie poznałam wuja Evy Rubinstein — Jana Gromadzkiego. (Przyjechał z Choszczna na Pomorzu, na zaproszeniu zapisał mi swój adres). Po tylu latach spotkałam człowieka, który pamięta (był w wieku szkolnym) akademię 3 Maja w Moskwie w 1916 r.

Nasunęły się dalsze wspomnienia.

Na przedwiośniu 1916 roku młodzież polskich organizacji przy „Domu Polskim" w Moskwie wzięła udział w przygotowaniach do planowanej przez Komitet Polski uroczystości uczczenia Konstytucji 3 Maja. W pierwszą niedzielę maja 1916 r. przy wejściu do moskiewskiego wędrownego cyrku Nikitina stali harcerze w szarych mundurkach, niektórzy w pelerynach i skautowych kapeluszach. Pełnili funkcję porządkowych i bileterów. W cyrku na środku areny estrada dla orkiestry. Setki biało-czerwonych chorągiewek, portrety twórców konstytucji, wielka liczba 1791. Przy estradzie wysoki maszt. Wszystkie miejsca zajęte. Napływająca publiczność prosiła, domagała się od harcerzy wpuszczenia do cyrku dla zajęcia jakiegokolwiek miejsca stojącego. Do puszki z napisem: „Dla ofiar wojny" wrzucali srebrne i złote monety. Gong! Harcerze wciągali na maszt biało-czerwoną flagę. Orkiestra Emila Młynarskiego gra Mazurka Dąbrowskiego. Wszyscy stoją. Łykają łzy wzruszenia i radości. Śpiewają: „Jeszcze Polska nie zginęła".

Tak zapisała się w mojej pamięci pierwsza widziana akademia z okazji historycznego wydarzenia. Druga akademia „3 Majowa" odbyła się w Moskwie w maju 1917 r. z bogatszym programem.

KAROLINA PIGUŁOWSKA-BUCHALCZYK

Polemiki • Listy • Opinie

APEL DO ZESPOŁU „ODGŁOSÓW"

Choć siedziba Wasza teraz
pod niebo wysoka,
Nie bujajcie jednak
z tej racji w obłokach!

MIROSŁAW PONIECKI

OD REDAKCJI: Dziękujemy! Postaramy się chodzić twardo po ziemi!

KONKURS

Robotnicze Stowarzyszenie Twórców Kultury w Łodzi ogłasza konkurs na krótkie formy literackie w dziale prozy: reportaż, wywiad, esej i poezji pod hasłem „Stosunki międzyludzkie".

W konkursie mogą wziąć udział wyłącznie nieprofesjonaliści, którzy nadeślą co najmniej trzy utwory w dziale prozy i 5 wierszy w dziale poezji łącznie do 10 stron maszynopisu.

Przewidziano nagrody w dziale prozy: I — 10 000 zł, II — 8 000 zł, III — 6 000 zł oraz trzy wyróżnienia po 3 000 zł. W dziale poezji: I — 8 000 zł, II — 6 000 zł, III — 4 000 zł oraz trzy wyróżnienia po 2 000 zł.

Prace konkursowe w trzech egzemplarzach maszynopisu dotychczas nigdzie nie publikowane w całości lub fragmentach opatrzone godłem należy nadsyłać do 1985.04.30 pod adresem: Robotnicze Stowarzyszenie Twórcow Kultury w Łodzi ul. Kilińskiego 95 skr. poczt. 159.

„W NOWYCH SKALMIERZYCACH TAK NIE BYŁO..."

Pod takim tytułem w rubryce „Polemiki — Listy — Opinie" („Odgłosy", nr 44/1388 z 3.11.1984 r.) ukazała się krytyka pana Pawła Marciniaka, dotycząca mojego artykułu pt. „Bohaterski dywizjon „Obrońców Warszawy", wydrukowanego w nr 42 „Odgłosów" z dnia 20.10.1984 r., czym nieco się zdziwiłem, ponieważ w artykule nic nie pisałem o Nowych Skalmierzycach, lecz zamieściłem tylko wzmiankę o rozbiciu się halifaxa pod Skalmierzycami.

Zanim jednak odpowiem panu Pawłowi Marciniakowi na jego zarzuty, pragnę jeszcze raz podkreślić, że nigdy nie byłem, nie jestem historykiem lotnictwa, jak też nie pretenduję do tego tytułu, a Autor krytyki zbyt często posługuje się terminem: „twierdzi". Twierdzić może tylko historyk, zaś ja, tylko przekazuję, podaję lub informuję czytelników o wysiłku bojowym polskich lotników podczas II wojny światowej, na Zachodzie, przedstawiając wydarzenia lub akcje mało znane albo nie znane w kraju, ze szczególnym uwidocznieniem zmagań i bohaterstwa naszych lotników podczas minionej wojny, dysponując nieraz skąpymi materiałami źródłowymi krajowymi, gdyż zagraniczne są mi niedostępne. Nie jest to jednak łatwe, jeśli się zważy, że Redakcja ogranicza mnie limitem stron maszynopisu, co zmusza mnie do poruszenia tylko najważniejszych i najciekawszych dla przeciętnego Czytelnika wydarzeń lub faktów. Po wtóre, nawet renomowani autorzy publikacji o tematyce lotniczej z okresu minionej wojny, opisują te same zdarzenia w różny sposób, nie mówiąc już o znacznych rozbieżnościach w datach, składach załóg, cyfrach obrazujących wysiłek polskich jednostek lotniczych w Wielkiej Brytanii itp. Wobec powyższego, staram się w moich opracowaniach unikać dat, cyfr, posługując się raczej takimi terminami, jak: „na początku", czy „w połowie miesiąca lub roku" itp. Choć nieraz dla uprawdopodobnienia jakiegoś wydarzenia lub akcji przytaczam daty lub cyfry, ale po uprzednim sprawdzeniu i skonfrontowaniu ich zbieżności w kilku źródłach dostępnych mi publikacji. Zresztą uważam, że artykuł nafaszerowany datami, cyframi i innymi drobnymi szczegółami, stałby się nudnym dla Czytelnika. Sądzę również, że Czytelnik zainteresowany tematem, sam będzie szukał odpowiednich publikacji, które dostarczą mu szczegółów opisywanych przeze mnie wydarzeń.

Nadmieniam, że i ten artykuł zawierał wiele szczegółów, lecz wskutek objętości nie mieszczącej się w limicie stron maszynopisu został przez Redakcję poważnie skrócony, o co nie mam pretensji, nawet zadowolony jestem, że artykuł zyskał zasadniczą treść, co zamierzałem Czytelnikom przekazać.

Opiniowanie pana Marciniaka: „Tak więc pomyłki pana Chojnackiego są tak rażące, że nie sposób pominąć je milczeniem, tym bardziej, że w końcowej części swego artykułu Z. J. Chojnacki opacznie omawia dalsze dzieje polskich załóg do zadań specjalnych..." jest bardzo krzywdzące, bo w tym przypadku nie ja się myliłem, lecz autorzy materiałów źródłowych, z których korzystałem, a mając publikacje takich autorów lotników, jak: Wacław Król, Mieczysław Wyszkowski, Bohdan Arct, Władysław Kisielewski, Tadeusz Królikowski i wielu innych, nie mogę ich podejrzewać o wypaczenia faktów, dat czy innych szczegółów, dotyczących lotnictwa polskiego w Wielkiej Brytanii, uznając je za pełnowartościowe.

Tymczasem pan P. Marciniak, krytykując mój artykuł, popełnił wiele więcej bardziej rażących błędów, niż rzekome moje potknięcia, co zaraz udowodnię. Dodam jeszcze, że polecanych mi publikacji wydanych w Londynie i Paryżu nie czytałem, ponieważ są mi niedostępne, jak również nie mogłem zdobyć książki Władysława Borocha i Jędrzeja Tucholskiego — „Halifax JD 154 nie wrócił", wydanej w bieżącym roku. Poza tym liczne publikacje, z których korzystałem nie były moją własnością, a przechwytywałem je w bibliotekach, zaś artykuł oddałem do druku już w lipcu br., trudno mi więc sprecyzować, w których z nich znalazłem takie czy inne fakty. Dlatego się oprę tylko na publikacjach, które są w moim posiadaniu.

W artykule moim pisałem tylko o wysiłku bojowym załóg 301 Dywizjonu Ziemi Pomorskiej, pod wszystkimi jego nazwami, a nie o lotach nad Polskę i dlatego nie nadmieniłem o wskazanej przez P. Marciniaka brytyjskiej eskadrze 1419 Specjalnego Przeznaczenia, w której Polacy nie latali, a o której nie wspomina żaden z autorów przeczytanych przeze mnie książek.

Autor krytyki podaje, że pierwsza polska załoga zameldowała się w dywizjonie (138 Specjalnego Przeznaczenia) 25 października 1941 r., była to załoga kpt. naw. Stanisława Króla. Natomiast Andrzej Morgała w publikacji zaleconej mi przez p. Marciniaka: „Polskie samoloty wojskowe 1939—1945", W-wa 1975 — informuje na str. 368, że: „...Pierwsza załoga pod dowództwem mjr. nawig. St. Króla została skierowana 9.10. 1941 r. do 138 dywizjonu specjalnego przeznaczenia..." Potwierdza tę datę Bohdan Arct w publikacji: „Trzysta pierwszy nad celem" W-wa 1975, na str. 75: „Trzy pierwsze załogi przydzielone zostały do dywizjonu 138, stacjonującego podówczas na lotnisku Newmarket, w pobliżu Cambridge, dnia 9 października 1941 roku..." Datę tę podają i inni autorzy publikacji lotniczych, ale proszę zauważyć rozbieżność, o której wspomniałem na początku polemiki: Większość autorów podaje, że: „Pierwsza polska załoga...", natomiast Bohdan Arct pisze „Trzy pierwsze załogi..."

Wyszukiwanie przez p. Marciniaka w moim artykule nieścisłości lub potknięć, doprowadziło do zmiany treści przeze mnie podanej, dla wykorzystania znaczenia słów przeciwko mnie. Pisałem w artykule: „...Następna wyprawa nocą z 16 na 17 września była jeszcze tragiczniejsza...", co nie znaczy bynajmniej: najgorsza i najtragiczniejsza, jak pisze Autor polemiki: „najgorsza, a zarazem najtragiczniejsza".

Wreszcie sprawa rozbitego halifaxa F/O Milne'a w rejonie Skalmierzyc. Nie pisałem nic o Nowych Skalmierzycach, ponieważ żaden z autorów publikacji na ten temat, nie użył takiej nazwy miejscowości, a nie chcąc przedłużać polemiki, zacytuję tylko to, co pisze Andrzej Morgała w publikacji: „Polskie samoloty wojskowe 1939—1945" na str. 371: „...w nocy z 14 na 15.IX. 1943 r. „Halifax" pilotowany przez Anglika F/O Milne, przy poszukiwaniu punktów orientacyjnych w terenie uderzył w komin cegielni i spadł na zabudowania w rejonie Szczypiorno-Skalmierzyce (w połowie drogi pomiędzy Ostrowem Wlkp., a Kaliszem). Cała załoga i trzej cichociemni zginęli na miejscu". Zaś na str. 376 tej publikacji znajduje się tabela nr 49, obejmująca 61 pozycji, zatytułowana: „Zestawienie lotów wykonanych na samolotach „Halifax" Mk. II i Mk. V, podczas których dokonano zrzutu skoczków na teren Polski w czasie od 7 do 8.XI.1941 do 30—31.V.1944 r. „Pod pozycją 38 autor podaje: data lotu — 14—15.IX.1943, kryptonim lotu — Neon 9, miejsce startu — Tempsford, D-ca lotu — F/O Milne, liczba skoczków — 3, miejsce zrzutu ———. Uwagi — Samolot rozbity w niskim locie w rejonie Szczypiorno-Skalmierzyce". W zestawieniu tym ani pod tą datą, ani następnymi, nie występuje załoga por. naw. Karola Gębika, o której wspomina pan Marciniak. A dokładność i skrupulatność tej pozycji Andrzeja Morgały jest uznawana przez wszystkich lotników-kombatantów za doskonałą i wiarygodną.

Sądzę, że również błędnym jest twierdzenie pana Marciniaka, jakoby nigdy nie istniała 301 Polska Eskadra Zadań Specjalnych. Bohdan Arct w swej publikacji: „Trzysta pierwszy nad celem", wielokrotnie wymienia tę nazwę eskadry, ale przytoczę tylko dwa cytaty z jego pracy. Na str. 72 pisze: „...jako 301 eskadra do zadań specjalnych, dowodzona przez mjr. obs. Stanisława Króla"., na str. 83: „...301 eskadra pod dowództwem majora Króla przerzucona została wraz z całym dywizjonem 138 na lotnisko Sidi Amor..." Także Andrzej Morgała w wymienianej już publikacji kilkakrotnie wymienia taką nazwę jednostki. Na str. 371 pisze: „...przerzucono lotem Eskadrę 301 do płn. Afryki..." albo na str. 390: „Jedyną polską jednostką posiadającą na wyposażeniu samoloty „Liberator" była 301 Eskadra Specjalnego Przeznaczenia, wchodząca jako eskadra „C"..." Tej samej nazwy używali lotnicy latający nad Polskę i nad Warszawę w tej jednostce, jak por. pil. Jan Cholewa, Zbigniew Neugebauer i inni.

Natomiast przykro mi, że pan P. Marciniak ponownie użył przeinaczenia treści w moim artykule, kierując kolejny zarzut przeciwko mnie. Ja napisałem: „...ale polskie władze lotnicze dla podtrzymania tradycji nadal nazywały jednostkę w swoich pismach służbowych: „301 Dywizjonem Ziemi Pomorskiej". Tymczasem Autor krytyki napisał: „...nie sądzę, by, tak jak to sugeruje Z. J. Chojnacki, przed datą 14.09.1944 r., polskie władze nadały w swych pismach służbowych tytuł: „301 dywizjon Ziemi Pomorskiej" To było przecież wojsko, gdzie obowiązywała dyscyplina wojskowa i gdzie nie tolerowano „dowolności"." Uważam, że jest chyba duża różnica między terminem: „nadal nazywały jednostkę", a „nadały w swych pismach służbowych tytuł". Zresztą nie ja to wymyśliłem, a Wacław Król w publikacji „Polskie dywizjony lotnicze w Wielkiej Brytanii 1940—1945" na str. 126 napisał: „Polskie władze lotnicze, nawiązując do tradycji, w dalszym ciągu nazywały ją jednak w pismach służbowych 301 Dywizjonem Ziemi Pomorskiej".

Jeżeli zaś chodzi o poruszoną przez pana Marciniaka dyscyplinę wojskową, to mógłbym przytoczyć liczne przykłady, szczególnie z lotnictwa brytyjskiego i polskiego w Wielkiej Brytanii, o wielokrotnym nieprzestrzeganiu tej dyscypliny. Nie chcąc rozwlekać polemiki, posłużę się tylko jednym przykładem z książki Bohdana Arcta — „Trzysta pierwszy nad celem", gdzie na str. 98 autor podaje relację por. pil. Jana Cholewy, który wykonał ponad trzydzieści lotów nad Polskę i w tym siedem nad powstańczą Warszawę. Cytuję: „...Wtedy major Arciuszkiewicz, dowódca dywizjonu, na własną odpowiedzialność, bez wiedzy władz brytyjskich, wysłał nad Warszawę trzy załogi. Wśród tych trzech maszyn znalazł się także i mój samolot (...)". Oto jeden z przykładów „konsekwentnej" dyscypliny wojskowej.

Nie mam za złe panu Pawłowi Marciniakowi, że skrytykował mój artykuł, ale jestem bardziej niż On tolerancyjny i nie potępiam Autora krytyki w czambuł, co mnie spotkało, rozumiejąc, że uległ sugestii autorów publikacji, jak ja i przekonany o swej racji i wiarygodności źródeł, z których korzystał zaatakował mnie. Niestety, trudno nam, przeciętnym czytelnikom dociec prawdy wśród licznych publikacji, napisanych przez — naszym zdaniem — ludzi, jak najbardziej predystynowanych do tej misji.

ZBIGNIEW JAN CHOJNACKI

SĘDZIA: ZAWÓD CZY MISJA?

Dawno temu bardzo popularna była anegdotka: sprzedawca warzyw reklamował swój towar w szczególny sposób: „...ludzie — krzyczał — co ja robię, trzymajcie mnie, sprzedaję takie pomidory po dwa złote!".

Dowcip dowcipem, reklama reklamą, ale może warto zastanowić się, czy podobny mechanizm działania... i reklamy nie funkcjonuje na innej niż handel płaszczyźnie naszego życia społecznego. Myślę o tym w kontekście kolejnej edycji egzaminu sędziowskiego, która tym razem przebiegała w nieco innej scenerii i atmosferze niż dotychczas. Ponad dwie setki młodych ludzi, aplikantów, otrzymało szansę orzekania w imieniu PRL. I znów jak od kilku lat wiele osób z tego grona zada sobie pytanie: co ja tu robię...

Właściwie z czystym sumieniem można by powiedzieć: źle się dzieje w sądownictwie, gdyby nie to, że źle się dzieje w paru innych dziedzinach naszego życia społecznego i przechodzi się nad tym do porządku dziennego.

Sprawa jest jednak bardziej skomplikowana.

Zainteresowanie problematyką prawną i prawniczą od kilku lat jest w naszym kraju ogromne. I wciąż rośnie. Nie tylko na fali zwolnień amnestyjnych. Zainteresowanie jest zresztą obustronne. I tych, którzy korzystają z „usług" wymiaru sprawiedliwości i tych, którzy prawo stosują. Ci ostatni patrzą na codzienną praktykę sądów z punktu widzenia podstaw swej egzystencji.

Od kilku lat obserwuje się spory odpływ (ucieczkę?) sędziów od wykonywania tego zawodu. W Łodzi problem może nie jest alarmujący, ale w skali kraju około 300 osób odeszło z wymiaru sprawiedliwości. I to osób w różnym wieku. Zwykle są to ludzie młodzi, około trzydziestki, którzy mają na utrzymaniu dom i muszą utrzymać określony standard życia. Nie są to natomiast sędziowie, asesorzy, początkujący, którzy nie wrośli wprawdzie jeszcze w atmosferę sądu, w klimat codziennych dyskusji o prawie, ale też nadal fascynuje ich „wymierzanie sprawiedliwości". Stąd też w wielu sądach rejonowych brak jest doświadczonych poważnych sędziów w średnim wieku, jest natomiast dużo ludzi bardzo młodych, którzy czasem jeszcze drżą z emocji przed kolejną rozprawą...

Nie wiem skąd wzięło się u nas przeświadczenie, że aby dobrze pracować — wystarczy satysfakcja, że pieniądze to jakby sprawa z marginesu, trochę wstydliwa. Czy to narodowa cecha Polaków, czy też świetnie zaadaptowane na nasz grunt angielskie powiedzenie, że dżentelmeni nie mówią o pieniądzach.

Wiadomo jak wygląda droga do zawodu sędziego, jaka jest struktura wymiaru sprawiedliwości w Polsce. Poza koniecznym wykształceniem prawniczym i odbytą aplikacją, niezwykle potrzebne są także pewne predyspozycje: umiejętność logicznego myślenia, prawidłowej analizy faktów; w tym zawodzie jak chyba w żadnym innym, konieczne jest kompetentne, acz chłodne podejście do każdego przypadku.

Ale właśnie te cechy umożliwiają start także w innych zawodach, przynoszących nadto znacznie, znacznie wyższe dochody. Nie chodzi mi tylko o prace w tzw. prywatnej inicjatywie, ale nawet w zawodach prawniczych. Stąd też najbardziej uzdolnione jednostki, najbardziej operatywne i energiczne po prostu zmieniają pracę. I nie jest to zjawisko, które powinno być oceniane w kategoriach negatywnych.

Satysfakcja osiągana w pracy jest sprawą niezwykle ważną, jest to bezsprzecznie bodziec do lepszej, wydajniejszej pracy. Ale przecież nie można od nikogo wymagać, aby była jedyną motywacją pozostania w pracy. Owszem, jeśli ta satysfakcja byłaby podbudowana mocnym prestiżem społecznym. Ale przecież liczne badania naukowe, których wyniki były publikowane na łamach prasy prawniczej wskazują jednoznacznie, iż autorytet sędziego znacznie się obniżył. Nie chcę analizować przyczyn tego zjawiska. Uczyniono już to wielokrotnie. Chcę natomiast powiedzieć o codziennych drobnych faktach, które je tworzą.

Poziom zarobków sędziów skłania ich niekiedy do szukania innych źródeł dochodów, czyli podjęcia dodatkowej pracy (oczywiście legalnej, za zezwoleniem prezesa Sądu Wojewódzkiego) lub zintensyfikowania pomocy domownikom w ich pracy stanowiącej podstawę materialnej egzystencji rodziny. Cóż, życie. Ale czy w takiej sytuacji, przy takim spiętrzeniu obowiązków można mówić o prawidłowym, pochłaniającym przecież ogromną ilość czasu, przygotowaniu każdej sesji, każdej sprawy, o terminowym sporządzeniu uzasadnień orzeczeń, ba, nawet o punktualnym rozpoczynaniu sesji. Niezwykle bowiem popularny stał się zarzut, że sędziowie w pogoni za dobrami konsumpcyjnymi nagminnie spóźniają się na rozprawy, na dyżury, na posiedzenia... Nie chcę generalizować. Nie twierdzę, że każdy sędzia jest punktualny tylko w dniu wypłaty w kolejce do kasy sądu.

Nie twierdzę, że zarobki są jedynym wyznacznikiem pozycji sędziego, ale sędzia, który błednie na rozprawie słysząc jakie są dochody uczestników postępowania, sędzia który spieszac się nieludzko, chce coś kupić w sklepie z artykułami przecenionymi, korzysta z uprzejmości kolegi adwokata, który podwozi go nowym polonezem, sędzia, który uśmiecha się lizusowsko do strony procesu — pracownika spółdzielni mieszkaniowej — na pewno nie zbuduje sobie autorytetu, na pewno nie wzbudzi zaufania do swojej obiektywności i bezinteresowności, choćby istotnie był bez zarzutu i nigdy nie wykazał jakiejkolwiek stronniczości!

Problem mieszkaniowy to kolejna odsłona dramatu. Trudności w dziedzinie budownictwa mieszkaniowego nie są tajemnicą od wielu lat. To, że różne grupy zawodowe udowadniały konieczność przydzielenia dodatkowej izby czy powierzchni mieszkalnej im właśnie — też nie. Jednak, gdy w grę wchodzą losy ludzkie, wolność, czyjeś bezpieczeństwo czy nawet życie — nie ma chyba miejsca na gradację racji i potrzeb. Tego, o czym wspomniałam wyżej: dokładnego przygotowania każdej rozprawy, wnikliwej analizy materiału dowodowego, rzetelnego uzasadnienia rozstrzygnięcia sądowego — nie można zrobić byle jak, byle gdzie.

Takich możliwości nie ma w sądach, przynajmniej w sądach rejonowych. Zbyt wielu jest sędziów w jednym pokoju, zbyt małe są to pomieszczenia, zbyt duży hałas panuje wokół, zbyt dużo spraw okazuje się nagle jeszcze nie załatwionych... Do tego potrzebna jest cisza i maksymalne skupienie. To, co dla sędziego jest którymś tam z rzędu przypadkiem, kolejnym problemem prawnym — dla każdego z uczestników postępowania jest, być może jedyną sprawą w życiu; jedyną, a więc najważniejszą, sprawą od której zależą jego losy, pozycja, a niekiedy życie. Powtarzam, tego nie można zrobić „na kolanie", będąc wciśniętym między stół, tapczan, szafę, dwoje dzieci, współmałżonka, teściową... Nie można tego zrobić niedbale. I to nie jest już sprawa pojedynczego człowieka czy grupy ludzi, to jest sprawa państwa, które stoi na straży poszanowania prawa przez wszystkich. Nie postuluję, aby tworzyć „salony pracy twórczej" dla sędziów, ale aby sędzia otrzymując nowe mieszkanie, mógł otrzymać dodatkowy pokój, mały pokoik, o powierzchni nie większej niż np. 13 m kw., w którym mógłby spokojnie pracować.

Żmudna jest droga do tego zawodu, jeszcze bardziej trudne jego wykonywanie. A najbardziej przykre zaś to, że sędziowie „wymierzając sprawiedliwość", sami płacą grzywnę za to, że temu fachowi (a może właśnie posłannictwu?) poświęcili się. Grzywna wynosi odpowiednio: aplikant sądowy — 8 tysięcy zł, asesor — 12 tys. zł, sędzia sądu rejonowego — troszkę wyżej. Nawet sędziowie Sądu Wojewódzkiego zarabiają poniżej średniej w tzw. sferze produkcyjnej.

Sumując te rozważania o prestiżu, zastanawiam się czy nie nastąpiło tu przypadkiem odwrócenie racji. Okrutne przerzucenie odpowiedzialności czy nawet raczej nieodpowiedzialności. Bo w końcu, kto ma być odpowiedzialny za ów prestiż, za budowanie, umacnianie autorytetów sądów? Czy prestiż sędziego, jego pozycja w społeczeństwie, to tylko kwestia jego własnych starań, umiejętności, wiedzy, talentu? Czy to nie jest, czy nie powinna to być przede wszystkim sprawa władzy?

Sędzia w naszym systemie legislacyjnym nie tworzy prawa, on je tylko stosuje. Prawo w Polsce jest tworzone przez organ ustawodawczy, najwyższy organ władzy i jest wyrazem jego woli i decyzji, zatem to władza stoi na straży jego poszanowania, przestrzegania i wykonania! Prawo jest i powinno być funkcją autorytetu organów władzy i respektu do nich obywateli.

Nie żyjemy w abstrakcyjnej czasoprzestrzeni, ale w określonych strukturach społecznych, politycznych, administracyjnych i ekonomicznych. Czy fakt, że w ostatnich latach tak znacznie obniżył się autorytet zawodu sędziego, nie jest porażką tych struktur na tej płaszczyźnie ich działania? Czy nie można, choćby przez umiejętną politykę finansową, podnieść rangi tego zawodu, nadać mu wymiar misji, posłannictwa? Chyba można.

BARBARA KEMPA

W kręgu fantastyki

JACEK SAWASZKIEWICZ

Wahadło

(6)

Leżałem kołysząc się łagodnie w hamaku rozpiętym między dwiema palmami na bezludnej wyspie. Bezludna wyspa nie była całkiem bezludna, ponieważ oprócz mnie znajdowała się na niej Renata i widziałem jakiegoś faceta zaczajonego za pobliskim pagórkiem. Wszyscy troje byliśmy nadzy.

Renata stała przed sztalugami i malowała mój akt. Jej ciało pokrywały różnobarwne plamy w miejscach, w których mieszała ze sobą farby, dobierając odpowiedni odcień.

Ten facet za pagórkiem to był Kudłaty. Z ociąganiem podszedł do sztalug, a Renata nie patrząc na niego machinalnie wykonała pędzlem na jego piersi napis: „Appleby Point 26".

— Nie myśl, że ja tak ze wszystkimi — powiedziała do mnie. — Sam widzisz, że to dopiero dwudziesty szósty.

— Dzisiaj — wtrącił Kudłaty, akcentując to słowo. — Numer kolejny mam na plecach.

Odwrócił się do mnie plecami i rzeczywiście miał na nich numer: 2217568.

— Dwa miliony dwieście siedemnaście tysięcy, pięćset sześćdziesiąt osiem — powiedział Kudłaty dobitnie na wypadek, gdybym nie mógł odczytać tego numeru.

— Mój Boże — Renata z niedowierzaniem musnęła palcami czoło, rozmazując na nim zieleń kobaltową. — Pojęcia nie miałam, że tyle się tego uzbierało.

— Nie szkodzi — odparłem i zwróciłem się do Kudłatego. — Rozhecuj mnie.

Postąpił kilka kroków w moją stronę i chyba wreszcie mnie poznał.

— To ja już sobie pójdę — oświadczył i tchórzliwie wycofał się za swój pagórek.

Tymczasem Renata usiadła okrakiem na sztalugach.

— Ja cię rozhecuję — obiecała.

— To już może innym razem — powiedział ktoś za mną.

Obejrzałem się. Szedł ku nam Szef. On także był goły; na nogach miał koturny i zasłaniał krocze zdechłym szczurem, który pod rozdętym różowym brzuchem wyglądał jak korzonek gigantycznego jabłka. Jego świńskie oczka przewiercały mnie na wylot.

— Ten człowiek jest poszukiwany przez milicję — dodał. — Ciążą na nim trzy ciężkie zarzuty. Po pierwsze: nawiązał kontakt z angielskim szpiegiem, Jonathanem T. Smithem o przydomku „doktor", i usiłował mu sprzedać dokumentację pewnego urządzenia. Po drugie: w celach sabotażowych zniszczył telewizor służbowy. Po trzecie: wypił całą butelkę „Jasia Wędrowniczka", rujnując tym samym budżet reprezentacyjny Instytutu.

— Co tam chowasz? — zaciekawiła się Renata.

— Gdzie? — spytał Szef.

— Pod tym zdechłym szczurem.

— To wahadło. Jądrowe.

— Neutronowe — sprostowałem.

— Możesz pokazać? — poprosiła Renata.

Szef przecząco potrząsnął łysym łbem.

— To tajemnica państwowa — odrzekł stanowczo.

Zza jego pleców wyjrzał androidalny robot.

— Jestem — przedstawił się kobiecym głosem — doktor Jonathan T. Smith z Jonathan Smithsonian Hospital. Specjalista od chorób umysłowych. Na co pan cierpi? — zapytał mnie. — Na zaburzenia snu czy na demencję?

— Jestem erotomanem oraz impotentem — wyznałem. — Spotkał się pan już z czymś takim w swojej praktyce lekarskiej? Jestem też cyklofrenikiem. Właśnie zaczęła mi się faza maniakalna. Poza tym kolekcjonuję wahadła.

Doktor Jonathan T. Smith klasnął w metalowe dłonie. Z jam, wykrotów i kretowisk powyłazili docenci i zmienili dekoracje. Leżałem teraz na kanapotapczanie, we własnym mieszkaniu, a Renata tańczyła ognistego kankana z przytupem.

— Kankan z przytupem to jest to, czego ci trzeba — powtarzała, przekrzykując muzykę i chlaszcząc piersiami. — Kankan z przytupem na pewno cię rozhecuje.

Za ławą siedział Kudłaty. Był znudzony.

— Ale mnie to piwo goni — odezwał się. — Renucha, gdzie tu jest kibel?

— Tutaj, tutaj! — zawołała Renata i zachwycona nastawiła mu swoje kolana.

Z kąta wyszedł Szef i oczarowany zakradł się do nich, żeby zobaczyć, co Kudłaty trzyma przed sobą w garści. Aż zacmokał z podziwu. Dostał za to pięścią w brzuch od doktora Jonathana T. Smitha. Oddalił się skulony, popuszczając w spodnie.

Renata wskoczyła na ławę. Strąciła przy tym mosiężny świecznik i popielniczkę.

— Najpierw kozaka, potem trepaka! — oznajmiła.

Powstrzymałem ją gestem.

— Tym mnie nie rozhecujesz — rzekłem.

Spojrzała speszona na mnie i na doktora Jonathana T. Smitha, podczas gdy Kudłaty wpychał do rozporka to, co z niego poprzednio wydobył: wiśniowy krawat w delikatny biały deseń.

— Już wiem — powiedziała. — Przyprowadzę tutaj Zojkę. We dwie rozhecujemy cię, że się wściekniesz.

Tak jak stała wybiegła z mieszkania na ulicę. Doktor Jonathan T. Smith, Kudłaty i ja w milczeniu czekaliśmy na jej powrót. Wkrótce rozległ się gong u drzwi wejściowych.

To nie był gong u drzwi wejściowych, to było bicie pradziadkowego zegara, które wyrwało mnie z pijackiej drzemki. Zegar wybijał godzinę dziewiętnastą, a ja leżałem na kanapotapczanie Renaty i czułem, że nadal jestem zalany w bryzg.

Jakoś się pozbierałem z tego kanapotapczanu, w łazience puściłem wodę do wanny i poszedłem do kuchni, gdzie wypiłem dwie szklanki soku cytrynowego z glukozą. Glukoza wzmacnia organizm. Przynajmniej takie jest zdanie specjalistów.

Po kąpieli ogoliłem się i umyłem zęby. Wypiłem trzecią szklankę soku z glukozą i nagi poszedłem do swojego pokoju. Stanąłem w szeroko otwartym oknie, schnąc w wieczornym upale i wyjrzałem na ulicę.

Ruch na ulicy był niewielki i panowała na niej cisza katakumb. Nieliczni przechodnie śpieszyli do domów, unosząc głowy nad chodnikiem, jakby właściwy grunt znajdował się półtora metra niżej. W nastającym mroku pasemka opalizujących prążków, które obrysowywały kontury tych głów, szyi i ramion były widoczne niczym aura Kirljana.

Z przeciwnej strony ulicy biegła przez jezdnię dziewczyna w kwiecistej sukience. Poruszała się zwiewnie, za każdym krokiem unosząc nad powierzchnię asfaltu rozchylone usta, jakby chwytała powietrze. Biegła prosto na jeden ze stojących samochodów. Swobodnie przeniknęła jego karoserię i w następnym momencie uśmiechnęła się figlarnie, już znad płyt chodnika.

— Halucynacja — wymamrotałem.

— Trdyk-dak — przytaknął pradziadkowy zegar.

— Dzyk-dzak — zgodził się z nim budzik.

— Już bardziej realne są moje sny — podjąłem. — W każdym razie hecują mnie jak diabli. Niech mnie szlag trafi, jeśli zaraz nie pojadę do Zojki.

— Kap-put — ostrzegały mnie krople wody miarowo kapiącej w łazience.

Oczywiście inaczej ułożyłem folię w wannie.

Zojka mieszka po drugiej stronie Miasta, w dzielnicy willowej. Razem z rodzicami zajmuje połowę bliźniaka, przy czym do rodziców należy piętro, a ona samotnie rezyduje na parterze. Na ten parter dostałem się po masce mojego fiata, przez otwarte okno, bo drzwi werandy były zamknięte na klucz. Chodziłem po pokojach, zapalając światła, i mechanicznie rejestrowałem w pamięci wygląd elementów wystroju: brokatowe zasłony na oknach, sekretera, wspaniały antyczny kredens, trochę pomniejszych, antycznych mebli, fotele obite skórą, puszyste dywany, kinkiety, boazerie, kominek, luksusowy telewizor stojący na kurzej łapce, wysokiej klasy sprzęt stereo, w kuchni zaś pełna automatyzacja.

Jeden z pokoi przysposobiony został na kurwidołek. Nie było w nim górnych świateł; boczne, dyskretne światła paliły się przy samej podłodze. Znajdował się tu gruby materac okryty włochaczem spływającym na podłogę, gdzie pełnił funkcję dywanu, barek, adapter i szafa, w której oprócz koszulek nocnych i peniuarów wisiały tylko meskie pidżamy w różnych rozmiarach. Naprzeciwko mnie wznosił się pięcioskrzydłowy jedwabny parawan, a obok niego, w rogu — szklana kabina z natryskiem. Ta kabina była czymś w rodzaju teatru jednego cienia; tutaj Zojka dla specjalnych gości wystawiała swój monodram.

— Nieźle cię urządził ten łysy, spasiony szczyl — powiedziałem. — On i inni. Dbają chłopcy o ciebie i o swoją przyjemność.

Otworzyłem barek. Wyjąłem z niego baton białej czekolady. Obejrzałem etykietki na butelkach i postanowiłem zaufać „Vat 69". Z batonem i butelką szkockiej przeszedłem do łazienki. W łazience zastałem Zojkę.

— Co za urocze spotkanie — powiedziałem do jej głowy wystającej z kratek na posadzce.

Zojka szykowała się właśnie do kąpieli, wyjmując spinki z włosów i nie odrywając wzroku od kolumny maskującej kolanko pod zlewem. Chyba była rozebrana, bo nawet ramiączek halki nie mogłem dojrzeć na jej ramionach przeświturających między kratkami na posadzce. Potem głowa Zojki przeniknęła bok wanny i zanurzyła się w niej, znikając całkowicie pod dnem.

— Nie siadaj! — krzyknąłem. — Wstań! O rany boskie, wstawaj!

Zojka jednak usiadła, głucha na moje prośby, i przestałem ją widzieć.

Wanna nie była obudowana ze względu na swój kształt stylizowany na osiemnastowieczną modłę. Wyglądała jak balia i stała na sześciu grubych, wysokich, szponiastych łapach. Ukląkłem i zajrzałem pod nią z nadzieją, że coś tam zobaczę. Zobaczyłem jedynie rękę Zojki zaciśniętą na czymś obłym. Prawdopodobnie Zojka skrapiała głowę szamponem. Najważniejsza reszta znajdowała się dużo niżej, gdzieś pod posadzką.

Klęcząc pocieszyłem się paroma łykami szkockiej i zagryzłem batonem czekoladowym.

A może — pomyślałem — warto na to popatrzeć z drugiej strony?

Wstałem i szorując bokami o ściany zbiegłem po schodach do piwnicy. Przez chwilę miotałem się tam w tych ciemnościach, aż nagle zamarłem — cały w oparach gorącego erotyzmu. Tak, warto było na to popatrzeć z drugiej strony.

Obrysowane pasemkiem opalizujących prążków ciało Zojki wisiało pod sufitem w pełnej krasie. Nie, nie wisiało, raczej siedziało, o czym świadczyły jej nogi ułożone w stosunku do tułowia pod kątem prostym, i jej pośladki rozpłaszczone na dnie niewidzialnej wanny. Miałem te pośladki na wysokości oczu, prawie przed samym nosem.

Bez pośpiechu obszedłem wokół ciało Zojki, a później zatrzymałem się między jej rozchylonymi nogami i przykucnąłem pod ścianą. Tym razem Zojka wystawiała swój monodram wyłącznie dla mnie i to nie w teatrze jednego cienia, ale w teatrze jednego aktora i w blasku jupiterów. Z odległości metra widziałem ją cudownie wyraziście i nawet kiedy wstała, żeby się podmyć, w stropie zniknęła tylko jej górna część, najważniejsza reszta nadal wyczyniała taneczne wygibasy przede mną.

Poczułem, że drżą mi łydki, i wytrysnęło ze mnie ciepło w ciasnotę kąpielówek. Odczekałem, aż wyrówna mi się oddech, i pociągnąłem łyk z butelki. Zojka włożyła na siebie mgielną podomkę do połowy ud, poszła do następnego boksu piwnicznego, gdzie znowu usiadła pod sufitem, tyle że w innej pozie: przodem do ściany i z nogami zgiętymi w kolanach. Rozczesywała mokre włosy.

— *Umyłaś głowę* — *powiedziałem* — więc dzisiaj nie będzie sztafety, co? Czy może będzie?

Odpowiedziało mi wycie. Było tak odległe i przytłumione, że z początku uznałem je za złudzenie. Ale powtórzyło się.

Wróciłem po schodach na górę i podszedłem do otwartego okna. Wycie rozległo się po raz trzeci. Było donośne, długie i potępieńcze. W ten sposób jakiś przybysz z planety Kanibalia mógł przywabiać innych Kanibalian. Albo doktor Jonathan T. Smith dawał sygnał końca weekendu. Albo też docenci z Instytutu podłączyli do swojego urządzenia dodatkową przystawkę i wywoływali w moim umyśle halucynacje słuchowe.

Chwiejnie ruszyłem do kurwidołka Zojki. Postanowiłem trochę odpocząć na jej materacu, a potem znieść do piwnicy ten materac i nieco zapasów z barku, by w komfortowych warunkach obejrzeć sobie, jak Zojka zalicza sztafetę.

Padł daleki strzał i jednocześnie ciszę nocną rozdarł skowyt. I znowu padł strzał, po którym ponownie zapadła cisza.

Obudziłem się, kiedy słońce stało już wysoko. Leżałem na materacu w kurwidołku Zojki i tuliłem do serca szczelnie zakręconą butelkę „Vat 69". Byłem wypoczęty, niemal trzeźwy i zdecydowanie mniej połamany, obolały i rozbity niż wczoraj. Byłem już głodny. Naglony tym głodem, wciąż tuląc do serca butelkę szkockiej, przetrząsnąłem pawlacze i obie lodówki w kuchni Zojki. Na śniadanie, które zjadłem z apetytem, zaserwowałem sobie pieczywo, masło, dwa plasterki szynki z czarnym kawiorem, udko kurczaka, kawałek wędzonej polędwicy i neskę. Neskę zaparzyłem w dzbanku o pojemności litra, bo mimo wszystko cokolwiek mnie suszyło. Na koniec zaprosiłem się na pół szklaneczki „Vat 69", by podtrzymać pogodny nastrój wewnętrznej harmonii.

Nagle odstawienie alkoholu może wywołać przykre objawy. Przynajmniej takie jest zdanie specjalistów. Po namyśle doszedłem do wniosku, że warto dodatkowo zabezpieczyć się przed tymi objawami i wlałem do szklanki resztę szkockiej. Popiłem nią witaminy, które znalazłem w apteczce Zojki. Witaminy są niezbędne do prawidłowego przebiegu procesów życiowych. To także jest zdanie specjalistów.

Przypomniały mi się zdarzenia z wczorajszego wieczora i z przykrością uświadomiłem sobie, że przespałem frapujące widowisko.

— Dzisiaj go nie prześpię — zapewniłem docentów. — Dzisiaj będę oglądać tę sztafetę, dopóki ostatni zawodnik nie dotrze do mety, dopóki nie zapadnie kurtyna.

Zszedłem po schodach do piwnicy, żeby powtórzyć to Zojce. Ale w piwnicy były tylko graty i mroczne cienie w boksach.

No tak — pomyślałem. — Przecież dziś mamy poniedziałek. Ona jest teraz w pracy.

Wracając na górę sprawdziłem godzinę na ręcznym zegarku. Było już po trzynastej. Ja też powinienem być teraz w pracy. Powinienem siedzieć w gabinecie Szefa i tłumaczyć się, dlaczego nie załatwiłem Sprawy.

Domek Zojki opuściłem tą samą drogą, którą się tu dostałem. Cofnąłem fiata spod otwartego okna i zanim wjechałem na jezdnię, popatrzyłem na boki. Przechodniów nie było zbyt wielu i przeważały wśród nich kobiety. Właśnie zbliżała się jedna, dosyć młoda, ubrana w przewiewną bluzeczkę głęboko wydekoltowaną. Równo z linią tego dekoltu przecinały ją płyty chodnika. Reszty jej ciała nie widziałem, więc może była wydekoltowana jeszcze głębiej. Miała ładne piersi.

— Podskocz! — zawołałem do niej przez otwartą szybę. — Podskocz trochę!

Zamiast niej podskoczył chłopiec, którego prowadziła za rękę, i wyglądało to tak, jakby sprawdzał, co dzieje się na powierzchni, i z powrotem dawał nurka pod chodnik. Kobieta przeniknęła przez drzwiczki fiata; jej głowa oddzielona od szyi podwozem samochodu prześliznęła się chybotliwie wzdłuż siedzenia pod moimi kolanami i wychynęła po przeciwnej stronie wozu.

Środkiem jezdni przesuwała się ścieśniona grupa ludzi. Ci, co byli na zewnątrz, sunęli zanurzeni w asfalcie do pasa, pozostali tworzyli zbite stadko i jezdnia sięgała im tylko do kolan. Prawie wszyscy trzymali ręce wyciągnięte przed siebie lub uniesione w górę i wszyscy podrygiwali w tym samym rytmie. Byli to pasażerowie autobusu. Kierowca siedział z przodu na wyimaginowanym fotelu, opierał stopę na wyimaginowanym pedale gazu i kręcił wyimaginowaną kierownicą. Wyglądało to zabawnie. Jakiś czas jechałem za nimi, żeby nacieszyć oczy tym widokiem. Wyprzedziłem ich przed Parkiem Kultury i Wypoczynku i przyśpieszając zobaczyłem psa leżącego na jezdni. Mogłem go z łatwością ominąć, ale nie zrobiłem tego, bo zabawa z tymi zjawami zaczynała mnie wciągać.

— Przejechałeś psa — powiedział fiat.

Roześmiałem się.

— Przejechałeś psa — powiedział fiat powtórnie. — Nie czułeś tego?

— Oczywiście, że czułem — odpowiedziałem mu ze śmiechem. — Podrzuciło cię, aż łomotnęły amortyzatory.

Rzeczywiście nas podrzuciło — pomyślałem i z całej siły nacisnąłem hamulec.

Na wstecznym biegu podjechałem do tego psa. Był wielki i płowy; leżał na boku, z otwartymi ślepiami i z otwartym pyskiem, na którym skrzepła krew. Krople skrzepniętej krwi widoczne były także wokół zwierzęcia. Pochyliłem się nad nim i dotknąłem go. Pod palcami poczułem gęstą skudłaconą sierść. To nie było złudzenie, ten pies istniał naprawdę. Był realny i martwy od kilku godzin.

Przewróciłem go na prawy bok i ukazał mi się dość okropny widok. Przypomniałem sobie nocne wycie i strzały — odgłosy walki, która stoczyła się tutaj, a ja teraz miałem przed sobą jej rezultat. Ten pies może był agresywny, może nawet wściekły i należało go zabić. Ktoś uzbrojony stał gdzieś w tej okolicy. Tropił to zwierzę, niewykluczone zresztą, że ono zaatakowało tego kogoś. Pierwszy strzał, oddany w momencie zaskoczenia czy zawahania, był niezbyt dokładny. Kula rozorała psu mięśnie szyi i zdruzgotała mu lewą stronę pyska. Pies skowycząc z bólu i strachu przebiegł parę metrów, kiedy dosięgła go druga kula skierowana tym razem precyzyjnie pod łopatkę.

To mi nie wyglądało na przypadkową ofiarę wojny atomowej, ani na trofeum doktora Jonathana T. Smitha, który polując podczas weekendu pomylił psa z zającem, ani tym bardziej na robotę przybyszów z planety Kanibalia. Prędzej skłonny byłbym uznać, że to docenci z Instytutu wyposażyli swoje urządzenie w kolejną przystawkę, zdolną wywoływać halucynacje dotykowe.

C.D.N.

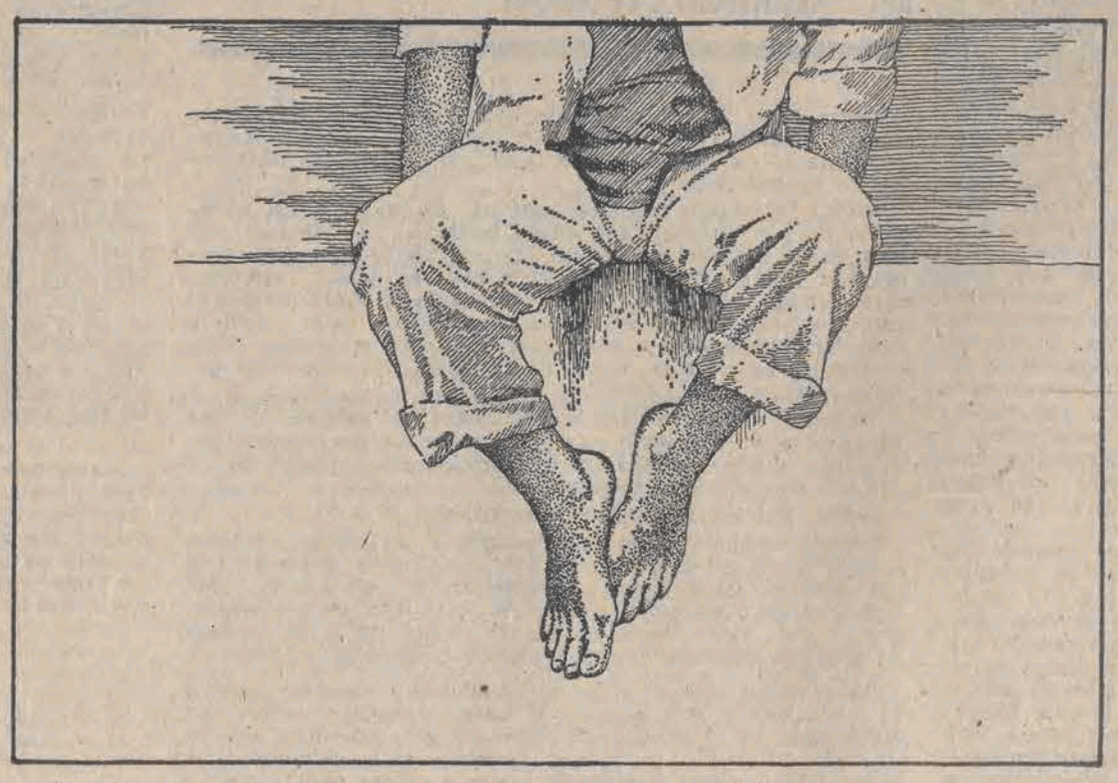

Rys. Janusz Szymański-Glanc

1

Nagłe zastępstwo

Co my tu robimy?

Jak powszechnie wiadomo z plotek redakcja „Odgłosów" zajęła nowy lokal. Bez fałszywej skromności można powiedzieć, że zajęła należne sobie — od dawna należne — miejsce. Na trzynastym piętrze najwyższego w mieście gmachu. „Niebo gwiaździste (i telewizja) nad nami. Prawo Prasowe w nas". Pod nami cała Łódź i Wojewódzkie Miejskie Łódzkie... Ot co!

Domyślam się, że wszyscy nasi Drodzy Czytelnicy chcieliby odwiedzić redakcję w jej nowej siedzibie. Zapraszamy jak najserdeczniej — drobne podarunki „na osiedliny" mile widziane.

Tym niemniej — z najróżniejszych powodów — większość czytelników nie odwiedzi nas i dlatego właśnie postanowiłem opisać nowy lokal na użytek ciekawskich. Co byłby to za opis, gdyby zabrakło w nim ludzi? Przeto przedstawię po prostu, co zastałem w lokalu redakcji w dniu 23 stycznia w godzinach przedpołudniowych. Przy okazji będzie to zbiorowa odpowiedź na ankietę „Polityki" pn. „Co ja tu robię?"

Otóż, Szanowna Redakcjo „Polityki" i Wy, najmilsi Czytelnicy, my tu robimy najróżniejsze rzeczy... Ale po kolei.

Dnia 23 stycznia roku bieżącego (powinienem napisać 1985-01-23, ale mi to jakoś z trudem przez gardło i przez maszynę do pisania przechodzi), wkroczyłem do lokalu redakcji. W sekretariacie przywitała mnie chłodno nasza sekretarka, pani Bogusia. *Wyciągnęła do mnie rękę w charakterystycznym geście dam z wyższych sfer i dostojników kościelnych.* Pocałowałem wyciągniętą dłoń z niejakim zdziwieniem — w starej redakcji pani Bogusia taka majestatyczna nie była...

— Szef jest? — zapytałem, czując jednocześnie, że się jakoś wewnętrznie kurcze w sobie.

— W zasadzie nie ma, jeśli jednak ma pan coś naprawdę pilnego, to będzie wolny między jedenasta dwanaście a jedenasta dwadzieścia trzy i wtedy pana jakoś upchnę między dwoma innymi petentami. Najlepiej byłoby jednak, gdyby pan swoją sprawę krótko i treściwie przedstawił na piśmie...

To mnie już zdenerwowało lekko i bez żadnego poszanowania zwierzchności wtargnąłem do gabinetu Naczelnego.

Wyskoczyłem niemal tak szybko jak wtargnąłem... Oczom moim przedstawił się bowiem widok straszny: Red. Nacz. siedział na wysokim fotelu za ogromnym, rzeźbionym biurkiem z czarnego mahoniu. Biurko i fotel znajdowały się na półmetrowej wysokości podeście. Na wprost biurka widniał klęcznik obity purpurowym suknem taki jaki zobaczyć można tylko w kościołach. A na klęczniku, w pozycji penitenta (ręce splecione na piersiach, głowa w najniższym skłonie) nie kto inny tylko... felietonista Stefan Życiowy! Zupełnie oszalał czy co?

Zamknąłem drzwi i wyskoczyłem z sekretariatu jak oparzony. W drzwiach naprzeciw urzęduje zastępca naczelnego, statystyk i futurolog, zwany Tomaszem Pierwszym Mocnym, a ostatnio także Szogunem Toranaga. Facet, któremu już w starej redakcji lepiej było schodzić z oczu. Tym bardziej teraz... Pewnym krokiem wszedłem do pokoju sekretarza redakcji, Grażynka, zawsze uśmiechnięta i łagodna nie mogła się aż tak zmienić?

Może się i nie zmieniła. Nie wiem. Zza ogromnej sterty papierów nie było jej widać. Podobno jeszcze porządkuje papiery po przeprowadzce. Zajmie jej to jeszcze z miesiąc.

Zbiegłem pośpiesznie na dwunaste piętro. Tu mieszczą się pokoje kolegów. Zaraz poczuję się raźniej!

Na drzwiach najokazalszego gabinetu wizytówka: Andrzej Makowiecki. Wchodzę śmiało, bez pukania, pełny luz. I rzeczywiście... Mistrz siedział w fotelu, na kolanach trzymał apetyczną blondyneczkę w cokolwiek niekompletnej odzieży. Panienka tłukła w maszynę do pisania, a Makowiecki dyktował jej kolejny odcinek „Rapiera Napoleona". Na biurku stały dwie szklaneczki, a w nich płyn złotawego koloru. Niezawodnie nektar jabłkowy made in Dwikozy, którym redaktor Makowiecki zwykł się pokrzepiać w czasie pisania...

Zamieniłem z pisarzem kilka słów w językach zachodnich, których wprawdzie nie posiadam, za to Mistrz zna je w nadmiarze i starcza to za nas dwóch. W lepszym nastroju, po szklaneczce nektaru, która łaskawie napełniła mi osobista maszynistka Znanego Pisarza, przeszedłem do sąsiedniego pomieszczenia, w którym pracował Janusz Szymański-Glanc. Powstawała kolejna ilustracja do „Rapiera". Znanemu grafikowi pozowała felietonistka Biurowa.

— Wejdź śmiało! — zawołała Biurowa, nieskrępowana zupełnie swoim kostiumem. (Państwo się domyślają, w jakim kostiumie pozuje się Szymańskiemu-Glancowi).

Zamknąłem za sobą cicho drzwi i przeszedłem do dalszych pomieszczeń. W pokoju pomalowanym w czarno-białe kwadraty, który okazał się być siedzibą Jerzego P. odbywała się partia szachów. Jerzy P. zamyślony, od czasu do czasu odrywał się od szachownicy. Spoglądał w dal i coś zanisywał na karteluszku. Domyśliłem się, że szkicuje kolejne „Spojrzenia znad szachownicy". Tymczasem jego partner, Ryszard Binkowski zwany „polskim Chandlerem" albo, trafniej moim zdaniem, „małym Chandlerem" bezczelnie oszukiwał. A to poprzestawiał Jerzemu P. piony, a to schował wieżę, a to zręcznym ruchem zmienił maść koniowi z białej na czarną i w ten sposób zagonił konika do swojej stajni. Awantura wisiała w powietrzu...

Obok pracowały panie. Trudno powiedzieć, żeby pracowały intensywnie. Prawdę powiedziawszy przymierzały jakieś kiecki. Właśnie kiedy wszedłem, kiecka ze zrzutów paczkowych opinała rubensowskie kształty felietonistki Agaty, *zwanej — ze względu na te kształty właśnie* — Paczusiem. Sufrażystka Jolanta Wronska spoglądała na kiecką z udawaną obojętnością, wypuszczając wielkie kłęby dymu z cygara. Bogda Madej przymierzała rękawice bokserskie, które nie wiadomo czemu zaplątały się w odzieżowym zrzucie.

O innych zajęciach, uprawianych przez pozostałych kolegów, a także o pozostałych pokojach redakcyjnych kiedy indziej — i tak rozrósł mi się ten felieton. Niepotrzebnie — w nowym lokalu redakcja płaci honoraria ze starego portfela...

ANDRZEJ KAROL

2

Nie ma żartów

Z czego tu żartować, gdy za oknem mróz, wiatr gwiżdże, rury pękają i co chwila człowiekowi grozi jakieś niebezpieczeństwo. Słucham uważnie prognoz w radiu i wiem przynajmniej co mnie czeka. W Suwałkach sypie śniegiem, nad Bałtykiem cieplej, a w środku Polski poniżej 10 stopni mrozu. Najpierw ludzie czekali z niecierpliwością na prawdziwą zimę, a teraz zaczęli wzdychać do cieplejszego powietrza. I oto nadeszło.

W „Życiu Warszawy" nawet napisali, że „powracających z pracy warszawiaków zaskoczył deszcz". Radia w tej Warszawie nie słuchają? Przez okno nie patrzą? Przecież wszystkim, kto się tylko chciał tym interesować, było wiadomo, że idzie odwilż. Chmurka w telewizji też o tym mówiła. A meteorolodzy nauczyli się już prognozować dość dokładnie. Prognozy meteorologiczne różnią się dużo na korzyść od prognoz gospodarczych. Jak meteorolodzy mówią, że idzie zima, to nie ma prawa ona nikogo zaskoczyć, kto uważnie słucha tych prognoz i poważnie je traktuje. Jak mówią, że idzie ocieplenie, to nie ma wątpliwości, że pocieknie z dachu i będzie padało.

Ale myśmy się już przyzwyczaili do tego, że pogoda musi nas zaskakiwać. No, i wszyscy ślizgali się po marznącym na chodnikach i jezdniach deszczu. W Warszawie MPO ponoć nie dało się zaskoczyć, dozorcom było natomiast zupełnie obojętnie, czy na chodnikach leży śnieg, błoto czy lód. Zupełnie jak w Łodzi. Tylko Pogotowie miało więcej pracy i więcej gipsu zużyto...

Człowiekowi trudno jednak dogodzić. Mróz na dworze — źle. Odwilż — też źle. Latem leje — niedobrze. Są upały — jeszcze gorzej. Mnie też zresztą trudno dogodzić, choć upały mi nie przeszkadzają, a śnieg i mróz bardzo lubię, jeśli w mieszkaniu jest ciepło, w telewizji idzie ciekawy program, jest co poczytać, no, i łyk czegoś smacznego znajdzie się. W takich warunkach nawet deszcz mi nie przeszkadza. Niech sobie o szyby dzwoni, niech bębni, a mi ciepło i przyjemnie. Trudno mi jednak dogodzić, gdy mróz szczypie w policzki, a na postoju taksówkowym „kilometrowa" kolejka. I na dodatek obok postoju stoją wolne taksówki. Tak było w sobotę, 19 stycznia 1985 roku, na postoju koło Dworca Fabrycznego.

Było już późno. Do domu śpieszno. Mróz jakby zelżał, ale jeszcze dawał o sobie znać. Postanowiłem pojechać taksówką. Pomysł szaleńczy, ale człowieka i na szaleństwa powinno być stać. Ustawiłem się w długiej kolejce czekających na łaskawość taksówkowego losu. Rozglądam się wokół. Za mną kolejka rośnie, jakiś pociąg widać przyjechał. Ludzie przytupują. A taksówki podjeżdżają wcale nie tak szparko, jakby się tego oczekiwało. Rozglądam się dalej i widzę, że kilka taksówek stoi nie opodal postoju i na coś czeka. Na lepsze czasy, czy co?

Naliczyłem tych taksówek... 13. Zastanowiło mnie to, powiedziałem sąsiadom w kolejce, że zaraz wrócę i poszedłem się przyjrzeć tym taksówkom. Na co czekają? Chodząc tak po placu przed Dworcem Fabrycznym wpadłem na szatański pomysł. Wyciągnąłem z kieszeni długopis i kartkę papieru i zacząłem zapisywać numery stojących taksówek. Zaraz kilku kierowców wyrosło jak spod ziemi i ruszyło albo na postój po pasażerów, albo odjechało w ogóle sprzed Dworca Fabrycznego. A jeden z taksówkarzy, widząc, że zapisuję numer jego taksówki, poradził mi, abym wsunął sobie ten papier tam, gdzie się papieru na ogół nie wkłada...

Nie wymieniam zapisanych numerów taksówek, bo nie mam gwarancji, że następnego dnia wieczorem nie stało w tym samym miejscu drugie tyle wolnych i nie wiadomo na co czekających taksówek. Gdyby to jednak kogoś zainteresowało, to mogę w każdej chwili numery te udostępnić.

Te taksówki, które są, a których nie ma, skojarzyły mi się z... UFO. Otóż załoga samolotu AN-24 lecącego z Warszawy do Wrocławia widziała nad Łodzią UFO. Przypominam, że UFO to nie określony rodzaj pojazdu, jak to się często niektórym kojarzy, ale niezidentyfikowany obiekt latający. Coś co jest, a czego nie ma. UFO obserwowano przez 18 minut. Znajdowało się ono o 15 stopni od Jowisza. Zmieniało położenie i barwę. Natomiast naziemne radary, którymi kontrolowano korytarz powietrzny, jakim leciał AN-24 do Wrocławia, nie stwierdziły w tym czasie żadnego latającego obiektu. Załoga go widziała, radary nie. Było UFO i nie było UFO. „Kurier Polski" w tej sytuacji zwraca się z prośbą do wszystkich, którzy widzieli nad Łodzią UFO, żeby napisali do gazety. Może ktoś trzeci coś widział, czego nie widziały radary?

Nie zdziwiłbym się więc wcale, gdyby w odpowiedzi na ten felieton okazało się, że w sobotę, 19 stycznia 1985 roku, gdzieś około godziny 19, przed Dworcem Fabrycznym nie tylko nie było mnie, ale w ogóle kolejki po taksówki, stojących na parkingu taksówek, a także w ogóle postoju taksówkowego. Że wszystko to „wymyśliłem" jak załoga AN-24 swoje UFO.

No, a numery zapisane na kartce?

Śmiać się i żartować zupełnie nie ma z czego. Meteorolodzy zapowiadają mrozy. W najbliższych dniach ponownie zaskoczy nas zima. Zresztą już pada śnieg. Dozorcy i inne służby komunalne mogą jednak spać spokojnie. Po każdym mrozie nieuchronnie musi przyjść odwilż. Wszystko stopnieje i wsiąknie w ziemię. A ziemia bardzo potrzebuje wody.

Byle więc do wiosny!

ZENON POROWATY

3

Spojrzenie znad szachownicy

Czang i Eng

Kiedyśmy zespół wespół zwiedzali nowe lokale „Odgłosów", zachwytom i cmokaniom nie było wprost końca. Jeden Jerzy z „Expressu" zachowywał się jakoś nie bardzo. Serdecznie witany przez urocze panie i eleganckich panów z firmy obszedł całe dwa piętra i na początek stwierdził, że wśród podobnych wytworności wykonywanie jakiejkolwiek pracy okaże się najpewniej po prostu w złym guście. Potem — najwyraźniej zauroczony mnogością korytarzy i korytarzyków — dorzucił łaskawie, że nieźle udawać się będzie natomiast gra w berka. Kiedy zaś zajrzał do jednej i drugiej ściennej szafy, raz jeszcze zmienił zdanie i zaczął zachwalać relaksowe walory zabawy w chowanego.

Zostawszy na moment sam, Jerzy pomyślał z kolei cichutko — bardzo wstydząc się zresztą podobnych myśli — że gdyby Wydawca szarpnął się jeszcze trochę i fundnął redakcji leżanki, wówczas przynajmniej na jednym piętrze dałoby się urządzić takie małe wielkomiejskie Skiroławki. I to byłoby mniej więcej to, o co nam tak naprawdę chodzi.

2.

Tu oczywiście wyczulony na wszelkie prasowe manipulacje czytelnik ma prawo zapytać, skąd niby niżej podpisany wie, co Jerzy z „Expressu" sobie myślał i do tego po cichu?! No właśnie, skąd ja to wiem... Na temat swoich związków z tamtym facetem składałem już szereg różnorodnych oświadczeń, zmieniając je zresztą i wycofując co trochę, zależnie od potrzeb i okoliczności; czas jednak najwyższy powiedzieć prawdę, całą prawdę i tylko prawdę, jak na spowiedzi albo przed sądem. Powiemy ją, a jakże, wszelako słowami Marka Twaina, nic bowiem nie robi tak dobrze w kłopotliwych okolicznościach, jak powołanie się na jakiś dawno już umarły autorytet.

Twain opisał był swego czasu historię syjamskich braci, Czanga i Enga; jest to historia, która jak ulał pasuje do sytuacji i wszystko logicznie wyjaśnia. Proszę, posłuchajcie:

3.

„(...) Jednakże Czang jest z zasady nieubłaganym wrogiem wszelkiego nieumiarkowania, Eng zaś przeciwnie, nie zna miary, jeśli idzie o konsumpcję alkoholu; prawdopodobnie bowiem, choć uczucia i popędy bliźniaków są ściśle od siebie uzależnione, myśli ich i poglądy są całkowicie swobodne i niezależne. Czang należy do towarzystwa wstrzemięźliwości Dobrych Templariuszy; Eng co chwila upija się do nieprzytomności, co wpływa również na stan Czanga. Sprawia to temu ostatniemu wiele przykrości i czyni bezużytecznymi jego wysiłki na polu propagandy antyalkoholowej. Skoro tylko pragnie stanąć na czele procesji towarzystwa wstrzemięźliwości, zjawia się obok niego natychmiast Eng, pijany jak bela, co udziela się jego ideowemu bratu. Wtedy obydwaj zaczynają okropnie wrzeszczeć i wyć oraz obrzucają poczciwych Templariuszy błotem i kamieniami; oczywiście wpływa to kiepsko na powodzenie procesji. Karanie Czanga za przewiny Enga byłoby krzyczącą o pomstę do nieba niesprawiedliwością, z tego też względu Dobrzy Templariusze nie zwracają uwagi na te wybryki i znoszą wszystko w milczeniu. Rzecz ta zresztą została zbadana przez fachowców i skończyła się zupełną rehabilitacją Czanga. Pojono nawet Czanga gorącą wodą z cukrem, Enga zaś jednocześnie wódką; po 25 minutach stwierdzono, że niepodobna ustalić, który z nich jest bardziej pijany. Obaj byli zupełnie nieprzytomni z przepicia — efekt, który mogła wywołać jedynie grzana wódka. Obyczaje Czanga były jednak tak nieskalane, sumienie jego tak czyste, iż uznano powszechnie, że jest on pijany fizycznie, nie zaś moralnie. Zgodnie z wszelkimi zasadami moralności człowiek ten był całkiem trzeźwy, tym bardziej niepokoiło więc jego przyjaciół, kiedy witał się z latarnią lub też starał się nakręcić swój zegarek kluczem od bramy. Z tych uroczystych ostrzeżeń wynika morał, a przynajmniej z tych uroczystych morałów — szereg ostrzeżeń. Mniejsza o to, coś w każdym razie wynika. Baczmy na to i wyciągnijmy z tego wnioski".

4.

Otóż to, Twain ma rację i nikt nie ujałby tego lepiej od Twaina. BACZMY NA TO I WYCIĄGNIJMY Z TEGO WNIOSKI. Z TYCH UROCZYSTYCH OSTRZEŻEŃ WYNIKA MORAŁ, A PRZYNAJMNIEJ Z TYCH UROCZYSTYCH MORAŁÓW — SZEREG OSTRZEŻEŃ. MNIEJSZA O TO, COŚ W KAŻDYM RAZIE WYNIKA.

Dodawanie czegokolwiek do tych nad wyraz klarownych zdań wielkiego stylisty, który kładł podwaliny pod współczesną amerykańską prozę — byłoby jawną bezczelnością, na na którą nigdy bym się nie odważył. Jerzy z „Expressu", mam nadzieję, też nie. Raz przynajmniej w czymkolwiek jesteśmy zgodni; być może w przyszłości dojdzie do tak wielkiego zbliżenia stanowisk, że wręcz zlejemy się w jedność.

JERZY P.

4

Felieton pesymistyczny

O wyższości wariantu I nad II i odwrotnie...

Szanowny Panie Redaktorze.

Przesyłając w pierwszych słowach — jak zwykle — moc serdeczności dla całej Redakcji, przepraszam też, iż nie odezwałem się znów czas jakiś, ale zajęć w naszym sanatorium zaordynowano nam taką ilość, że na pisanie pamiętników, na, ba, zwykła korespondencję już sił nie staje.

Wspominany wielokrotnie Łysol, który w tak zwanym międzyczasie awansował na zastępcę Głównego Terapeuty, stwierdził prawdopodobnie, że zbyt się spoufalił z wieloma szeregowymi pacjentami, a i ci traktują go jak starego kumpla. Wymyślił więc iście diabelską w swej przewrotności terapię grupową którą umownie nazwał „Warianty". Jak Panu wiadomo zapewne, łykamy tu masę różnych piguł, a czasem niestety i bez zastrzyków ślicznych się nie obejdzie. Wszyscy zabijamy się za zielonymi pigułami, bo uspokajają, rozluźniają, a jak się dwie — trzy weźmie, to i dzieciństwo się przypomni sympatyczne i z dziewczynami różne łamance. Te niebieskie już takie dobre nie są — otumaniają głównie i to na kilka dni. Ale najgorsze — te czerwone, w trzewiach pali, mowę odejmuje, nawet na siostrę nie ma człowiek siły krzyknąć. Próbujemy je zresztą oszukiwać, ale stoją nad głową, pilnują, a i język każą często pokazać, czy się w ustach tej zarazy nie schowało.

Reszta, to takie różne witaminy, a, są jeszcze zastrzyki z żółtych ampułek. Tych się boimy, jak ognia, d... tydzień piecze a pacjentowi pada na mózg: do domu chce, o ciężkiej, rzetelnej pracy coś bez sensu plecie, o odpowiedzialności, uczciwości jednym słowem — straszne!

No i właśnie przyszedł Łysol któregoś dnia do naszej świetlicy. My z gratulacjami, jak do kumpla, a on nas gestem ręki wyhamował, wlazł za stół i powiada:

— Moi drodzy, w przyszłym miesiącu zmieniamy wam kombinacje leków. Na wiosenną. Aby było sprawiedliwie, albo idźmy dalej — demokratycznie, możecie całą sprawę przedyskutować. Proponujemy wam bowiem kilka wariantów. I tak: wszyscy biorą obowiązkowo po jednej niebieskiej. Kto weźmie po dwie przez tydzień, nie dostanie już czerwonej, inni — normalnie — w soboty i niedziele. Kto wybierze wariant niebieska i czerwona ten w nagrodę co drugi dzień otrzyma waszą ulubioną — zieloną. Dla tych, którzy zdecydują się brać czerwoną bez niebieskiej też będzie premia: bez żółtych zastrzyków w dni wizyt. Ale za zastrzyk dajemy dwie zielone. No to kochani — wybierajcie, macie miesiąc. Aha, mały drobiazg: wybieracie oczywiście jeden wariant dla wszystkich...

I zaczęło się. Dyskusje, kłótnie, wyliczenia na papierze i parapetach kilku starszych stażem zorganizowało w izolatce ekspresowy punkt konsultacyjny. Powstawały różne skrzydła, odłamy, grupy nieformalne, lobby wręcz, tu i ówdzie słyszało się o przypadkach przekupstwa, wykorzystywania układów i stanowisk w celu przekonania opornego do danego wariantu. Ależ ma głowę ten Łysol! Inne sprawy zeszły na plan dalszy, były wręcz nieważne; nikt nie narzekał już na kiepską kuchnię, nieczynne automaty telefoniczne w korytarzach, czy kontrolę naszej korespondencji. Temperatura wielu spotkań i dyskusji była taka, że mimo tęgich mrozów otwierać trzeba było okna. Nikt oczywiście nawet uwagi nie zwrócił na pęknięty kaloryfer, to były naprawdę gorące debaty! A zdenerwowani, przejęci problemem byli wszyscy do tego stopnia, że błękitka jedliśmy przez tydzień i nikt nie zauważył!

Jakoś w tych dniach do siostry Halinki na nocny dyżur przyszedł i Łysol. Początkowo sztywny był ale kawki mocnej dostał i rozlałem po łyku porządnej „Ballantines", co mi od świąt jeszcze została — rozluźnił się nieco, żartować zaczął. Halince dusery prawić i fartuch na kolanie rozchylać. A ja go po drugiej kolejce znienacka, bęc:

— Panie doktorze, a tak między nami, to który z wariantów ma największe szanse? Bo z naszych dyskusji dwa wysuwają się na plan pierwszy: dwie niebieskie bez czerwonej, a radykalni chcą przeforsować odmianę z premią — zastrzyk i dwie zielone. Co pan o tym sądzi?

Łysol niechętnie podniósł głowę znad dekoltu siostry przełożonej i drżącą ręką przyczesał grzywę własnych osiemnastu włosów.

— Ma pan jeszcze tę whisky? — zerknął wymownie w stronę butelki z ciemnego szkła z metką „Mocz do analizy", bez której to kartki trunek by się może z dzień uchował. Było jeszcze na dwie dobre kolejki!

— Ej, Halinka Halinka... — przeciągnął się Łysol, aż zaskrzypiał fartuch na plecach. Wstał, sprawdził drzwi i przycupnął obok mnie.

— Panie Stefanie, znamy się tak długo, panu mogę powiedzieć. Podebatujcie sobie jeszcze z miesiąc, to kol nerwy. A potem? Potem zrobimy małe sru: każdy po jednej niebieskiej i czerwonej dziennie, w soboty — zastrzyk w dupę, a te zielone wyłącznie od święta i dla personelu. No, to polej pan jeszcze po małym...

STEFAN ŻYCIOWY

RAPIER NAPOLEONA (13)

ANDRZEJ MAKOWIECKI

Paryż

Rodzice Tereski przebywali na placówce dyplomatycznej w Meksyku, młodszy brat studiował orientalistykę w Japonii, a ona, typowa trzydziestoletnia erotomanka, z typową przy tej godnej ubolewania przypadłości klęską urody, używała życia w Paryżu, tu zaś trzeba od razu powiedzieć, że mieszkanie, które wzięła w opiekę po rodzicach, było wielkie i wygodne, wyposażone w różne kanapy, wersalki, rozkładane fotele, pojedyncze i podwójne łoża oraz puchowy, kolisty, wysłużony już nieco dywan, na którym mogło uprawiać jednocześnie miłość piętnaście par.

Oprócz dwóch łazienek uzbrojonych w wanny, natryski i bidety, w czcigodnym tym apartamencie nie brakowało również sauny i czegoś w rodzaju brodzika dla dzieci, który można by także nazwać basenem dla liliputów.

Nos Tereski był wydatny i groźny, jak lufa pistoletu z tłumikiem. Usta, zwykle zaślinione i szerokie, jakby chciały połknąć dwie takie lufy naraz bez popicia, były wszakże życzliwe ludzkości ze szczególnym uwzględnieniem rodzaju męskiego. Jej biust opadł lekko pod brzemieniem lat i hulaszczej swawoli, biodra natomiast i nogi przedstawiały się nad wyraz ponętnie.

Do czasu, kiedy owa panna umiała jeszcze zachować umiar i piła na kaca przed południem tylko wino w objętości jednego litra, słynęła w artystycznym świecie jako wścibska, natchniona i utalentowana fotoreporterka ze wszelkimi szansami na ogromną karierę. Wtedy to właśnie przewijało się przez jej gościnny dom najwięcej znakomitości — aktorów, pisarzy, muzyków, reżyserów, piosenkarzy i gwiazdorów telewizyjnych. Najpierw było w dobrym tonie pozować Terese do zdjęcia, potem było w dobrym tonie wypić u Tereski drinka, na koniec zaś, kiedy za sprawą londyńskiego „Playboya" seks grupowy zdobył sobie powszechne uznanie w Europie, w dobrym tonie było, a jakże! pohasać trochę na jednym z szerokich łóżek Tereski, czy też weiść na golasa w gronie kilkunastu osób do sauny lub lilipuciego basenu.

Z biegiem lat, kiedy Tereska straciła trochę na umiarze i wypijała już na kaca przed południem nie tylko wino w objętości jednego litra, lecz również kilka szklaneczek koniaku, zapominając przy tym całkowicie o swoim pięknym powołaniu fotoreporterki, jej dom jakby lekko podupadł, garnitur gości zszarzał, a ona sama zaczęła uskarżać się na brak kochanków. Od tej pory stawiała zaproszonym gościom pewne dość osobliwe warunki:

— Owszem, przyjdźcie, proszę bardzo, będzie miłość, będzie balanga, ale ja też muszę z tego coś mieć, a nie tylko leżeć odłogiem i patrzeć, jak brykają inni.

I precyzowała, że chce mieć tego lub tamtego, że od biedy wystarczy jej ten Murzyn, jeśli jednak warunki nie zostaną spełnione, powyrzuca wszystkich za drzwi.

W ten sposób właśnie przed każdym kolejnym przyjęciem zaczęto wyznaczać tak zwanego dyżurnego kochanka Tereski, który miał za zadanie obsłużyć panią domu solidnie, dokładnie i bez protestów.

Korsyka, kiedy zdobyła już ów pseudonim, ale nie znała jeszcze Patricka, odwiedziła nocą słynny tereskowy apartament, jako że wprost wypadało odwiedzić go choć raz. Należy tu jednak zaznaczyć, że wbrew modzie i powszechnym skłonnościom dwudziestodwuletnia Korsyka nie miała serca i pociągu do miłości stadnej — nie podniecało jej to, nie bawiło, nigdy tego nie próbowała i nigdy nie zamierzała próbować.

Przebywała w gronie kilku przyjaciół i chłopca, do którego, jak to pięknie określają salonowi pisarze, czuła pewną słabość. Pokoje tonęły w mroku, tu i ówdzie prószyła czerwonym światłem jakaś lampa, w obydwu łazienkach i w brodziku brzechtały się rozebrane panie i panowie, splecione w konwulsyjnym uścisku pary dokazywały na wszelkich możliwych posłaniach, a na puszystym, okrągłym dywanie odchodziła zabawa w gwiazdę, znana również jako zabawa w zegarek. Dywan miał pośrodku rozetę, na rozecie stykało się głowami dwanaście pań o różnych odcieniach włosów, natomiast rozrzucone i podgięte w kolanach nogi owych zacnych paryżanek ułożone były tak, jak symbole godzin na ratuszowym chronometrze. Jeśli chodzi o panów, których również było dwunastu, przesuwali się co jakiś czas od pani do pani, z jednych podgiętych kleszczy nóg w drugie kleszcze, przy czym robili to zgodnie z ruchem wskazówek zegara.

Słychać było chichoty i śmiechy, ale słychać było także westchnienia, postękiwania i jęki, z czego płynął wniosek, że część gości traktowała rozpustę, jako czysty i niewinny sport, druga część natomiast uprawiała miłość z wielkim zapamiętaniem i powagą.

Czasami jakaś para, rozsmakowawszy się w sobie, opuszczała okrągły dywan, aby kontynuować spokojnie dzieło na boku, w jej miejsce zaś przybywała inna para, najczęściej spragnione odmiany małżeństwo, gotowe pokochać się chwilę, a potem, na dany przez mistrza ceremonii znak, rozstać się na symbolicznych dwanaście godzin i popełnić po drodze, on i ona, dwanaście, a w zasadzie jedenaście zdrad.

Wejście Korsyki wywołało duże wrażenie. Panie, za wyjątkiem tych, które, owszem, ceniły sobie mężczyzn, ale nie pogardzały również miłością lesbijską, przyjęły piękną nieznajomą chłodno i nieufnie, panowie wszelako byli zachwyceni. Ze wszystkich stron dobiegały ją komplementy i kuszące propozycje:

— Chodź ze mną.

— Ściągnij tę sukienkę, kochanie.

— Oszaleję, jeśli nie będę pierwszy, maleńka.

— No, nie dręcz już nas, fiołeczku.

— Pokaż piersi.

— Daj się pocałować w pępuszek.

Odpychała od siebie czyjeś ręce, umykała ustom. Śmiała się przy tym pogodnie i beztrosko, nie wierząc, aby ktokolwiek zrobił jej krzywdę. U Tereski nie gwałcono dziewcząt i nie wywierano na nie jakiejkolwiek presji. Wiadomo było, że wcześniej czy później każda i tak rozbierze się dobrowolnie.

— Tyyy byłaś tu już kiedyś? — zapytał towarzyszący jej chłopiec.

Korsyka słyszała, jak głos więźnie mu w krtani. Był podniecony, ale jego młode, niewinne jeszcze serce cierpiało, i to cierpiało strasznie. Koledzy wspominali mu o takich orgiach, nie przypuszczał jednak, że zobaczy je kiedyś na własne oczy i że będzie akurat przy tym jego ukochana, czysta uwielbiana przez wszystkich Jacqueline.

— Nie. — Pocałowała go w usta. — Nigdy.

— Słowo?

— Słowo. Zobacz!

— Co?

— Ten mały facet. — Wskazała uśmiechniętego, zadowolonego z siebie mężczyznę, który dociągał pasek, najwyraźniej szykując się do wyjścia. Otaczało go paru brzuchatych, zaawansowanych wiekiem osobników — każdego z osobna bez sprawdzania konta w banku, można było obliczyć na milion, a przecież biegali wokół niskiego mężczyzny jak trzódka usłużnych kelnerów.

— Kto to jest?

Korsyka wymieniła nazwisko Napoleona. Chłopak żachnął się.

— Niemożliwe!

— Czemu?

— Przecież on siedzi podobno w Ameryce za gwałt.

— Tak czy owak, uwierz mi że to on.

Napoleon, jakby słyszał te słowa, przesłał obydwojgu szyderczy na poły, a na poły sympatyczny ukłon, po czym ruszył do drzwi ciągnąc za sobą brzuchatych milionerów i jakieś rozbawione panienki.

Korsyka tymczasem ruszyła ze swoim chłopcem w tany. Przytulając się ze wszystkich sił i całując, przetańczyli tak w rytmie wolnej, zmysłowej muzyki sześć albo siedem pomieszczeń i nagle ku obopólnej radości znaleźli się w małym, służbowym pokoiku za kuchnią. Pokoik był ciemny i pusty, nie licząc księżyca gotowego przyjrzeć się ewentualnie przez okno furii ludzkich uczuć.

Księżyc wysłuchał także miłosnej litanii:

— Kocham cię, Jacqueline.

— Och, Pierre.

— Co, maleńka?

— Nie pospiesz się tylko.

— Wysiadam.

— Zaczekaj! Proszę cię, zaczekaj chwilę.

Kiedy zapaliło się światło księżyc znikł i Korsyka zobaczyła nad sobą czterech tęgich, owłosionych, całkowicie rozebranych mężczyzn, z których najmłodszy miał trzydzieści lat, a najstarszy pięćdziesiąt, i właśnie ten najstarszy, brodaty, z obwisłym brzuchem i sterczącym wielkim seksem, zgarnął z niej zdecydowanym ruchem chłopca. Ot, chwycił go za kark i cisnął jak psiaka o ścianę, mamrocząc:

— Panienka jest niedopieszczona. Panienka potrzebuje trochę prawdziwej miłości.

Wgramolił się na nią. Zacisnęła kolana, ale dwóch pozostałych facetów rozciągnęło jej nogi, a trzeci rozkrzyżował ręce. Krzyknęła raz tylko jednakże, gdyż brzuchacz zakneblował jej usta pocałunkiem.

Łowiąc nozdrzami odór samczego potu, piżmowatej wody kolońskiej i brandy, czekała przerażona, półprzytomna ze strachu, na to pierwsze, straszliwe pchnięcie. Brzuchacz zwiotczał jednak między jej udami i zamiast oczekiwanego z trwogą i ze wstrętem pchnięcia, poczuła na swoich biodrach i brzuchu jakąś gestą i lepką wilgoć.

Dotknęła jej dłonią i w chwili, kiedy brzuchacz staczał się z wąskiego łoża na podłogę, zrozumiała, że była to krew. Nikt nie widział błysku noża, którym posłużył się Korsykanin. Ostrze wystrzeliło z rękojeści jak żądło trafiając brzuchacza w okolice wątroby i znikając w tym samym momencie.

Podobnie zresztą zniknął nóż i jego ciemnoskóry, nigdy nie zidentyfikowany właściciel. Nic w zasadzie nie stało na przeszkodzie, aby dokonać na Korsyce zemsty i gwałtu, aby dokonać dzieła, którego nie zdążył rozpocząć brzuchaty pięćdziesięciolatek. A przecież wokół dziewczyny utworzyła się próżnia. Czmychnęli potencjalni gwałciciele, rannego zawleczono do łazienki, gdzie opatrzył go, a następnie przetransportował do szpitala zaprzyjaźniony z towarzystwem lekarz. Sprawa nie nabrała większego rozgłosu, nikomu bowiem na tym nie zależało. Korsyka opuściła spokojnie dom Tereski w towarzystwie swoich przyjaciół i swojego zaszokowanego Pierre'a, który, co tu dużo mówić, patrzył na nią od tej chwili z lękiem.

Z lękiem zaczęli na nią również spoglądać koledzy ze studiów, a także inni znajomi. Wykładowcy traktowali Korsykę z pełną powagi rezerwą i z pełnym powagi szacunkiem, co zawdzięczała nie tylko swojej urodzie i znakomitym wynikom w nauce, lecz i szerzącym się powszechnym już teraz pogłoskom, iż strzeże jej z bliżej nieokreślonych przyczyn w dzień i w nocy wszechwładna i mściwa Unia Korsykańska.

Dowodów nie trzeba było szukać. Profesor, który obniżył Jacqueline stopień z psychologii i zrobił na wykładach kilka złośliwych uwag o jej makijażu i stroju, nie mógł wrócić do domu samochodem z tego prostego względu, że pojazd siedział u bram uczelni na wszystkich czterech obręczach mając w dodatku porozbijane reflektory. Studentce, która nazwała publicznie Jacqueline korsykańską służką, zgraja wyrostków obcięła w wejściu do metra włosy. Zrozumiano wówczas, że jest nietykalną, że nie wolno jej ruszyć ani obrazić, gdyż każda, najmniejsza nawet krzywda znajdzie stosowną karę.

Korsyka!

Pseudonim brzmiał tajemniczo i wdzięcznie, ale bała się początkowo swoich nieznanych opiekunów. Z czasem jednak ponieważ nigdy od niej niczego nie chcieli — przywykła.

Przesadzili trochę z tym podłym Anglikiem — myślała. Było po zmroku. Wchłaniała ją z wolna łuna stolicy. Wkołowała na podjazd przed domem i nie odprowadzając auta do garażu, zapukała do drzwi. Ucałowała matkę, czterdziestoparoletnia kobietę, za którą mógłby się jeszcze obejrzeć niejeden młodzieniec. Padła w ramiona ojca, wysokiego, szpakowatego, bardzo przystojnego mężczyzny, do którego wzdychały wszystkie jej przyjaciółki. Był miły. Pachniał dobrym tytoniem i dobrą wodą kolońską, ale oczy miał przenikliwe jak szuler.

— No i co tam dobrego? — zapytał.

— Nic. Dzwonił ktoś do mnie?

— Owszem.

Chwyciła w głosie ojca tę osobliwą, ironiczną nutę i zdrętwiała.

— Patrick?

— Tak.

— Boże!

— Ano, Boże, Boże! — powtórzył zgryźliwie mecenas. — Nie zrobił widocznie kariery w Ameryce i wrócił, żeby cię uszczęśliwić.

Santa Monica

Dwa lata wcześniej, w końcu kwietnia 1977 roku, zwolniony przez sędziego Napoleon przyleciał do Paryża i nie licząc krótkiej wizyty u Tereski, kiedy to po raz pierwszy ujrzała go na żywo Korsyka, pozostały czas przeznaczył na załatwienie swoich spraw służbowych. Konferował, pertraktował, wertował książki i scenariusze, po czym, podpisawszy umowę na film, który później miał się okazać najdroższym przedsięwzięciem w dziejach francuskiego kina, wrócił zgodnie z danym sędziemu przyrzeczeniem do Stanów. Spóźnił się oczywiście trochę, ale punktualność nie jest najmocniejszą stroną artystów, szczególnie wtedy, kiedy trzeba wybierać między sztuką a prawem. Zamiast stawić się na procesie 11 maja przybył do sądu na rozmowę przedprocesową w dziewięć dni później. Sędzia szalał, prokurator kipiał ze złości, ale adwokat wytknął im wszystkie słabe punkty oskarżenia i przekonał obydwu, że na proces jest stanowczo za wcześnie.

Co się tyczy Napoleona, tryskał zdrowiem i humorem, wierzył bowiem w prawo serii. Jak idzie, to idzie. Najpierw wytwórnie amerykańskie pozawieszały lub pozrywały z nim umowy, teraz zaś kiedy podpisał wspaniały kontrakt w Paryżu, już miał w kieszeni drugi, jeszcze lepszy kontrakt od włoskiego producenta w Ameryce. Grono aktorów, i to rzeczywiście najwybitniejszych aktorów, przekonało możnego Włocha, iż huraganowy film w pięknej, samoańskiej scenerii na południowym Pacyfiku powinien zrealizować właśnie polski reżyser. Prace nad nim mógłby rozpocząć od razu. Scenariusz jest dopięty, ekipa przygotowana. Więc co na to szanowny pan sędzia? Pozwoli chyba wielkiemu twórcy na kolejny wyjazd? Twórca nie ucieknie. Spokojna głowa. Zbyt wiele wiąże go z Ameryką. Będzie sobie po prostu spokojnie pracował nad filmem, a sąd tymczasem popracuje sobie spokojnie nad przygotowaniem procesu, który w obecnej fazie, jak to słusznie zauważył pan mecenas, byłby zwykłą farsą.

Sędzia kiwał w zamyśleniu głową, przyznając w duchu rację zarówno oskarżonemu jak i obrońcy. Byłby farsą ten spektakl. Jasna sprawa. No bo jak przedstawiał się materiał dowodowy? Poszkodowana opuściła Kalifornię i pozostawała teraz pod opieką rozwiedzionego ojca, który jasno i wyraźnie oświadczył sądowi, że nie życzy sobie żadnego procesu, żadnego rozgłosu i że nie ma wobec Napoleona żadnych roszczeń. Krótko mówiąc, wycofał oskarżenie, domagając się, aby raz na zawsze ukręcić aferze łeb.

Adwokat matki z kolei, podtrzymując zarzuty o gwałt, osiągnął z władzami porozumienie, iż dla ochrony dobrego imienia trzynastolatki, nie stanie ona w charakterze świadka przed sądem i w ogóle nie będzie już wzywana na żadne przesłuchanie, gdyż mogłoby to zaszkodzić jej wrażliwej psychice i zdrowiu.

Co za tym idzie, w procesie nie będzie również zeznawać — raz: siostra poszkodowanej (z uwagi na to samo nazwisko) — dwa: chłopak poszkodowanej (z uwagi na to, że odebrał jej cnotę) — trzy: ojczym, a właściwie kochanek matki poszkodowanej (z uwagi na to, że jego obecność w sądzie rzuciłaby złe światło na morale rodziny, co mogłoby zaszkodzić w przyszłości obydwu panienkom utrudniając im zamążpójście lub studia) — no i cztery, matka poszkodowanej, sprężyna całego zamieszania i sprawczyni incydentu, która nie chciała wyrządzić swoim zeznaniem niezamierzonej krzywdy i przysporzyć złej sławy ani córeczce młodszej i jej chłopakowi, ani córeczce starszej i jej licznym kochankom, ani własnemu gachowi, który odwiedzał ją dzień w dzień i noc w noc, ani, przede wszystkim, sobie i swojej wątłej karierze aktorskiej ani, w końcu, nikomu na świecie poza Napoleonem, którego nienawidziła jak psa.

Proces był zatem meczem do jednej bramki. Sądzono by człowieka, który nie miałby na sali żadnych prawdziwych przeciwników oprócz nie darzącej go sympatią prasy.

— Pan uważa, że to jest w porządku, panie sędzio? — pytał Napoleon.

— W świetle interesów poszkodowanej i jej rodziny, tak — odpowiedział sędzia.

Napoleon zbladł i zacisnął pięści:

— Jestem niewinny! Bóg mi świadkiem, że chcę tego procesu, ale postawcie mi przynajmniej do oczu matkę!

C.D.N.

Rys. Janusz Szymański-Glanc